

Agnieszka  
LIS

# NIEBIESKI!

#MIŁOŚĆ #ŚMIERĆ #PRZEMOC #ZAGADKA  
#LAS #MROK #AURA #PRZESZŁOŚĆ

Agnieszka  
LIS

# NIEBIESKI

*Purple*  
BOOK  
WYDAWNICTWO

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2023  
Copyright © by Agnieszka Lis, 2023

ISBN 978-83-8310-454-6

Purple Book Wydawnictwo  
ul. Hankiewicza 2  
02-103 Warszawa  
facebook.com/purplebookwydawnictwo  
instagram.com/purple\_book\_wydawnictwo  
[www.purplebook.com.pl](http://www.purplebook.com.pl)

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska  
Wydawca: Anna Kubalska  
Produkcja: Klaudia Lis  
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska  
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź  
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030), Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Redakcja: Agnieszka Czapczyk  
Korekta: Katarzyna Duran, Iwona Stachowicz/e-DYTOR  
Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka  
Zdjęcie na skrzydełku okładki: © Najka Photography  
Zdjęcie na I i IV stronie okładki: © Magdalena Russocka / Trevillion Images

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko z wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

# Spis treści

Strona tytułowa  
Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Epilog

Drzewo genealogiczne  
Od autorki

# Rozdział 1

Dokładnie o trzynastej czterdzieści siedem Justyna spojrzała na samochodowy wyświetlacz. Równocześnie ze zmianą cyfr, jak w wyreżyserowanym spektaklu, słońce wychyliło się zza chmur, wydobywając na pierwszy plan biały pień. Brzoza stała pochylona, jakby płacząca, otulała zwisającymi gałęziami białą konstrukcję.

Justyna pomyślała, że to znak. Biel na moje przybycie dobrze wróży... Uśmiechnęła się. Biel i wszechobecna niebieskość. To będzie wspiane połączenie.

Wyjechała z domu o czwartej rano. Żadna niedogodność, gdy ruszasz w nowe, lepsze życie. Gdy serce działa zgodnie z głową, a wszystko układa się właściwie.

Wsiadła do nocnego autobusu, który krążył po Warszawie ustaloną trasą, zabierając z mrocznych przystanków ziewających pasażerów. Opatuleni w kurtki, owinięci szalikami, schowani w czapki i kaptury, całą swoją postawą manifestowali ciężar bytu, a myślami znajdowali się zgoła gdzie indziej. Może wy powinniście być gdzie indziej – myślała – ale ja jestem dokładnie na swoim miejscu. Jadę tam, gdzie powinnam być. W moją przestrzeń, w mój czas. Odczuwana radość rozpięła ją od środka, Justyna chciała śpiewać, choć powinna być nieprzytomna z niewyspania. Od trzech nocy przewracała się na łóżku bezsennie, w oczekiwaniu na nieznaną, a dzisiaj wprost nie zmrużyła oka. Wstała jednak rześka, skupiona i czujna jak zwierzątko w oczekiwaniu na niebezpieczeństwo.

Autobus przemierzał ulice miasta nieśpiesznie, wyglądała przez szybę podekscytowana, jakby pierwszy raz widziała Warszawę. Pierwszy nie – zreflektowała się w pewnym momencie – ale być może ostatni. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Wysiadła przed Pałacem Kultury, w obu dłoniach kurczowo trzymała torby. Choć większość rzeczy Hubert zabrał wcześniej, ta skromna resztką i tak nie chciała pomieścić się w granatowych, w jej oczach prawie nowych, choć faktycznie już sfatygowanych, torbach.

Na bus do Przemysła czekała długo. Wołała przyjechać wcześniej, i tak nie mogła spać. Choć trzęsła się w marcowym chłdzie, stała jednak wyprostowana. Dumna, szczęśliwa. Spojrzała na swoje buty – świeżo wypastowane dosłownie lśniły, jakby odbijały światła miasta. W busie zajęła miejsce jako jedna z pierwszych, mniej więcej w połowie pojazdu. Zapamiętała, że na kole jest niebezpiecznie. Kto tak mówił? Nie pamiętała. Co za różnica. Skoro wszystkie miejsca były wolne, wybrała takie, na którym mogła czuć się lepiej.

Monotonny szum silnika usypiał ją. Otwierała zaspane oczy, nie rejestrując zmieniającego się krajobrazu. Jakiś przystanek, zadaszona wiata, okutani ludzie. Pole, jaskrawoniebieski neon przy drodze. Nie wielki dworzec autobusowy, elewacja z czerwonej cegły, ładne łuki nad oknami.

W sennej malinie stawała jej przed oczami postać męża. Nawet ten mglisty obraz był przyjemny. Szczególne ciepło rozlewało się w sercu i duszy dziewczyny, gdy dostrzegała wokół mężczyzny niebieską poświatę. Szeroki pas błękitnej aury, czystej niczym niebo nad morzem w pogodny dzień. Taką aurę miewają wyłącznie dobrzy ludzie – wiedziała to przecież doskonale. Taką miał jej ojciec, a lepszego człowieka na całym świecie nikt by nie znalazł.

Poznali się z Hubertem w sklepie, gdzie jako sprzedawczyni zarabiała nędzne grosze, pozwalające na bardziej niż skromną codzienność. Chłopak do niedawna studiował, znał trochę eleganckich wyrazów, potrafił zwrócić się do niej z kulturalnie. Czego więcej może chcieć dziewczyna? Szacunku i pięknego męża, najlepiej z własnym domem.

Justynie wystarczyłoby nawet mniej. Hubert wprawdzie opowiadał o wielkim domu na przemyskiej wsi, ale nawet gdyby miał być niepiękny, jakie to ma znaczenie? Był mąż był przystojny.

Chłopak przyjechał do Warszawy teoretycznie na studia. A nawet praktycznie. Okazały się dla niego niewystarczająco interesujące. Z rozpędu przebrnął jeden rok. Zmusił się do przetrwania prawie połowy drugiego. Potem ostatecznie uznał, że dość już życia zmarnował nad książkami.

– Co się miałem nauczyć, to się nauczyłem – mawiał. – Ojciec dał radę bez wielkich nauk, dziadek i pradziadek też, to i ja podołam. Ziemia się nie zmieniła, od zawsze rodzi tak samo.

Nie chciał pamiętać, że w ostatnich latach, choć ziemia rodziła tak samo, dawne metody uprawy przestały wystarczać. Gospodarstwo było duże, z coraz większym trudem był w stanie o nie zadbać. Właśnie po to pojechał do Warszawy – żeby ich hektary znów były najwydajniejsze we wsi. Po to matka zatrudniała wiosną chłopaków ze wsi, płaciła za to, co zawsze robił Hubert – żeby on mógł się kształcić. Wykształcił się – ile zdołał.

Najpierw mieszkał w akademiku. Tanio i towarzysko, ale ciągle ktoś się czepiał. Wraz z dwoma kolegami wynajęli zatem niewielkie mieszkanie pod Warszawą. Panowała tam pełna swoboda, wolność absolutna, mieszkanie szybko zaczęło więc przypominać stajnię Augiasza. Telewizja w nocy, kanał sportowy bez przerwy. W pokojach wały się resztki pizzy, do kuchni nie było po co wchodzić. Już nawet nie śmierdziało, pozostałości jedzenia po prostu wyschły, ale nie było gdzie postawić stopy. Jedli w pokojach, palili w pokojach, pili i zażywali, co się dało. Na uczelnię było daleko, Hubert jeździł tam jeszcze bez przekonania przez kilka miesięcy, potem uznał, że lepiej zacząć żyć. Uniwersytet życia to najlepsza uczelnia.

Spotkał nowych kolegów, razem z nimi trafił na siłownię. Spodobało mu się, choć ironizował, że to wymysł warszawski. U nich na wsi siłownią to był szpadel, dwa kamienie na drągu lub wyścigi z chłopakami po polnej drodze. W warszawskim Fitness Studio podobało mu się głównie dlatego, że nie musiał dużo mówić, wystarczyły zdawkowe, hasłowe komunikaty. Ćwiczył tam regularnie, więc ciało miał piękne, wysportowane. Każda dziewczyna chciałaby takiego chłopaka za męża. Wszystkie patrzyły z zainteresowaniem i na uczelni, i poza nią. Cieszył się z tego, ale rzadko z którą się umawiał. Wydawały mu się albo przemądrzałe, albo za głupie.

Wtedy Hubert poznał Justynę. Czekał na nią wieczorami, aż skończy zmianę w sklepie, więc siłownia była rozwiązaniem lepszym niż piwko pod sklepem. Bo co innego miałby w tym czasie robić? Justyna denerwowała się, że przy pawilonie pić nie wolno, przynosi to jedynie wstyd i kłopoty.

Pracowała w sklepie niedaleko lokum wynajmowanego przez Huberta. Sama mieszkała obok. Najpierw dostrzegła jego niebieskość. Kolor niemal taki jak u jej ojca w ostatnich latach życia. Aż zabrakło jej tchu. Dopiero potem zwróciła uwagę na wysokiego chłopaka, kręcone, krótkie, czarne włosy, umięśnione ręce. Po pewnym czasie zauważyła, że jego aura jest wielopoziomowa, często się zmienia, przybiera różne odcienie w zależności od nastroju. Hubert był dla niej otwarty jak wrota stodoły, którą opisał jej na drugiej randce. Widziała wokół niego każdą emocję, zanim jeszcze zdążył o niej opowiedzieć. Widziała, ale nie komentowała.

Spotkała w życiu kilka osób widzących podobnie jak ona. Czytała na ten temat sporo w internecie i doszła do wniosku, że w większości to stek bzdur. A w każdym razie informacje zebrane w sieci nie pasowały do jej własnych doświadczeń. Znalazła kilka grup „widzących”, ale nie potrafiła się w nich odnaleźć. Śledziła wpisy, każdy widział inaczej niż ona. Dlatego nie słuchała innych, skupiła się na własnych obserwacjach.

Zwykle ludzie mieli wielokolorowe aury, ewentualnie z dominującym wybranym kolorem. Paski różnej szerokości jak tęcza otaczały ludzkie sylwetki. U Huberta natomiast widziała na ogół jeden kolor, rzadko kiedy poprzecinany w poprzek innymi barwami. Z doświadczenia wiedziała, że najczęściej przecięcia były z gruntu złe – szare, czarne, a najgorsze, jak się przekonała, były brunatne.

Hubert wciąż spędzał długie godziny na wyciskaniu ciężarów. I tam spostrzegł to u pewnego gościa... Biceps pracował, a wraz z nim unosiła biust dziewczyna o długich czarnych włosach i intensywnie czerwono-

nych ustach. Hubert zamarzył o tatuażu. Kiedy pierwszy raz poszedł do salonu, nie od razu się komukolwiek przyznał. Nie pragnął niczego wyzywającego. Pomyślał, że zrobi przyjemność matce, pierwszym jego tatuażem był zatem niewielki krzyż na ramieniu, czarny w otoczeniu czerwonych cierni. Idealny.

Wierzył, że matce się spodoba, ale czy Justyna zaaprobuje? Przez kilka dni nie pochwalił się dziewczynie, ale ona przyjęła to obojętnie. Postanowił pójść dalej. Wkrótce miał na sobie osiem tatuaży, większość niewielkich, wśród nich powstańczą kotwicę i czerwoną różę, ale najważniejsza dla niego była Matka Boska. Wytatuowana na lewym boku, od serca, niewidoczna, gdy opuszczał rękę wzdłuż ciała. Na piersiach pozostało jeszcze miejsce nad sercem, zostawione specjalnie dla papieża, tego jedynego najpierwszego Polaka, którego wielbiła Bogna, jego mama. Hubert miał oczywiście także tatuaż dla swojej przyszłej żony: bukiet trzech kwiatów na prawej łydce.

Justyna uwielbiała patrzeć na ciało męża. Teraz, w północy, wyciągała do niego ręce, dotykała umięśnionego torsu, czuła gładką skórę pod opuszkami. Omijała Matkę Boską na lewym boku, tak zapobiegawczo. Może nie należy kalać takiego wizerunku? Nie była wprawdzie szczególnie wierząca, ale religijne symbole jej nie przeszkadzały, raczej budziły umiarkowany szacunek. Tak na wszelki wypadek. Zresztą, od pierwszego spotkania wiedziała o głębokiej wierze Huberta i zupełnie jej to nie wadziło. Bez protestu zaakceptowała fakt, że żyjąc razem z nim i teściową w jednym domu, będzie musiała przyjąć ich obyczaje i kościół odwiedzać regularnie. I tak najważniejsza dla niej była niebieska aura wybranka, dzięki niej była pewna, że trafiła na dobrego człowieka. Przez nią zwróciła na Huberta uwagę i właśnie w tym niebieskim odcieniu zanurzyła się cała, najpierw duszą, a potem oddała i ciało.

Z każdym kilometrem krajobraz się zmieniał. Zamiast prostych otynkowanych domów wzdłuż ulic pojawiły się regularne bryły czerwonych budynków, sklep metalowy w głównej ulicy miasteczka, fryzjer Zbyszek, gospodarstwo domowe z wielkim napisem „Wszystko po 5”. Fragment napisu zniknął za uchylonymi drzwiami. Zmieniała się także mowa wsiadających ludzi. Pojawiał się delikatny zaśpiew, lekko wyczuwalne zmiękczenie spółgłosek, wydłużenie samogłosek. Galicja.

Justyna się nad tym wszystkim nie zastanawiała. Co za różnica. Niech gadają, jak chcą, byle tylko ona była szczęśliwa.

Na dworcu w Przemyślu hulał wiatr, szarpał jej szalikiem, mężczyźni idącemu przed Justyną porwał czapkę hamburger. Kilka wiat nie stanowiło dla żywiołu żadnej przeszkody. Zachmurzone niebo prezentowało całkowitą obojętność na ludzkie sprawy, szczęścia i frasunki. Szaro i przygnębiająco wyglądały także przemykające w pośpiechu niewyraźne ludzkie sylwetki.

Żeby chociaż jakaś burza albo deszcz – pomyślała Justyna. – Przynajmniej byłyby jakieś emocje.

Wyszła za ogrodzenie dworca, pochyloną siatkę zamontowano na kilku wątych słupach. Chodnik, ułożony jeszcze za komuny, straszyl nierównościami, zapadnięte płyty groziły skrzyśnieniem kostki, nie miało to jednak dla niej znaczenia. I tak nie zamierzała nigdzie iść. Postawiła dwie torby na skraju trawnika, sprawdzając wcześniej, czy nie ma tam psich pozostałości. Czekala na Huberta.

Zatrzymał samochód na chwilę, pośpiesznie wrzucił obie torby do bagażnika. Justynę od razu zalała niebieskość, choć nawet nie cmoknął jej na powitanie. Mimo że starali się wszystko zrobić jak najszybciej, i tak jakiś niecierpliwy kierowca zatrąbił. Hubert rozluźnił się dopiero po wyjeździe z miasta. Rozwinął prędkość, zdaniem Justyny – aż za bardzo. Nic jednak nie powiedziała. Po co się kłócić na początku nowego życia?

Niebo rozstało się właśnie w momencie, w którym mijali brzoźkę. Justynę zalało uczucie przyjemnego ciepła.

– Jak cudownie – szepnęła z westchnieniem Justyna.

– E tam – burknął. – Już niedaleko. – Odetchnął zadowolony, gdy wjechali w las.

Ostatnie osiemset metrów jechali gruntową drogą, wzdłuż wysokich sosen. Kurz za nimi tworzył chmurę w kształcie atomowego grzyba.

– Kiedyś zbierałem tu hurtowo maślaki. Mama zawsze ciężko wzdychała na widok pełnych koszyków – powiedział.

– Już nie zbierasz? – zainteresowała się.

Pokręcił głową.

– Matka zabroniła.

– Za dużo roboty? – Zaśmiała się.

– Nie. – Znów pokręcił głową i zamilkł.

Justyna chciała się jeszcze odezwać, uprzedził ją:

– Za gęsty las. Ostatnio jak próbowałem tu wejść, gałęzie były tak zwarte, że po kilku krokach zawróciłem, a i tak matka się czepiała.

– Czepiała? Czego?

– Podrapany byłem. Ubranie porwałem. Do kitu z takim lasem, co to do niego wejść nie można.

– Trzeba było zaorać, jak się wysiał.

– Zaorać? Dziadek sadił! Drzewo po drzewie. Podobno każde wsadzał ręcznie, opowieści w rodzinie krążą.

– Rzeczywiście, wszędzie dookoła pola, tylko tutaj te drzewa... Dziwne miejsce na las. W środku niczego – rzuciła Justyna.

– Nie niczego, tylko naszej ziemi.

– Ale dlaczego w środku?

– Bo dziadek chciał zakryć te zarośla z drugiej strony.

– Zarośla? Nie widziałam żadnych zarośli, tylko tę piękną brzozę. Wygląda, jakby była nie z tego świata.

– Nieważne – uciął Hubert.

– Rozmowny jesteś. – Pokręciła głową.

– Bo różnie gadają.

– O czym?

– Kapliczka tam stoi – powiedział niechętnie.

– Widziałam. Biała. Bardzo malownicza.

– Maryjna – dodał.

– No i?

– Dziadek postawił tę kapliczkę koło brzozy – wyjaśnił już wyjaśnione. Wywrócił przy tym oczami. Justyna miała wrażenie, że temat go uwiera. Co drażliwego mogło być w uroczej kapliczce? – Dla Maryi Panny. Procesje tam chodzą.

Dokładnie wtedy słońce schowało się za chmury. Do tego chłód w głosie Huberta... Ciarki przeszły Justynie po plecach.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Opowiadasz o tym niczym o wielkiej tajemnicy. Jakieś misterium? Siły tajemne?

– Dojeżdżamy – odpowiedział z wyraźną ulgą.

Justyna odwróciła głowę. Ostatnie zabudowania minęli długo przed lasem. Wokół krajobraz zdominowały pola, o tej porze roku dopiero pokrywające się mgłą zieleni, choć ziemia już karmiła ziarna, rozpulchniała nasiona, przyjmowała w siebie rozrastające korzenie. Za kilka miesięcy zboża pochyła kłosa do żniw, a teraz już zaczęły się niewidoczne dla ludzkiego oka przygotowania.

– Daleko do sąsiadów – powiedziała Justyna. – A droga tak dziwnie, tylko do kapliczki.

– Mówiłem ci, procesje tam chodzą.

– Czyli dla księżych butów asfalt, a dla was ubity grunt?



– Nie śmieję się. Cała wieś z wdzięczności na tacę dodatkowo daje, że ksiądz się godzi nabożeństwa tu odprawiać. Kapliczka wbrew kościołowi tu powstała i długo nie była poświęcona. Dopiero niedawno ksiądz ją uznał, cała wieś odetchnęła i od razu ofiarę na drogę ustalono. Wszyscy się złożyli, bez wyjątku. Nie odmówiły i największe opijusy, co to nawet na pasterce progę kościoła nie przestąpią, tylko przed wrotami stoją. Mietek był pierwszy. A my to ofiarowaliśmy poczwórnice.

– Jesteś jedynakiem. O ile dobrze liczę, matka, ojciec i syn daje trzy.

– Za matkę, ojca, za mnie i jeszcze dodatkowo.

– Kto to jest Mietek? – Hubert wzruszył ramionami. – Mówiłeś, że pierwszy opijus we wsi? – drażyla.

– Właśnie.

Zamilkli.

– Nieważne – przerwała milczenie Justyna. – Tak uznaliście, tak zrobiliście. Nauczę się.

– Nauczysz.

– Choć będzie mi pewnie trudno. Przywykłam do sąsiadów, ludzi, którzy zagadują, że się dzieje...

– Od zawsze tak mieszkamy. – Hubert wzruszył ramionami. – Pójdiesz do sklepu raz i drugi, telewizję pooglądasz, telefon masz. Zresztą, w domu jest huk roboty, nudzić się nie będziesz.

– Ja nie z tych, co się nudzą. Zajęcie zawsze znajdę – odpowiedziała Justyna, choć wcale tak nie uważała.

Nie lubiła się przepracowywać. Lubiała, jak wszystko było zrobione, a ona mogła pooglądać telewizję, malując paznokcie. W pewnym momencie swojego życia uznała staranny manicure za obowiązek. W ten sposób, wykonując pracę, mogła oglądać telewizję.

– Dlaczego? Nie było innego miejsca na dom? – Rozglądała się wciąż uważnie. Wokół rozciągały się pola, ograniczone z jednej strony lasem, z drugiej dalekimi budynkami. W oddali wyróżniała się wieża kościoła i druga, trochę niższa, zapewne remizy, jak domyśliła się Justyna.

– Jest mnóstwo miejsca. – Hubert w końcu się zaśmiał. – Wszystko wokół jest nasze. Aż pod sklep. Tam będziesz chodzić na pogaduchy. – Wskazał ręką w stronę kościelnej wieży.

– To dlaczego tu? – Upierała się.

– Nie mam pojęcia. Po prostu tu mieszkamy i już. Od stu lat.

Justyna dalej nie drażyla. Doszła do wniosku, że i tak niczego sensownego się nie dowie. Skupiła się na widoku.

Droga zakręcała w tym miejscu, otaczając sosnowy las. Przed oczami Justyny pojawił się dom. Duży, piętrowy budynek ze spadzistym dachem i niewielkimi oknami prezentował się dostojnie. Szara elewacja sprawiała wrażenie przybrudzonej, ale wyglądała szlachetnie.

Jak na zamówienie słońce znów wyszło zza chmur. Jakby bawiło się z Justyną: odbijało się w złotych szprosach, pozostawiając cienie na dachu i niewysokich ogrodowych krzewach, mrugając figlarnie do dziewczyny.

Będzie mi tutaj dobrze – pomyślała Justyna. – Powinam poczuć, nie pomyśleć. Tu będę przecież teraz mieszkać. – Uśmiechnęła się do męża, cały czas rozmyślając.

– Pięknie się prezentuje, prawda? – powiedział z dumą Hubert, a jego niebieskość zapulsowała intensywnie ciemnym, niemal granatowym niebieskim. – Ojciec wyremontował, dachu tylko nie zmienił, wciąż jest w świetnym stanie. Nie było po co kasy wydawać.

Justyna kiwnęła głową. Próbowała wymusić na sobie jakąś reakcję. Podoba mi się tu? Nie podoba. Dom jest śliczny. A może okropny. Szukała emocji, nadaremno. Chciała je poczuć, wyczuć miejsce, dostroić do niego własną wibrację. Zobaczyć kolory, wiele barw. Nie czuła nic, choć widziała dookoła fioletową aurę. Ciemną, w zimnym odcieniu.

Spojrzała na męża.

W Warszawie jego aura była intensywnie błękitna. W najwyższym możliwym do wyobrażenia chabrowym odcieniu, jaki Justyna widziała wcześniej tylko u jednego człowieka. Tutaj otok Huberta pociemniał, niebieskie centrum zmalało, żółty i pomarańczowy, które dotychczas cudownie uzupełniały go w zewnętrznej warstwie, zmatowiały, za to pojawiły się, a nawet zaczęły dominować, czerwień i fiolet.

I niech mi ktoś powie, że miejsce nie wpływa na człowieka – przemknęło jej przez głowę. – Znów myślę, nie czuję – dodała po chwili, też bezgłośnie.

Bo faktycznie, nie czuła nic.

## Rozdział 2

Marzyłam o karocy, mam furmankę – pomyślała Anna, rozglądając się wokół z uśmiechem prawdziwie szczęśliwej kobiety.

Jan powoził spokojnie, z poczuciem spełnienia. A jeszcze niedawno to wszystko wydawało się nieprawdopodobne.

Załadował na wóz tyle kufrów, ile tylko udało się po kryjomu przygotować. Nie było łatwo. Annę, szlachciankę z bogatej rodziny, od urodzenia przeznaczono do wyższych celów. Rodzina woziła ją do miasta, nawet i do Warszawy, szykowała stroje, ojciec dbał o opinię panny urodziwej i mądrej, matka o lekcje muzyki, francuskiego i literatury. Francuska guwernantka pilnowała każdego kroku dziewczęcia. W dworku regularnie bywali malarze uwieczniający piękne lico dorastającej bogaczki. Rodzice otaczali córkę tajemnicą, potęgując zaciekawienie jej osobą. Z biegiem lat coraz częściej w dworku pojawiali się przedstawiciele wysoko postawionej szlachty, a nawet i wysłannicy zubożałej arystokracji. Ojciec dbał o interesy rodziny, majątek kwitł... Można by rzec – idealnie.

Aż do momentu, w którym miał nastąpić debiut urodziwej Anny. To był wyjątkowy rok. Niezwykle upalny, przeplatany idealną ilością deszczu, bogaty we wszelkie zbiory. Obrodziły zboża, sady uginały się od owoców. Spiżarnie nie mieściły warzyw. Do zbiorów potrzeba było rąk. Wszyscy pracowali od świtu do nocy, wciąż było mało. Ojciec nie szczędził środków, by ściągnąć ręce do pracy nawet z daleka. Było go na to stać i nie miał żadnych skrupułów, by podbierać chłopów z mniej zamożnych folwarków.

W taki sposób do domu Anny trafił Jan. Swoje zbiory zdążył złożyć w pachnących złotych snopach, w wypełnionej stodole i wielu piwnicznych schowkach, przygotowanych zawczasu. Był bogatym chłopem, najstarszym synem w rodzinie, w której ojciec wykorzystywał każdą możliwość zarobienia pieniędzy. Senior przez lata stał się lokalną namiastką lichwiarza, bogacił się wtedy, gdy wsie przymierały głodem. Kradł? Nie, skądże. Tylko wykorzystywał okazje z wrodzonym sprytem, którego nie można się nauczyć. Zostawił po sobie wiele hektarów. Po śmierci ojca Jan trzymał rodzinę twardą ręką. Bracia dostali niewiele, dorabiali, uprawiając ziemię pierworodnego. Głodu nie cierpieli, do tego Jan by nie dopuścił. W końcu rodzina, co by ludzie powiedzieli.

Jan dzielił i rządził, jak uważał za sprawiedliwe. Brakowało mu tylko żony. Żony i następców. Żadna dziewczyna jednak nie zdobyła jego serca, choć wiele i urodziwych chłopek, i całkiem zasobnych ziemiarek życzliwie spoglądało w stronę złotowłosego, wysokiego chłopaka. Przyjmował ich względy z grzecznością jak hołdy oddawane władcy. Wciąż snił o kimś wyjątkowym. O kobiecie tak złotowłosej jak on sam, z lokami do pasa, delikatnym uśmiechem i kibicią do objęcia dłońmi. Otoczenie koronek w niczym mu nie przeszkadzało. Dlatego gdy zobaczył Annę, oniemiał tylko na chwilę. Szybko uznał, że po prostu objawiła mu się jego wybranka. I tyle. Aż tyle.

Problemem był ojciec Anny. Nawet najbogatszy chłop nie leżał w orbicie jego zainteresowań. Szlachcianka była przeznaczona do złoconej karocy, atlasowych wieczorowych sukni wykończonych fikuśnymi zdobieniami i wielkiego pałacu. Jan się tym zupełnie nie przejmował, zwłaszcza że panna uległa spojrzeniom jego niebieskich oczu, jeszcze zanim minęły żniwa. Po nich Jan nie wrócił do swojego gospodarstwa. Był pomocny. Pracował ciężko i długo każdego dnia. Ale wieczorami...

Jesienią Anna, nie mówiąc nikomu, nawet siostrze, matce, niani, guwernantce, spakowała pięć kufrów. Wypełniła je ulubionymi rzeczami, które uważała za niezbędne, a które w późniejszym życiu okazały się bezużyteczne. Była z siebie dumna, bo dokonała tego całkowicie samodzielnie. Po raz pierwszy w życiu nie ograniczyła się do wydania polecenia. Mało tego! Zrobiła wszystko w całkowitej tajemnicy, ciesząc się

z samodzielności. Dla Anny stanowiło to zabawę... Choć trzeba przyznać, że faktycznie się zakochała. W oczach, włosach, głosie wyjątkowego chłopaka, jakim Jan bez wątpienia był.

Była tak zakochana, że zdecydowała się porozmawiać z ojcem. Najpierw ją wyśmiał. Kazał wracać do dziewczęcego pokoju, zdobnego w specjalnie sprowadzaną z Paryża tapetę w kwiatki i pełnego lalek w bufiastych sukienkach. Wezwał służącą i nakazał odprowadzić pannę. Gdy zrozumiał, że córka nie żartuje, rzucił o ścianę karafką pełną wiśniowej nalewki. Plama pozostała pamiątką na wiele lat, nie dał jej zmyć. Jednoznacznym gestem, z wygiętymi w podkowę ustami, ponownie rozkazał córce wrócić do swojego pokoju, służącej wydał polecenie pilnowania niesfornej pannicy. Jak miała to zrobić cicha, grzeczna i pokorna dziewczyna? Stała pod drzwiami swojej pani, wiernie pilnując wejścia. W tym czasie Anna spokojnie wyszła do Jana przez okno, na wóz z zapakowanymi już pięcioma kuframi pełnymi koronek, batystów i satynowych pantofli. Nie zapomniwała nawet o dwóch balowych sukniach, najnowszym krzyku mody, sprowadzonych z samej Warszawy. To były ostatnie dwie modne rzeczy, które Anna posiadała w swojej garderobie. Ostatnie za jej życia.

Matka Anny załamywała ręce. Wyrzucała sobie – a i mąż nie szczędził jej gorzkich słów, nieprzystających urodzeniu i klasie, do której uporczywie się dobijał – że nie zauważyła strzały Amora, która trafiła w serce jej córki. Zajęta haftowaniem i towarzyskimi spotkaniami, martwiła się, czy stroje zostaną przygotowane na czas, choć obstalowane zostały wiele tygodni wcześniej. Przecież córka nie mogła w Warszawie wystąpić w kreacji z ubiegłego roku! Zamówiono dla Anny osiem nowych balowych toalet, a każda była wyjątkowa.

Anna zaś żadnej z nich nie miała nigdy zobaczyć. Jechała z mężem do swojego nowego domu, którego nie potrafiła nawet sobie wyobrazić. Spodziewała się czegoś podobnego do miejsca, w którym się wychowała.

Ojciec Anny o świcie wysłał swoich parobków w pogoń. Gdy jednak ci dogonili uciekinierów, był już ranek. Dziewczyna spędziła z obcym mężczyzną noc poza domem. Ojciec sam chciał wsiąść na konia, gonić ją, złapać za suknię, szarpnąć, porwać, a potem... przytulić do siebie. Pomyślał, że gotów byłby kupić jej wszystkie fatalaszki, nawet kreację ze zbyt śmiałym dekoltem, buciki na zbyt wysokim obcasiku lub zbyt drogą etolę z białych lisów, nawet... wszystko. Byle tylko była za ścianą, zaspana, potargana, pachnąca nocą, a nawet i lekko śmierdząca, jak wtedy, gdy skraj nocnej koszuli zamoczyła niechcący w nocniku. Nie wsiadł jednak na konia ani do bryczki, nie ruszył sam w pościg. Został w domu, swoją osobą świadcząc, że świat się nie skończył, że wciąż warto żyć – choć sam czuł inaczej. Służba snuła się po domu, markując robotę, żona zamknęła się w swoich pokojach, zapewne wypłakując bezradnie oczy. Drugą córkę powierzył guwernantce, surowo oznajmiając, że jest za nią odpowiedzialna własnym życiem. Czuł, że musi trzymać fason, że trzeba pokazać dookoła siłę, udawać... Ale co udawać?

Wielokrotnie w ciągu tego dnia i następnych miał wrażenie, że to tylko urojenie. Że obudzi się i zaśmieje z niedowierzaniem, jak głupi sen mu się przytrafił. Potrząsał wtedy głową, szczypał swoje ramię lub udo, aż pokryły się siniakami. Za każdym razem, niestety, czuł. A co gorsza, odczuwał do końca życia, choć wolałby zamknąć się w jakiejś bańce, puszcze, skorupie. I nawet udatnie udawał, że tak zrobił, pomimo że w dniu ucieczki Anny jego dusza rozpadła się bezpowrotnie na kawałki.

Tymczasem po jeździe długiej jak sznur koralików do obszycia obrębków sukni zadowolony Jan w końcu oznajmił:

– Dojeżdżamy.

Anna podniosła głowę. Nieprzespana na trzęsącym się wozie noc była pierwszą taką w jej życiu. Wcześniej nie spała w nocy dwa razy. Raz z wrażenia, że ukradkiem wypila kieliszek nalewki, gdy kucharka, zajęta szykowaniem kolacji, mieszała w garach. Drugi raz rok temu, gdy wyczekiwała na pudła przywiezione przez ojca od renomowanego krawca ze stolicy. Miał wrócić po południu, ale nie mogli doczekać się jego powrotu. Matka zarządziła porządki, by zająć czymś zarówno rodzinę, jak i służbę. Oczekiwanie przedłużało się, dom zapadł w sen, szczególnie służące, zmęczone sprzątaniami, udały się na spoczynek. Anna

zaś wtedy spać nie mogła. A w ciągu tej nocy na wozie przysypiała kilka razy zaledwie na chwilę. Była niewyspana, ale w ogóle jej to nie przeszkadzało, choć musiało już minąć południe. Takiej przygody nie przeżyła nigdy!

Uświadomiła sobie, że rozmyśla o tym, jak opowiedzieć o wszystkim siostrze. Przez chwilę poczuła smutek. Zrozumiała bowiem, że nie będzie miała takiej szansy. Siostra została w minionym życiu. Bez wątpienia pustym i pozbawionym wrażeń.

Rozejrzała się uważnie. Wokół były pola, dalej majaczył sad. Rżyska wyglądały mało efektownie, Anna wolałaby sady i warzywniaki, jakich pełno było wkoło ich dworku. Przydałoby się też jezioro z pochyloną na brzegu wierzbą.

Siadałabym na brzegu i wpatrywała się w odbicie zielonych gałęzi – rozmyślała dziewczyna. – Może nawet z książką. Byłoby tak pięknie!

Stawu jednak nigdzie nie było widać. Wokół pola i ciemna plama drzew owocowych. W środku dnia, gdy słońce oświetlało każdą bruzdę ziemi, okolica wyglądała jednak interesująco. Anna nie zastanawiała się, jak będzie w nocy. Szukała wzrokiem zabudowań, w końcu Jan zapowiedział, że się zbliżają. Była podniekszycowana. Zaraz zobaczy swój nowy dom!

Wyobrażała sobie, że będzie piękny. Marzyła, że w przyszłości sama rozplanuje ogród. Szeroki podjazd przed wejściem, a z tyłu posesji duży parter obsadzony bukszpanami. Tam będzie przyjmowała gości, na niewielkim tarasie z białymi tralkami. Być może wzdłuż alejek każe postawić kilka białych posągów, to powinno dobrze wyglądać.

Jan zatrzymał wóz. Siedziała wciąż dalej, gdy podszedł i podał jej dłoń. Spojrzała na niego z niezrozumieniem.

– Jesteśmy w domu – powiedział z dumą.

Anna zdołała przełknąć łzy, nie dała jednak rady się uśmiechnąć.

To był największy i najpiękniejszy dom we wsi. Drewniany, ze strzechą kładzioną w ubiegłym roku, całym nową. Nie zwróciła na niego uwagi, w cieniu niedalekich jabłoni nie rzucał się w oczy, choć gospodarz zadbał, by został świeżo pobielony. Jan poprosił też wszystkie kobiety z rodziny o pomoc i wnętrza ozdobiono mnóstwem wstążek przytroczonych do powały, rozchodzących się na boki. Wszystko zostało przygotowane na przybycie nowej pani. Było pięknie.

Mężczyzna z dumą prezentował Annie obejście. Wielką izbę z dużym piecem, ze specjalnie zamówionymi ozdobnymi drzwiczkami. Nikt we wsi takich nie miał. Stół pod oknem, w które Jan wstawił sprawdzone specjalnie szyby, pomalowany był w wielobarwne wzory. Nowe ławy przy stole, dwa razy heblowane.

Był bardzo dumny. Poza izbą główną dom miał także drugi pokój, sypialnię, a w nim wspaniałe, długie łóżko. Widział takie w domu Anny i takie zamówił, gdy kilku chłopów wracało z pracy u ojca Anny do rodzinnej wsi.

– Niech mi Mietek takie przygotuje – powiedział poważnie, ukradkiem pokazując chłopakom, o co chodzi. – Dobrze zapłacę.

Jeszcze nawet w nim nie spał. Pierzyny nie było, każda pani domu koldrę wносиła w posagu. Poduszki też.

Anna nie była każdą.

– Zwierzęta będą w sieni. Żadna koza ni kura nam się po izbie nie będzie plątać – powiedział z dumą.

– Koza? Kura? – odpowiedziała Anna odruchowo.

– Będziemy tutaj szczęśliwi.

Ksiądz przyjechał w ciągu godziny. Pobłogosławił młodych, choć zalecił, by ślub się odbył normalny, w kościele, zgodnie z obyczajem. Coś jednak zaradzić musiał, bo panna przyjechała do kawalera, nie było dla niej we wsi innego miejsca. Tylko ten dom, a jak miała w nim zostać? Bez błogosławieństwa? Jakby

z obcym. Niemożliwe. Dlatego błogosławieństwo dał, kosze z dobrostanem przyjął i kazał zapakować na swój wóz. A na datek ślubny i tak czekał.

Noc spędzili w łóżku, ale przykryci paltem Jana. Anna miała tylko lekką narzutkę, balowe suknie nie nadawały się do przykrycia.

Druga nieprzespana noc to było dla Anny zbyt dużo. Zapragnęła powrotu. Do matki, ojca, któremu na pewno w końcu przeszłaby złość na ukochaną córkę, do siostry i służących. Do ciepłego łóżka, puchowej wywietrzonej pierzyny i śniadania podanego na porcelanowym talerzu. Chciała przytulić się do matki, poczuć jej dłoni na swoich włosach, uczesanych wcześniej szczotką z miękkim włosiem przez ulubioną służącą. Chciała napić się zbożowej kawy. Tyle rzeczy chciała!

Nie zabrała ze sobą szczotki do włosów z miękkim włosiem. Talerze były na miejscu, drewniane. O pierzynę musiała się zatroszczyć. Zamiast kawy mogła napić się świeżego zimnego mleka. Nie umiała obsłużyć pieca, nie potrafiła zagrzzać posiłku.

Poczuła, że przygoda jej życia odrobinę ją przerosła, ciągle jednak jeszcze uważała, że wszystko da się przysposobić. A przede wszystkim, że ma dokąd wrócić. Że jej prawdziwy dom jest tam, skąd uciekła. Tutaj jest tylko na chwilę. Wysoki blond chłopak o niebieskich oczach? Uroczy. Ale przecież nie pozwoli mu się dotykać!

Dopiero po kilku dniach do Anny dotarło, że nawet gdyby miała dokąd – nie ma jak wrócić. Końmi nie umiała powozić. Piechotą za daleko. Innych opcji nie było.

Chcąc nie chcąc, jako najpiękniejsza panna młoda we wsi poszła do ślubu z Janem w czepcu ozdobionym kolorowymi wstążkami. Miała na sobie spódnicę z barwnego pasiastego sukna, suto marszczoną w pasie, cudownie leżała na jej wiotkiej kibici. Białą bluzkę z haftowaną falbaną ofiarowała jej bratowa Jana, która po czwartym dziecku nie mieściła się już w żadne ubranie sprzed lat. W tej bluzce też brała ślub, a to dobra wróżba.

– Będziesz szczęśliwa – mówiła do Anny uśmiechnięta dziewczyna z dzieckiem przy piersi, którego imienia Anna nie potrafiła zapamiętać.

Cała wieś zesłała się na ten ślub, do którego oblubienica szła z zaczerwienionymi oczami i wykrzywionymi ustami. Wydawała się wyniosła, oczy jednak mówiły coś innego. To był wzrok przestraszonego zwierzęcia.

Jan uważał, że jest szczęściarzem i wszystko ułoży się idealnie. Anna starała się nie myśleć.

Gdy po ślubie wracali do drewnianego białego domu, wybiła dokładnie ta sama godzina, w której Anna po raz pierwszy ujrzała swój dom. Nie miała zegarka i nie potrafiła tego stwierdzić, była jednak dokładnie trzynasta czterdzieści siedem.

## Rozdział 3

Justyna się przeciągnęła. Po wczorajszym dniu, długim i pełnym wrażeń, spała długo. Obudziło ją słońce, wpadające przez okno przysłonięte żakardową firanką, której wzór jako żywo przypominał te osiągalne w sklepach tekstylnych w latach osiemdziesiątych. A może właśnie nieosiągalne.

Dokładnie tak zresztą było. Firanka została kupiona, bo akurat była dostępna. Leżała potem w komo-dzie przez prawie trzydzieści lat, w końcu przed przyjazdem synowej matka Huberta zdecydowała się zawiesić ją w oknie. Głównie dlatego, że była prawie zupełnie na wymiar, może trochę przykrótka, kto by się tym jednak przejmował.

Przyjazd synowej wymagał przygotowań.

Bogna wysprzątała dwa pokoje, choć w duchu zrywała się, że aż tyle.

Po co im dwa? – myślała. – Na sypialnię wystarczy jeden, cała reszta i tak będzie się odbywać na dole, w dużym domu. Gotowanie i wszystko inne.

„Duży dom” był dla niej synonimem prawdziwego domu, pokój na piętrze, a nawet dwa, bez kuchni i tylko z niewielką łazienką, nie mógł stanowić prawdziwego miejsca do życia. Owo miało się toczyć w jej kuchni, w jej salonie i na jej warunkach.

Wysprzątała jednak dwa pokoje. W jednym ustawiona była rozkładana kanapa, choć Hubert chciał pełnowymiarowe łóżko.

– Będzie niewygodnie – martwił się.

– Nie ma być wygodnie – odpowiedziała mu matka. – Ma być skutecznie. Co rok prorok najlepiej.

Kanapa została, do tego stolik na trzech nóżkach, dwa krzesła i głęboka trzydrzwiowa szafa z lakierowanej na ciemno płyty. W drugim pokoju stół i krzesła, nic więcej. Podobnie skromnie umeblowana była łazienka – prysznic z plastikową zasłonką PCW we wzór w niebieskie delfiny, szmaragdowy dywanik wokół sedesu, lustro z półką i biała narożna szafka.

Justyna pomyślała, że na tle pozostałych pomieszczeń jest to przestrzeń wyjątkowo skromna. W pierwszej chwili odrzuciła pomysł, że musi zasłużyć na coś ładniejszego, ale gdzieś z tyłu głowy to spostrzeżenie pozostało. Hubert obawiał się, że całość może nie przypaść do gustu młodej żonie, ale w pewnym momencie przestał się tym przejmować. Dom jest, jaki jest. Justyna z pałacu nie przyjechała, a stąd i tak nie miałyby gdzie wrócić.

Justynie wystrój wnętrza się oczywiście nie spodobał, nie miała jednak potrzeby rewolucyjnych zmian. Jedyne, co chciała wymienić jak najszybciej, to żakardowa firanka. Marzyła o muślinowej, upinanej na boki, z szeroką szarfą zbierającą gęste fałdy. Miała być piękna, ale chyba najbardziej zależało Justynie, by widzieć przez nią świat. Obecnie wiszący w oknie gęsty żakard przepuszczał słońce, ale widoków nie zapewniał.

Odsunęła firanę. Oparła łokcie o wąski parapet i zapatrzyła się w sielski krajobraz. Dom stał na uboczu, można było dojechać doń z dwóch stron. Wczoraj przyjechali od lasu, dalej droga prowadziła wprost do wsi. Nikt nie korzystał z tego skrótu. Jeździli tędy tylko oni. Dwie koleiny wiodły wśród pól, wzdłuż ciągnął się rów melioracyjny, pusty w tej chwili. Droga wydawała się sucha, i na pewno taka była. Justyna przypomniała sobie tumany kurzu unoszące się poprzedniego dnia za samochodem.

Patrzyła na czerwoną wieżę kościoła, drugą, niższą, remizy strażackiej i zabudowania pomiędzy. Kilka-naście domów ukrytych w niewielkich ogrodach, wszystkie ustawione frontem do drogi. Polny trakt pro-

wadzący od ich domu był bowiem prostopadły do głównej ulicy we wsi, wąskiego asfaltu bez krawężników, popękanego na brzegach.

Justyna jeszcze tego nie wiedziała, ale tam mieściło się centrum wsi. Kościół i remiza, to oczywiste, poza tym – co dla niej miało być najważniejsze – sklep spożywczo-wielobranżowy, punkt pocztowy i biuro informacji turystycznej w jednym. Z tego ostatniego faktycznie istniała wyłącznie wypłowiata wywieszka na drzwiach.

Justynę ciągnęło jednak w drugą stronę. Miała wrażenie, jakby kapliczka przywoływała ją do siebie. Z okien sypialni nie widziała sosnowego lasu. Zajęta rozpakowywaniem skromnego dobytku, pomaganiem teściowej, poznawaniem domu, wczoraj nie miała dość czasu, by przyjrzeć się ścianie drzew. A teraz nie potrafiła oderwać od niej myśli.

Po szybkim prysznicu zeszła na dół, śniadanie czekało na nią na talerzyku z ozdobnym brzegiem w kwiatki. Dwie kanapki z lekko zeschniętym żółtym serem i łyżka twarogu.

– Jajecznicę zrobię – powiedziała Bogna na jej widok. – My już zjedliśmy.

– Zasnęłam – wytłumaczyła się Justyna, czując dezaprobatę w jej głosie. – Wczoraj miałam dużo wrażeń.

– Niech je – odpowiedziała świekra, nie okazując emocji.

Justyna pochyliła się nad talerzem. Jajecznicę pachniała wybornie. Szczypior był tak świeży, że aż szczypał w oczy. Chleb dzisiejszy, godzina czy dwie stania na stole mu nie zaszkodziły. Takiego pieczywa w Warszawie nigdy nie spotkała, zjadła więc do ostatniego okruszka.

– Smakuje? – zapytała Bogna bez uśmiechu.

– Znakomite – odpowiedziała dziewczyna, zabierając naczynia ze stołu.

– Zostawi. Sprzątnę.

– Chętnie pomogę. Przecież od wczoraj tu mieszkam – powiedziała łagodnie.

Umyła i wytarła naczynia.

– Tylko nie wiem, gdzie poukładać... – Rozejrzała się bezradnie.

– Zostawi. Poukładam. – Teściowa miała dość krzątania się obcej po jej kuchni. Odepchnęła Justynę łokciem, niby niechęć. Gest pozornie bez znaczenia.

– Może zrobię herbaty? – zapytała dziewczyna.

– Wodę wstawi. – Bogna kiwnęła głową w stronę elektrycznego czajnika. – I ciasta nakroi.

Justyna posłusznie wykonała polecenia. Musimy się do siebie przyzwyczaić – uznała. – Też bym chyba nie była szczęśliwa, gdyby ktoś z dnia na dzień wszedł do mojego świata i zaczął w nim zamiatać.

Podawa szklanki w koszyczkach i pomyślała, że niewiele się zmieniło. Nie tak dawno piła we własnym domu herbatę ze szklanek w metalowych koszyczkach. Potrząsnęła głową. Teraz jest nowe życie i nowy, lepszy świat – zdecydowała. – Kubek jest nowoczesny, metalowa plecionka nie. Kupię kubki.

Ułożyła równo talerzyki z piaskową babką i usiadła przy stole.

Herbatę wypili, prawie nie rozmawiając.

– Dla Huberta ciasto ukroiła?

– Oczywiście.

– Jak wróci, musi zjeść. Chłop głodny, to nieznośny.

– Oczywiście – potwierdziła znów Justyna.

Poprzedniego dnia dokładnie obejrzała jadalnię, salon i kuchnię. Każda powierzchnia, pionowa i pozioma, wysprządana była na błysk i Justyna podejrzewała, że to nie na pokaz z okazji jej przyjazdu. Krysztaly w serwantce lśniły, na okiennych szybach nie wypatrzyła żadnego zacieku, serwetka z szeroką koronką na szafce pod telewizorem leżała równo ułożona w romb.

– Mamo, może przejdę się trochę, obejrzę okolice.



– A idzie – odpowiedziała Bogna z zadowoleniem, które nieudolnie starała się ukryć.

Odpocznę trochę we własnym domu bez tej smarkuli – pomyślała.

Justyna wyszła, uważnie rozglądając się wokół. Nieszczerólnie było na co patrzeć. Przydomowy ogródek, dalej pola w każdą stronę. Z jednej strony wieś z górującą wieżą kościoła, z drugiej las.

I to las przyciągał dziewczynę. Ruszyła powoli w jego stronę. Jak na marzec przystało, pola zaczynały się zielenić. Od dłuższego czasu nie padał deszcz, śniegu zimą było mało i stopniał już w lutym. Choć Justyna szła powoli i tak unosił się za nią kurz. Zeszła z drogi na kawałek zieleni. Rodzaj miedzy oddzielającej drogę od pola. Szło jej się tam ciut mniej wygodnie, chwasty ukrywały nierówności terenu, ale przynajmniej się nie kurzyło. Rów z drugiej strony drogi był zupełnie wyschnięty.

Śpiewały ptaki, Justyna przystanąła na chwilę, słuchając. Słyszała ciekawskie zapytania zięby i świergot rudzika. I oczywiście ćwierkania wróbli. Odetchnęła głęboko. Pachniało ziemią i świeżością, takiego zapachu w mieście nie można odnaleźć.

Las z daleka wyglądał na przykurzony i gęsty. Zbliżała się do niego powoli, aż stanęła pod pierwszymi sosnami. Były wysokie, ale pomiędzy nimi rosły niższe samosiejki. Teren wyraźnie pozbawiony był opieki leśnika, drzewa rosły samopas. Justyna zastanawiała się, czy powinna wejść głębiej, zrezygnowała jednak z pomysłu. Ruszyła wokół, wzdłuż drogi.

Knieja z każdej strony zdawała się wyglądać tak samo. Gęsta, zwarta, jakby zamknięta.

Trudno sobie wyobrazić, że Hubert zbierał tu maślaki – uśmiechnęła się do własnych myśli.

Gdy straciła z oczu dom, odniosła wrażenie, że płynie. Że jest poza czasem i miejscem, istniało tylko to pole, las, słońce i ona. Wyobraziła sobie, że taki stan będzie trwał wiecznie. W końcu jednak, po chwili długiej jak cały dzień, doszła do kapliczki.

Najpierw, zupełnie jak wczoraj, zobaczyła brzozę. Długie gałęzie zwisały niemal do ziemi, drobne listki częściowo ocieniały pień. Zachłannie – pomyślała Justyna.

Znow zdarzyło się, że brzoza lśniła w promieniach słońca, jakby specjalnie na nią skierowanych, niczym sceniczne reflektory. Justyna miała wrażenie przygotowanej dla niej sceny, którą miała się zachwycić i... czy naprawdę? Tak właśnie czuła?

I odejść?

Pokręciła głową, uśmiechając się. Kapliczka – uzmysłowiła sobie. – Muszę ją przecież zobaczyć.

Zbliżała się powoli. Droga usiana była wertepami, aż dziwne, że nie czuła ich wczoraj, gdy jechali samochodem. Powietrze zgęstniało, Justynie zachciało się spać. Bez żartów! – pomyślała zdziwiona. – Spałam do ósmej!

Jej stopa wpadła w wykrot, poczuła nieprzyjemny ból. Na szczęście kostka nie została skręcona. Chyba, bo ból po chwili ustał. Powoli zbliżała się do asfaltu, potem ruszyła rażniej. Była blisko, coraz bliżej.

Rozchyliła gałęzie i nagle poczuła, że jest tutaj akceptowana. Że ma prawo tu być, jakby wcześniej ktoś podawał to w wątpliwość.

Absurd – pomyślała.

Otaczały ją kolory. Tańczyły wokół, unosząc się w powietrzu, jak wirująca tęcza.

Weszła w cień brzozy, oglądając kapliczkę. Biała, wyraźnie świeżo wapnowana, przystrojona kolorowymi wstążkami. Wokół kilkanaście szklanych pozostałości po zniczach. Wewnątrz, za czystą szybą, umieszczono skromny posążek Maryi z dzieciątkiem w ramionach. Matka Boska miała na głowie złotą koronę, całą jej postać skrywał intensywnie niebieski płaszcz. Jej twarz była dziwna, jakby wykrzywiona. Justyna dopiero po chwili zrozumiała, że nieudolny rzeźbiarz umieścił oczy Maryi nierówno.

Nie było w tej figurce nic szczególnego. Ot, wyrób lokalnego artysty. A jednak dziewczyna ucieszyła się, że tu dotarła, choć właśnie rozboleł ją żołądek. Poczwała mdłości.

Położyła się, nakrywając dłońmi brzuch, ogrzewając go. Zwykle to pomagało na bóle w tych okolicach. Leżała tak chwilę, zdawało jej się – krótką. Zamknęła oczy i natychmiast pod powiekami dostrzegła ele-

gancki pokój, w nim na szerokiej kanapie obitej ciemnoróżowym aksamitem w pasy siedziała kobieta w chabrowej kreacji. Głęboko wycięty dekolt sukni, przesłonięty półprzezroczystym szalem, falował w gwałtownym spazmie.

– Szukaj jej! Szukaj!

– Nie ma potrzeby. – Mężczyzna chodził nerwowo po pokoju, przemierzając wydeptaną już ścieżkę na całym nowym tureckim dywanem. – Uciekła. Sama z siebie. Nikt jej nie zmuszał. Czego jej brakowało? Czego, czego, czego? – Ostatnie słowa podkreślił walnięciem pięścią w niewielką, intarsjowaną serwantkę, aż zadźwięczały kryształ. Oszczędził drugą, z porcelaną, ta była zbyt cenna.

– Potrzebowała przygody! – odważyła się powiedzieć kobieta, a mężczyzna zatrzymał się z wyrazem twarzy, który przypominał maskę potwora. – Ale wróci!

– Wróci? A po co? Co z nią zrobię? Nikt jej nie zechce! Nikt! Wieść już się rozeszła, dochodzi do wszystkich, szepczą, wszędzie szepczą. Nie jestem nawet pewien, czy nie odwołają zamówień – na wina, na kukurydę, na buraki... Pszenicy mamy tyle, że jeśli szybko jej nie sprzedam, nie pomieszczę w spichlerzach. Zmarnuje się.

– Zniknęła nasza ukochana córka, a ty o interesach? O zbożu? – Kobieta chwyciła się za pierś w teatralnym geście.

– Nie. Ja o życiu – odpowiedział. – Twoim, moim i naszej drugiej córki, równie kochanej. Anny już dla nas nie ma. Będziemy za nią tęsknić w milczeniu. Rozmawiać o niej – już nigdy.

Justyna ocknęła się i uśmiechnęła do własnych myśli.

– Brazylijska telenowela – skwitowała półgłosem. – Czy taką kiedyś oglądałam? – Usiadła i potrząsnęła głową. – Pora wracać – nakazała sama sobie. – Droga do kapliczki okazała się długa i trudna. Szłam tu chyba ze dwie godziny? Dwie godziny? Przecież wczoraj przejechaliśmy tę drogę w kilka minut.

Wyszła z cienistych objęć brzozy i ruszyła w stronę domu. Dotarła tam w kwadrans, po drodze czując coraz większy ucisk na żołądku. Po przyjsciu na miejsce musiała się natychmiast położyć.

– Mama wybacz – powiedziała. – Chyba za dużo świeżego powietrza.

– A idzie – odpowiedziała Bogna.

## Rozdział 4

- I dobrze, że mdli! - odpowiedziała Bogna całkiem zadowolona. - Powinno. Po ślubie już, to wypada. - Kobieta zaśmiała się chrapliwie, choć przecież zamierzała być miła. I naprawdę była zadowolona.

- Mamo! - Hubert wywrócił oczami. - Na wszystko przyjdzie pora. Co to? - Zmienił temat, grzebiąc łyżką w garnku. - Pycha.

Chłopak jadł prosto z rondla.

- Kapuśniak, jak lubisz. Na smalczyku.

- Nie to. O to pytam. - Wskazał palcem. - Dobrze.

- To? - Matka się skrzywiła. - Niby pomidorowa. Na wodzie, palcem pisana. Tej twojej, jak jej tam.

- Mamo! Nie dasz zapomnieć, że ci na ślubie podpadliśmy? To moja żona, twoja synowa, daj jej spokój.

- Podpadliście, powiadasz? Ty byś takiego pomysłu nie miał, nie tak cię wychowałam. Żeby obiad zamiast wesela gościom stawiać? To wstyd nie do zmazania. Jak na stypie! Ślub bez wesela nieważny!

- Przed księdzem ślubowaliśmy, jak chciałaś. Dokumenty mamy, jak trzeba. Kochamy się, więc najnarzekaj.

- Nie tak cię wychowałam - powtórzyła Bogna. - Przemądrzały się w tej Warszawie zrobiłeś. Pojechałeś na nauki, żeby gospodarkę postawić na nogi, żeby ojcowskie morgi rodziły, odłogiem nie leżały.

- I żeby żonę przywieźć.

- Żonę? Miałową? Kobietę to ty miałaś tu znaleźć, odpowiednią, do pracy zaprawioną, co jej jedzenie kapusty na przednówku nie przeszkadza! Mało miałaś chętnych? Sznureczek panien się ustawiał, co najpiękniejsza we wsi, chętna!

- One chętne na te ojcowskie morgi, nie na mnie. Nie widziałaś tego, mammo? Łypały tylko okiem, każda jedna. Na dom, ziemię. Wszystko by zrobiły, by się w pieniądze wżenić.

- Na dom, kryształ w kredensach i złocene płytki w łazienkach. Co w tym złego? Dziewczyny chcą mieć w życiu wygodnie, to i kandydata starannie oglądają. Dobrze to o nich świadczy, że za gołodupca nie chcą iść, dzieciom pragną przyszłość zapewnić.

- Mamo, postaraj się - powiedział miękko, odkładając łyżkę i podchodząc do matki. Zamknął ją w szerokich ramionach.

- Ach, synku - westchnęła tęsknie.

Za czym tęskniła? Za dorodną panną, z okrągłymi policzkami i wałeczkami na palcach, co to drożdżowe zagniecie w chwilę, zacyzn na chleb nastawi, golonkę z piwem mężowi poda? A może za własną młodością, gdy krzątając się wokół kuchni, szykowała dla męża pieczone, pączki na smalcu smażyła? A może, po prostu, za mężem? Który pewnego dnia zwyczajnie źle się poczuł, jak nie on. A potem leżał w ich małżeńskim łóżku, błądny, bez sił. Aż w końcu na szpitalnym posłaniu uśmiechał się spod wąsa, nieudolnie próbując ukryć chudość i kaszel. Operacja się nie udała. Ten uśmiech musiał wystarczyć Bognie już do końca dni, żadnego innego nie było. Mogła też tęsknić do czasów, gdy z nadzieją co miesiąc czekała, aż nie nadejdzie to, co przychodziło regularnie, brudząc majtki. Nie chciała o tym nikomu opowiadać, ani teściowej, dobrej kobiecie, która wszystko rozumiała i głaskała ją po głowie bez słowa, ani mężowi, ani synowi. Jedynemu, którego udało jej się urodzić, choć w jej duszy spoczywało wiele dzieci niedonoszonych, nigdzie nawet niezgłoszonych. Żaden lekarz, tylko ona wiedziała, a w rogu ogrodu układała za każdym razem kamień. Przychodziła tam czasami, niby pieląc, w tajemnicy, ukradkiem głaskała kamienie jak główki dzieci. Dlatego uważała, że z mdłościami należy się śpieszyć, nie zwlekać, by doczekać gromadki

wnuków. Z jednego to nigdy nie wiadomo, co będzie. A tak, spośród wielu, zawsze któreś na dobre wyróżnie. Dobrze, że jej Hubert tak się udał... A może tęskniła za jeszcze czymś innym?

Ze schodów przysłuchiwała się wszystkiemu Justyna. Po cichu wycofała się na górę, otworzyła drzwi do łazienki, po czym upuściła metalowy pojemnik. Dopiero wtedy zeszła na dół, starając się robić jak najwięcej hałasu.

- Pyszna zupa, kochanie – powiedział Hubert. Bogna zacisnęła szczęki i się nie odezwała.

- Dziękuję – niemal szepnęła Justyna.

Hubert zjadł drugi talerz zupy, tym razem kapuśniaku, wszyscy byli zadowoleni.

- Twoja mama mnie nie lubi – odważyła się zagadnąć Justyna, gdy już po obiedzie znaleźli się w sypialni.

- Głupoty ci chodzą po głowie – skwitował.

- Byłam dzisiaj przy kapliczce.

- A po co cię tam zaniósł? Nie lubię tego miejsca.

- Miałam dziwne wrażenie, jakby mnie tam coś wołało. Do lasu, w tamtą stronę. Ale gdy już byłam blisko, to jakby...

Hubert czekał. Rozbierał się, zamierzał położyć się po obiedzie.

- Coś mnie odpychało. Z każdym krokiem szło mi się ciężiej, jakby pod górę. Ale gdy odstąpiłam gałęzie brzozy, to się nagle zmieniło. Raptem poczułam ciepło, jakby słońce wyszło zza chmur.

- Nie chodź tam – uciął twardo.

Justyna wzruszyła ramionami. Klócić się nie będę – pomyślała. – A co zrobię? Zobaczymy.

Hubert wyciągnął się na łóżku. Przykrył się tylko do pasa i kiwnął wskazującym palcem na żonę. Uśmiechnęła się i podeszła do niego, wyginając ciało jak kot.

- Będziemy pracować nad potomkiem? – zamruczała.

- Trzy razy dziennie – odpowiedział.

Bogna nie była świadkiem rozmowy, za to doskonale słyszała stukot mebla o ścianę. Uśmiechała się. Tak właśnie powinno być.

- Dlaczego tak bardzo nie chcesz, bym tam chodziła? – Justyna nie dała za wygraną.

Hubert westchnął.

- Kapliczka to miejsce na nabożeństwo. Jak ksiądz będzie odprawiał, wtedy idź.

- Ej, no weź – zamruczała znowu, przejeżdżając palcem po jego torsie, teraz lekko spoconym i błyszczącym.

- Dziwnie gadają, nie chcę, żebyś tam łąziła.

- Skoro mnie ciągnie jak po sznurku.

- To przetnij sznurek i trzymaj się domu. A teraz czas na dół. Mam robotę.

Justyna westchnęła. Hubert wstał, przeciągnął się. Mięśnie zagrały pod skórą tak, jak Justyna lubiła najbardziej. Wstała i przytuliła się do męża.

- Muszę pójść do sklepu – powiedziała, patrząc przez okno. Marcowy dzień dobiegał końca, nisko wiszące słońce oświetlało wieżę kościoła. Wyglądała jak wyjęta z półmroku.

- Czegoo potrzebujesz?

- Nie. – Zaśmiała się. – Skądże. Wszystko tu jest. Ale z kimś rozmawiać muszę. Nie tylko z mamą. Zresztą mama nie powinna dźwigać, więc od teraz ja zajmę się zakupami. No i pewnie wieś jest ciekawa, kogo przywiozłeś.

- Może i racja. Powinnaś. W sklepie obsługuje Magda, idź do niej. Tylko uważaj, co gadasz. Magda to lokalne centrum informacji turystycznej. – Zaśmiał się. – Dosłownie i w przenośni.

- To śmieszne, że ktoś jest plotkarzem?

– Oj, wielkie słowa. Chodzi o to, że na drzwiach sklepu jest naklejka... zobaczysz sama.  
Justyna odruchowo zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Ku jej zdumieniu wskazywał aktualną godzinę.

– Przecież... – powiedziała cicho, zawieszając głos.

Hubert spojrział na żonę pytająco.

– Wyłączyłam go. Zatrzymałam.

Hubert wciąż patrzył ze zdziwieniem.

– Jest głośny.

– Zegar?

– Głośno tyka. Przeszkadzał mi. Zatrzymałam wahadło dziś w nocy. U uruchomiłeś go?

– Nie, skąd. – Wzruszył ramionami.

– Musiała to zrobić mama. A wolałabym, żeby tu nie wchodziła – powiedziała z westchnieniem.

– To jej dom przecież.

– Ale nasz pokój. Pokoje. Nasze. Poradzę sobie ze sprzątaniami, nie musi mnie kontrolować, chciałabym móc...

– Daj spokój – uciął temat. – Robotę mam, muszę iść, żeby wszystko ogarnąć przed ósmą.

– Mecz? – zapytała domyślnie. Hubert był zapalonym kibicem. Oglądał wszystkie mecze piłki nożnej, incydentalnie nie gardząc innymi dyscyplinami sportu. – Ale masz jeszcze pięć godzin.

Kiwnął głową.

– I mnóstwo roboty. Ciągnik ostatnio pyrkał, coś szwankuje.

– Znasz się na tym? Nie potrzebujesz mechanika?

– Ja? Mechanika?

– Na wsi każdy jest mechanikiem – odezwała się Bogna, stając w drzwiach.

Justyna podskoczyła.

– Co taka strachliwa.

– Mamo, ale...

– Każdy umie w silniku pogrzebać. Na ciasto chodźcie.

Hubert odwrócił się i wyszedł za matką. Justyna została w pokoju sama.

## Rozdział 5

Z okna ich sypialni Justyna często spoglądała na dalekich sąsiadów. Kościół, remiza, sklep, trzy domy i reszta wsi. Szybko się nauczyła, że w lokalnej społeczności odrębnie istniała wieś, ostoja „trzy domy”, cokolwiek to miało oznaczać, ich dom i chałupa znachorki na końcu wsi.

Nikt tu się nie silił na wielkie rezydencje. Ich dom był największy i niegdyś najbogatszy. Teraz zostało tylko to pierwsze. Budynek ostatnio remontowano dwadzieścia lat temu, chociaż z wyraźnym zacięciem do budowlanki, to jednak bez gustu. Musiał to zrobić ojciec Huberta – myślała Justyna. – Taki ostatni podarunek dla tego świata.

Kafelki w dużej łazience, z której Justyna „mogła korzystać w dowolnym momencie”, miały pałacowe motywy i złożone dekoracje. Część imitowała beżowy kamień z wytłoczonymi greckimi motywami. Rozmieszczone na wszystkich ścianach meandry miały różną wielkość i występowały na niezliczonych elementach wystroju pomieszczenia. Nie tylko na płytkach, także na ręcznikach, dywanikach, pojemnikach na mydło. Zdobienia na kafelkach zostały pozłoczone. Meandryczny ornament umieszczony został także na szklanych mlecznych kloszach, a baterie nad umywalką i przy wannie wykończono gałkami ze sztucznymi, błyszczącymi kamieniami. Reszta wyposażenia także robiła wrażenie: sanitariaty we wzorki, umywalka w kształcie muszli, na sedesie niepasująca do pozostałych dekoracji deska z motywem koników morskich zatopionych w przezroczystym wieku. Dominowało bałaganiarskie połączenie stylu i smaku z kompletnym bezgusciem. Jedyne, co było pewne i widoczne na pierwszy rzut oka, to koszt.

Pomimo wątpliwych walorów estetycznych Justyna wolała korzystać z dużej łazienki. Brak greckich ornamentów w jej własnej zupełnie jej nie przeszkadzał, ale pomieszczenie było tak małe, że z trudem udawało jej się w nim poruszać. Justyna miała przygotowaną kosmetyczkę, z którą cicho przemieszczała się po korytarzu. Ręcznik, piżama, szybki prysznic bez objawiania łokci. I powrót do własnej sypialni.

Rozważała zamontowanie zamka w drzwiach, nie śmiała jednak zaproponować tego Hubertowi.

U teściowej było przeraźliwie czysto, wręcz sterylnie. Justyna była przyzwyczajona do większej swobody, w jej życiu czystość nie stała na pierwszym miejscu. Matka opuściła rodzinę, kiedy dziewczynka miała pięć lat, a starsza siostra Justyny – osiem. Ojciec radził sobie, jak umiał. Ważne dla niego były czyste ubrania dziewczynek i codziennie ciepły posiłek. Czysta podłoga? Leżała poza zasięgiem jego zainteresowań.

Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Kobieta? Zostawiła dzieci? A jednak. Justyna od prawie dwudziestu lat nie widziała swojej matki. Czy tęskniła? Oczywiście. Kilkuletnie dziecko z dnia na dzień pozbawione obecności najważniejszej osoby nie mogło zrozumieć ani zaakceptować, ani nie tęsknić. Jak twierdziły sąsiadki, jej matka mieszkała niedaleko, gdzieś w sąsiednim miasteczku. Ktoś ją kiedyś widział, podobno, gdzieś. Informacje, jeśli jakiegokolwiek do Justyny docierały, były dalece niekonkretne. Podobno kochanek. Podobno niejeden. Same niejasności.

Ojciec Justyny nie narzekał. Zaciśnął zęby i po prostu żył. Starał się. Wokół kręciły się jakieś kobiety, co i rusz któraś z sąsiadek niby niechcący przedstawiała mu kuzynkę, siostrę ciotki, znajomą znajomej. Był uprzejmy, ale nawet nie pamiętał ich imion. Szybko się żegnał, tłumacząc, że dziewczynki, że musi, obiad, pranie. Udawał, że nie słyszy życzliwych deklaracji pomocy. Wszystkie uważał za interesowne. Kobiety stały się dla niego złem wcielonym. Pomimo tego jego aura pozostała całkowicie niebieska, z przebły-skami intensywnego granatu. Justyna widziała ją wyraźnie, wciąż pozostawała szeroka i świetlista. Czasem wkradał się w nią brązowy pas, jakby wylewały się z duszy ojca nieczystości. Ojciec siadał wtedy przed telewizorem, kazał dziewczynkom iść spać. Nie przeszkadzały mu, skupione na swoich dziewczynskich

sprawach. Justyna tylko kiedyś podejrziała, jak postawił przed sobą butelkę wódki, którą następnego dnia znalazła na stole. Sprzątnęła, bo jej siostra udawała, że nie widzi.

Po takim wieczorze w aurę ojca wracała świetlistość.

Gdy siostra wyjechała do Anglii, najpierw niebieskość ojca zwięzła się, przygasła. Długo była matowa, bez blasku. Gdy jednak starsza siostra zaczęła radzić sobie w Anglii coraz lepiej, gdy ojciec upewnił się, że jest bezpieczna, jego aura stała się nie tylko przejrzysta, ale także jaśniejsza, nawet z przebłyskami błękitu. Takiej aury nie widziała u nikogo. Tylko ojciec i jej siostra. I ona sama.

Raz jeden zdawało jej się, że gdzieś daleko mignął jej podobny odcień. Musiało to być złudzenie. A potem, gdy spotkała Huberta, równie niebieskiego jak ona sama, zainteresowała się tym bliżej.

Dopiero około szesnastego roku życia Justyna przestała wypatrywać matki w każdej przechodzącej kobiecie. Przekuła tęsknotę w złość. Okres buntu nastąpił późno, za to z impetem. Jej siostra, wtedy już dorosła, studiowała, potem wyszła za męża, wyjechała z Polski, kontakt miały sporadyczny. Siostra po ekonomicznych studiach pracowała na zmywaku w Londynie, potem otworzyła firmę sprzątającą. Zatrudniała siebie i dwie koleżanki. Sprzątały porządnie, Angielki były zadowolone, polecały sobie sympatyczne Polki, pojawiło się pierwsze zlecenie od zarządcy niewielkiego biurowca, potem kolejne. Firma się rozrastała, nie było po co wracać do Polski.

A Justyna wciąż się buntowała. Dostrzegała od czasu do czasu brunatne pręgi na aurze ojca. Podejrzała jakieś kłopoty w pracy, nie chciał się nimi z nią dzielić. Przedłużały się jednak. Po kilku miesiącach zapytała go o to, zaprzeczył z uśmiechem. Nie kłamał. Jego aurę potrafiła rozpoznać bezbłędnie. Przyglądała się zatem uważniej. To właśnie wtedy zakończył się jej okres buntu. Musiała zająć się ojcem. To ona wysłała go do lekarza, to ona podtrzymywała mu rękę w szpitalu, to ona szła jako pierwsza za trumną. Nie martwiła się. Ojciec umierał spokojny, otoczony jej miłością i chyba także wiarą, że po drugiej stronie spotka tę, którą ukochał całym sercem. Po prostu pozostał wierny swojej żonie bez względu na okoliczności. Piękny wzór, z którego Justyna jednak nie wyciągnęła wniosków.

To stało się trzy lata temu, tuż przed poznaniem Huberta. Uznała, że chłopak, narzeczony, a później mąż nie przez przypadek pojawił się w jej życiu w tamtym momencie. Odziedziczyła po ojcu niewielkie mieszkanie i trochę złudzeń. Na studia nie było jej stać, przede wszystkim mentalnie. Pracowała w niewielkim sklepie spożywczym trzysta metrów od domu. Nie chciało jej się wychodzić, nie chciało jej się jeździć do centrum Warszawy. Nic jej się nie chciało. Hubert przywrócił w niej życie.

A może matka od czasu do czasu sprawdza, co u mnie? – Dziewczyna się hudiła. – Obserwuje, ale nie zbliża się. Obawia się. Najpierw reakcji ojca, teraz mojej.

Nie zamierzała się przyznawać do tęsknoty. Przestała się nad tym w ogóle zastanawiać, gdy Hubert się oświadczył.

– Wracam do domu – powiedział. – Jedziesz ze mną?

Kiwnęła głową. Przyjął jej reakcję z zadowoleniem.

– Ślub weźmiemy tutaj, żonę przywiozę z Warszawy.

Zgodziła się bez komentarza. Jak ślub, to nowe życie. Sprzedała mieszkanie po ojcu, kupiła białą sukienkę do kolan i krótki welon, resztę pieniędzy wpłaciła na konto. I razem z mężem ruszyła w nowe życie.

– Ile go znasz? – pytała jej zmienniczka w sklepie jeszcze przed ślubem.

Justyna wzruszała ramionami.

– No właśnie. Zastanów się. Chłopak ma dziary, to nie wróży dobrze. Skąd wiesz, że naprawdę ma gospodarstwo? Może tylko cię mami?

Justyna słuchała i nie komentowała.

Wiedziała, że Hubert nie kłamie. Kiedy opowiadał jej o ojcowiznie, matce, hektarach, traktorze, który lubił się psuć, miał wokół siebie szeroką pomarańczową aurę. Nie kłamał. Kochał to, o czym opowiadał.

Pozostałe pasy kolorów robiły się wtedy węższe, mniej istotne. Jak miała to jednak wytłumaczyć koleżance? Zwykle jednak Hubert był niebieski. Tak niebieski jak chabry, niezapominajki i jak sukienka na wystawie sklepu w pobliżu. Tak niebieski jak aura ojca, zanim odeszła matka. Takiego niebieskiego wokół siebie nie miał nikt.

Justyna widziała aurę ludzi od dziecka, było to dla niej tak naturalne jak oddychanie. Dlatego rysowała siostrę na niebiesko, a kota sąsiadów na żółto-zielono. Ojciec miał zwykle granatowe włosy, a odwiedzająca ich od czasu do czasu ciotka zawsze otoczona była różowym obłokiem. Kiedyś próbowała to wytłumaczyć, opowiedziała o tym, że wokół cioci jest szeroka linia, ona jest różowa, a czerwony to czasem się zmniejsza. Tego samego dnia trafiła z ciotką do księdza, który modlił się nad dziewczynką, mrucząc po cichu. Drażniło to Justynę, ksiądz miał wokół siebie ciemne, prawie czarne barwy, czuła się nieswojo. Zapytała w końcu, kiedy skończy uprawiać te czary, ksiądz się zdenerwował, nie bardziej jednak niż ciotka. Dziewczynka wysłuchała go i dorosłym głosem powiedziała:

– Ksiądz się nie denerwuje, nie warto. Za pół roku już nic dla księdza nie będzie miało znaczenia.

Pomyliła się o dwa tygodnie. Dokładnie wtedy odbył się pogrzeb księdza, który zmarł na nowotwór trzustki, zdiagnozowany trzy miesiące wcześniej. W chwili, gdy modlił się nad widzącą kolorowe aury dziewczynką, nikt jeszcze nie miał pojęcia o chorobie.

Po tym wydarzeniu ciotka przestała pytać o rysunki Justyny, a Justyna przestała komukolwiek opowiadać o kolorach. Obserwowała jedynie. Pomarańczowy w jej oczach stał się kolorem miłości, różowy naiwności, czerwony – złości. Niebieski dobroci, żółty złościwości. Zielony mądrości, ale i egoizmu, fioletowy kłamstwa, brązowy kłopotów i strachu, a czarny – śmierci. Nikomu już jednak o tym nie opowiadała.

Aurę Huberta wyczuwała nawet z zamkniętymi oczami. Był dobrym człowiekiem, wiedziała o tym, ale chwiejnym emocjonalnie. Łatwo było go wyprowadzić z równowagi, a wtedy zmieniał się gwałtownie. Jasny, świetlisty niebieski mieszał się wtedy z przejrzystym pomarańczowym szerokimi pasami, tworzył poplątane zawijasy, przekształcał się w brunatny odcień szarego, pełen zacieklej wściekłości. Wiedziała już, że wtedy nie należy Huberta drażnić. Należy pozwolić mu wrócić do ognistej pomarańczy, pozwolić, by szarobury stawał się czerwonym, by odcienie brązu odpłynęły w mglisty niebyt, by pozostawała tylko czerwień, przechodząca z każdą chwilą w pomarańcz z szerokimi pasami błękitu. Aż wracał czysty lazur.

Zagadką była dla Justyny świekra. Jej aura była biała. Zamknięta na oczy dziewczyny i na jakiegokolwiek próby przeniknięcia. To było trudne. Zwykle po kolorze Justyna potrafiła poznać, z kim ma do czynienia. Nie musiała z ludźmi rozmawiać ani im się przyglądać. Bogny nie potrafiła rozgryźć.



## Rozdział 6

– Nie wyspałeś się?

Hubert stał w kuchni, ziewając. Jego nagi tors w świetle późnego poranka zdawał się perłowy. Justyna uwielbiała patrzeć na jego wyrobione mięśnie i wyrzeźbioną klatkę. To właściwie cud, żeśmy się spotkali – pomyślała.

Teraz widziała męża jasnoniebieskiego, bez przecięć aury, bez żadnych dodatkowych kolorów.

– A skąd – odpowiedział, przeciągając się. – Wyspałem się jak niedźwiedź w gawrze.

– Wczoraj się zmęczyłeś – powiedziała miękko.

Szykowała śniadanie – ugotowała jajka, pokroiła cienko szynkę, a kiełbasę na grube kawałki, dołożyła pajdy chleba obłożone masłem.

– Ciężko było – potwierdził.

– Podziwiam cię. – Odłożyła nóż i przytuliła się do męża. – Siadaj, już podaję.

Hubert jednak miał ochotę pogadać. Zobaczyła w jego niebieskim otoku burą mgłę, szybko otaczała jego głowę i ręce. Uśmiechnęła się. Muszę go wysłuchać – pomyślała.

– Gość wpadł w poślizg.

Kiwnęła głową zachęcająco.

– W nocy padał deszcz. Na zakręcie zawsze jest niebezpiecznie, a jak jest ślisko... – Pokręcił głową. – Za nim jechał tir. Hamował, żeby go nie zmiażdżyć... To był ford. Facet zjechał z nasypu, stanął dęba oparty o drzewo i tak został.

– O drzewo? – Zdziwiła się. – Przecież tam jest kilkadziesiąt metrów do pierwszych drzew.

Hubert kiwnął głową.

– A jego zdołało aż tam wyrzucić.

– Mocno go pokieroszowało?

Hubert zamilkł. Justyna stawiała właśnie przed nim talerz z kanapkami i ozdobiony kwiatkami półmisek, na nim parujące jeszcze jajka z majonezem wczoraj ukręconym przez teściową.

– W ogóle.

– To super – odpowiedziała.

Zamyślił się.

– Odpięliśmy go z pasów i tylko przytrzymaliśmy, żeby otumaniony nie wpadł facjatą w kierownicę. Poza kilkoma siniakami nie było widać żadnych obrażeń. Pogotowie go zabrało na badania.

– Czyli dobra akcja.

Milczał długą chwilę. W tym czasie zjadł połowę śniadania.

– Tir zjechał na przeciwny pas.

Justyna przygryzła wargę. Już wiedziała. Aura Huberta stała się chwilowo zupełnie czarna.

– To był opel. Niebieski jak te kwiaty, co je matka wysiewa pod oknem. Taki nieduży, chyba corsa. – Hubert mówił powoli, z namysłem. – Prowadził facet, na oko trzydziestoletni. Obok niego siedziała żona, nieco młodsza kobieta z długimi blond włosami. Zwisaly z noszy, gdy ją przynosili, prawie do ziemi.

Justyna nie chciała więcej słuchać. Wszystko już wiedziała. Była tam, oddychała ciężkim nocnym powietrzem, śmierdzącym olejem i smarem, wilgotnym po niedawnym deszczu. Mrużyła oczy, gdy któryś z ratowników niechcący skierował latarkę w jej stronę. Widziała siną od niebieskich kogutów poświatę. Policja, karetka, straż pożarna. Wśród strażaków – jej Hubert. Skupiony, poważny, zdecydowany. Rozcinał

karoserię opła, przód auta właściwie nie istniał. Wszystkie szyby leżały rozsypane wokół na jezdni niczym brylanty.

- Przód auta właściwie nie istniał - powiedział Hubert. - Wszystkie szyby leżały rozsypane wokół na jezdni.

- Niczym brylanty - dodała Justyna.

- Co? Tak. Błyszczały niczym brylanty. Rozcinałem karoserię. Najpierw wyciągnęli ją. Jęczała cicho, więc żyła. Zmarła, zanim ją włożyli do karetki. Zaczęli ją reanimować, krzyczeli, ruszyli ostro. Kierowca karetki też wpadł w poślizg, wyprowadził auto, potem jechał wolniej.

Z faceta nie było co zbierać - pomyślała Justyna. Nie chciała kierować wewnętrznego wzroku na tył samochodu. Tam nie.

- Z faceta nie było co zbierać - powiedział Hubert.

Odsunął talerz. Wygiął usta w grymas, jakiego Justyna u niego jeszcze nie widziała. Wokół niego wciąż było czarno.

- Wyciągnęliśmy go, położony na noszach wyglądał, jakby spał - gdyby nie fakt, że ręka leżała oddzielnie, choć znajdowała się obok ciała, a prawa strona twarzy nie istniała. Nie to jednak było najgorsze.

Justyna przygryzła wargę. Nie chciała tego słuchać.

- Z tyłu w foteliku siedziało dziecko. Na oko roczne. Spało chyba w czasie wypadku. Obudziło je pewnie uderzenie i światła. Siedziało tak już dość długo, ale wciąż nie płakało. To był chłopiec. Siedział w foteliku w ciszy i machał nóżkami. Rozumiesz? Jego ojciec właśnie został pocięty przez blachy na kawałki, matkę w agonii zabrali do szpitala, a on siedział w ciszy i machał nóżkami. Co jest z tym światem?

Justyna odetchnęła. Wokół Huberta zaczęły pojawiać się pasma białej mgły. Poglaskała męża po dłoni. Potrząsnęła głową.

- Gdzie matka?

- Wyszła do ogrodu - odpowiedziała Justyna.

- Nie pomożesz jej?

- Oczywiście, że pomogę - odpowiedziała z oburzeniem. - Najpierw śniadanie dla męża, potem pielęgnię.

- A jednak nie wyobrażam sobie, żeby nie służyć.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś miał nie służyć - odpowiedziała. - Jesteś dobry, mądry i silny, kto jak nie ty? Jestem z ciebie dumna.

Uniósł kąciki ust w namiastce uśmiechu.

- Tylko wolałabym, żeby syrena nie wyla mi prosto w okno o trzeciej nad ranem.

- Los nie wybiera dogodnej godziny na wypadek. Ani na śmierć.

- Czytałam, że można jakoś inaczej. Esmesy, telefony, ta syrena musi koniecznie wyc?

- Musi - odpowiedział twardo.

- Sprzątnę. Pozmywam i pójdę do matki.

Hubert kiwnął głową, założył lekką kurtkę i wyszedł przed dom. Justyna została sama. Oddychała głęboko, z zamkniętymi oczami, przeganiając obrazy z nocy. Najbardziej przeszkadzał jej zapach - metaliczny i lekko gorzkawy zapach krwi. Był nie do zniesienia, gdy pod zamkniętymi powiekami widziała mężczyznę z ręką przytuloną do prawego boku. Wyobraziła sobie niezapominajki. Te kwiatki, które teściowa wysiewała pod oknem. Justyna widziała torebki z nasionami, jakąś pozostałość z ubiegłego roku, zapytała o nie.

- Niezapominajki się rozsiewają jak złe - odpowiedziała teściowa. - Nie wie o tym? Wyrrywam zaraz, jak przekwitną, potem do porządku dojść nie można. A na wiosnę sięję nowe, żeby szpaler był pod oknem. Jak obramowanie. Niebo od góry, to niech i od dołu będzie, żeby złe nie miało przystępu. I ogórecznik. Tak samo niebieski, i jeszcze zdrowy.

Kwiatów ogórecznika Justyna nie znała.

Od urwanej ręki i niebieskiego opla, poprzez niezapominajki Justyna doszła do względnej równowagi. Umyła i ułożyła naczynia. Weszła na górę, by przebrać się w cieplejsze spodnie, wyciągnęła też zużytą już ciemnoróżową bluzę z napisem: „Super Girl”. Prezent od koleżanki, z którą pracowała razem w sklepie. Dostała ją, gdy zastąpiła dziewczynę w potrzebie. Justyna nie była wtedy przekonana, czy powinna jej pomóc. Dziewczyna pojechała do lekarza usunąć ciążę, właściwie należało ją od tego pomysłu odwieść. Próbowała nawet, i co z tego? Miała wziąć odpowiedzialność za życie tamtej? Powiedziała więc, co miała powiedzieć, a potem w milczeniu zgodziła się zastąpić ją przez kilka dni.

Bluzę lubiła i nosiła na tyle często, że wyblakła już w praniu, poprzecierały się mankiety, a pod pachą zrobiła się dziurka. Nie warto było naprawiać.

Justyna zeszła na dół, wzięła stare mokasy i wyszła na zewnątrz. Wróciła jeszcze po rękawiczki, choć teściowa sarkąła. Dziewczyna jednak nie chciała zniszczyć rąk.

– Ziemię to trzeba czuć w rękach. Musi za paznokcie wejść, należy poczuć jej chłód w palcach, by zrozumieć, czego potrzebuje – mówiła starsza kobieta.

Justyna kiwała głową, ale rękawiczki zakładała.

Teraz podeszła do Huberta i jego matki, nie zauważyli jej.

– Ty więcej, synuś, to nie wyjeżdżaj na takie akcje – usłyszała.

– Też bym nie chciał. Okropnie było.

– Synu, okropnie, nie okropnie, ty musisz w domu siedzieć i żony pilnować.

– Mamo, nie opowiadaj.

– Już ja tam wiem swoje. Jak ty żeś wczoraj pojechał, ona pół nocy po domu się szlajała. Szafkami stukała, szklanki przestawiała. Ty w domu siedź i jej pilnuj, bo ona dziwna jakaś.

Justyna się zatrzymała. Ja? Chodziłam po domu? Co ona wymyśla?

– Żeby ci którego dnia z domu nie wyszła, ty uważaj, synu. Ty na akcje ludzi ratować, a ona pójdzie w jakieś tany.

Co ona wygaduje? – rozpaczliwie myślała Justyna.

– Mówię ci, synuś, żonę w domu przytrzymaj.

– Mamo – odezwał się z westchnieniem Hubert. – Ty znowu swoje?

– Ty matki słuchaj i rób, co mówię. Tyś chłop, to najlepiej wiesz, jak żonę w domu przytrzymać. Bo niby o mdłościach mówiła, ale coś jej przeszło. A to najlepsze, co młodej dziewczusze można dać. Zrób jej brzuch i będzie dobrze.

Jest samotna – zreflektowała się Justyna. – Chciałaby wnuka i dlatego takie dyrdymały wymyśla.

Zrobiła kilka głośnych kroków, rozmowa ucichła. Gdy wyłoniła się zza rogu domu, teściowa stała obok Huberta, wpatrując się uważnie w szpadel, którym jej syn przekopywał grządkę.

## Rozdział 7

– Ona zje?

Kiedy wreszcie ta kobieta przestanie mówić do mnie bezosobowo? – pomyślała Justyna.

– Mamo, a mamy musztardę? – zapytała głośno.

– Do białej kielbasy lepszy chrzan – usłyszała.

– Tak, mamo.

Nie było sensu się kłócić. Hubert pojechał do centrali ogrodniczej, by przed sezonem zamówić trochę nasion i nawozów, Justyna przypuszczała jednak, że potrzebował się po prostu wyrwać z domu.

Po śniadaniu Justyna sprzątnęła.

– Niech tu postawi – powiedziała Bogna.

– Do tej szafki?

– Nie tu. Z tej strony. Tutaj te małe.

Justyna spojrzała na szafkę wypełnioną miskami. Jedne stały w drugich, nie różniły się specjalnie ani rozmiarami, ani wzorkami. Wszystkie były w kwiatki.

Jak ja się w tym połapię? – pomyślała. Ułożyła miskę we wskazanym miejscu. Teściowa wyjęła ją i przetarła jeszcze raz szmatką. Justyna się uśmiechnęła.

– Posprzątała już? – usłyszała. – A tutaj? – Bogna wskazała plamy na podłodze.

– Zaraz zmyję. – Justyna ruszyła do łazienki. Wróciła z wiadrem i mopem.

– Tym będzie myła?

Justyna kupiła mop tydzień po przyjeździe. Dotychczas kilkakrotnie z niego korzystała. Spojrzała na teściową bezradnie.

– To nie myje dobrze. – Bogna z kolei spojrzała na synową z dezaprobatą.

Justyna przygryzła wargę, świekra wyszła. Dziewczyna z westchnieniem zmoczyła mop i umyła powierzchnię z jasnych płytek. Fascynowały ją fugi – choć położone dwadzieścia lat temu, kremowe wśród kremowych dużych płyt, ciągle były jasne. Nie wiedziała, że regularnie co dwa miesiące Bogna na kolanach smarowała je specjalnym żrącym płynem.

Justyna zmyła podłogę, schowała mop do łazienkowej szafki. Weszła na górę, umalowała się, przebrała. Gdy otworzyła drzwi, przed drzwiami łazienki stała teściowa.

– Wychodzi?

– Pójdę, mamo, do sklepu.

– Co nam trzeba?

– Potrzebuję jeden kosmetyk.

– Kosmetyk? Po co? Dość ma. Ja całe życie nie używałam i żyję.

– Taki drobiazg tylko, mamo. Podpasek potrzebuję – oznajmiła z westchnieniem Justyna.

– Ja to waty używałam całe życie i dałam radę. I w ogóle to nie powinny być ci potrzebne.

Justyna poczuła gorąco pod powiekami.

– Zapomniałam o czymś – powiedziała, znów chwytając za klamkę łazienkowych drzwi.

Weszła do łazienki i przymknęła oczy. Wytrzymam. Ułoży się – pomyślała dziewczyna.

Na zewnątrz Bogna machnęła ręką.

Justyna stanęła przed łazienkowym lustrem, głęboko oddychając. Nałożyła dodatkową warstwę mascary i przypudrowała nos. Odetchnęła głęboko jeszcze raz i wyszła z łazienki. Zeszła na dół. Zastała teściową na kolanach, zmywającą podłogę w kuchni. Przelknęła ślinę.

– Mamo, ja już umyłam...

– Mówiłam jej, takie mycie to żadna robota.

Justyna stała, mrugając oczami.

– Rozumiem – odpowiedziała i wyszła.

– I w ogóle nie pomyśli, że mnie wszystko boli. Plecy to od dawna, ale i brzuch ostatnio. Och, jak mnie boli. Co to tam takie młode o życiu i myciu podłogi wie. Do Pokrzydłowej trza mi pójść po moje ziółka.

Justyna już tego nie słyszała. Wyszła z domu z zamiarem pójścia do sklepu. Pomyślała jednak, że nie ma na to ochoty. W sklepie była do tej pory trzy razy, ale tylko raz sama. Poza tym towarzyszył jej albo Hubert, albo teściowa. Nie miała jednak teraz ochoty na wizytę u skądinąd sympatycznej sprzedawczyni Magdy. Wybrała zatem spacer po okolicy.

Pola zieleniały z dnia na dzień. Justyna miała wrażenie, jakby ktoś rozłożył na ziemi szmaragdowy dywan, poprzecinany nieregularnym wzorem ścieżek i miedz. Usiadła na ziemi. Dostanę wilka – zreflektowała się. W torbie na ramieniu miała tylko portfel i dwie siatki. Podłożyła ją pod tyłek.

Zasłuchała się. Ptaki. Coraz więcej ptaków. Latały nad jej głową, przysiadły w bruzdach. Wygrzebywały z ziemi robaki. Justyna przymknęła oczy, wystawiając twarz na słońce. Wydawało jej się, że słyszy, jak wiele istotnych spraw dzieje się pod ziemią. Soki dopływały do samych końców korzeni. Z nich wracały znów do góry, płynęły zasysane przez rosnące coraz wyżej łodygi, przekształcały się w liście, coraz więcej liści. Justyna usłyszała też gryzienie. Dżdżownice? Coś takiego. Innych robaków zresztą nie знаła. Żują ziemię. Jest w niej coś dla nich dobrego – uznała.

Otworzyła oczy. Nigdy do tej pory nie słyszałam takich dźwięków. Co tu się dzieje? Jakaś magia.

Potrząsnęła głową. Rude proste włosy rozsypały się wokół twarzy. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać – pomyślała. – Wystarczy się cieszyć.

Zamknęła znów oczy, ziewnęła. Po chwili zapadła w drzemkę, właściwie pozbawioną snów. Chociaż może niezupełnie... Słyszała, jak ziemia opowiada. Szepcze wiatr. Z daleka dobiegały strzępy jakiejś rozmowy, którą zagłuszały ptaki. *Nikommu nie możesz powiedzieć* – przestrzegał jakiś głos. Odpowiedzi nie było. Tylko śmiech, radosny, dziewczęcy. Potem znowu ptaki, chrupanie, chrzęst ziemi.

We śnie czuła spokój i ciepło. Otworzyła oczy z poczuciem, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się, nikogo nie było. Patrząc mógł wyłącznie zająć, który przebiegł obok, uznawszy dziwną, nieruchomą postać za niegroźną. Patrząc mógł też dom, jej dom, z niewielkimi oknami z odbijającymi słoneczne promienie złotymi szprosami. Ale dom przecież nie patrzył, szarak też nie był zainteresowany.

Justyna wstała, zupełnie nie odczuwając skutków niewygodnej pozycji. Ot, młodość – powiedziała by jej teściowa, gdyby ją w tej chwili widziała. Ale nie patrzyła, więc nie widziała.

Dziewczyna skierowała się w stronę lasu. *Nie chodź tam* – usłyszała w głowie głos męża. Nie zamierzała, nie dzisiaj. Skręciła w bok, w dróżkę prawie zarośniętą, wyraźnie rzadko używaną. Koleiny zarosły trawą i chwastami, Justyna musiała ostrożnie stawiać kroki. Co rusz natykała się na nierówność, dziurę, na zdradliwe miejsce, w którym łatwo było skręcić kostkę. Szła ostrożnie, oddalając się od domu, sklepu i lasu. Co chwilę jednak spoglądała w tamtą stronę.

Las wydawał się gładką i zwartą, zieloną ścianą. Kiedyś Justyna widziała dom w takim kolorze. Zazdrościła mieszkańcom, bo dom wyróżniał się w okolicy. Wielkością, porządkiem w obejściu, wypielęgnowanymi roślinami w ogrodzie – i kolorem elewacji. To ostatnie podobało się Justynie najbardziej. Aż do chwili, gdy poznała rodzeństwo, które tam mieszkało. W tym domu nikt się nie uśmiechał. Aura mieszkańców przypominała kolorem elewację domu – u każdego była ciemnozielona, zabrudzona. Dominował szarzielony lub brązowzielony, w zależności od dnia. Ania i Jurek, tak nazywała się para nastolatków. Trzy-

mali się razem, jakby złączeni jakąś tajemnicą. No i ten kolor... Nikt nie rozumiał, kto i dlaczego zdecydował się na taki odcień tynku.

Niespodziewanie wszystko zmieniło się, gdy jednego roku rodzina zdecydowała się na remont. Dom pomalowano na kanarkowo żółto, prawie pomarańczowo. Coś pomiędzy złośliwością a miłością. Tak samo jak poprzednio i teraz się wyróżniał, bo w promieniu co najmniej kilkunastu kilometrów nie było domu w tak ekstrawaganckim, rzucającym się w oczy kolorze. Ale teraz nastolatki uśmiechały się. Spędzały czas z rówieśnikami. Wtedy też Justyna po raz pierwszy znalazła się w ich domu. I doszła do wniosku, że nie było tam nic ciekawego. Rodzina jak rodzina, dom jak dom. Jednak aura Ani i Jurka zmieniła się na jasną, przypominała teraz nablyszczony, zielone jabłka z marketów.

Justyna nie rozumiała dlaczego. Nie każdy człowiek przejmował tak wyraźnie aurę miejsca. Po prostu uznawała, że niektórzy tak mają. Specjalną wrażliwość, otwartość na energię. A inni nie. Jedni nie wiedzieli i nie odczuwali nic, inni czuli, ale nie widzieli, a jeszcze inni widzieli inaczej niż ona. Cóż z tego?

Justyna szła przed siebie ponad pół godziny. Cały czas odwracała głowę w stronę leśnej ściany. Nie znała dalszych losów Ani i Jurka, zaraz zresztą o nich zapomniała. Gdy zawróciła, las miała po lewej ręce, niemal przed oczami. Zmieniał się na jej oczach. Od ciemnej, soczystej zieleni, przez szmaragdowy turkus, jakby oszroniony, aż po jasną, cukrową zielenią młodej trawy.

Jak to słońce płata figle – myślała.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej aura zmieniała się dokładnie tak jak kolor lasu. Czasem tylko wpadał w nią cień, jakby długiej gałęzi. Jakby ktoś próbował jej dosięgnąć.

*Ani słowa!* – usłyszała znów głos. Ktoś mówił nerwowo, na krawędzi krzyku. Głos należał do mężczyzny, tak wydawało się Justynie. A może wcale nie? Nie słyszała wyraźnie.

*Nikommu nie wolno nic powiedzieć* – teraz mówiła kobieta. Wyraźnie i spokojnie, ze smutkiem. Ostrożnie.

Aura aurą – pomyślała Justyna – ale głosów jeszcze nie słyszałam. Muszę więcej przebywać z ludźmi. Mam nadzieję, że Hubert już wrócił.

Przyspieszyła kroku. Do domu pozostało jej dwieście metrów, gdy zobaczyła kurz na drodze. Jak dobrze – pomyślała.

Hubert dotarł do domu chwilę przed nią, spotkali się na podwórzu. Przyłgnęła do niego całym ciałem, poczuła ciepło i dopiero teraz zrozumiała, jak zziębła, choć w ogóle tego wcześniej nie odczuwała. Zadrżała.

– Zmarzłaś? Nie będziesz ty chora?

Pokręciła głową.

– Przytulę się, napiję gorącej herbaty i będzie dobrze.

– To zrób i dla mnie.

– I dla mamy, oczywiście – dodała, zanim Hubert zdążył to wypowiedzieć.

## Rozdział 8

Justyna spoglądała w ekran znużona. Od kilku dni czuła nieustające zmęczenie. Źle sypiała. Nie potrafiła się rozluźnić. Była ciągle obserwowana, podejrzewała nawet, że teściowa w nocy wchodzi do ich sypialni. Nie miała na to dowodów, oczywiście, natomiast wiedziała z całą pewnością, że Bogna wystaje pod ich drzwiami. Cóż, jej dom, może chodzić korytarzem gdzie i kiedy chce.

Justyna westchnęła. Szukała relaksu w wirtualu. Zostawiła w Warszawie kilka koleżanek, jednak miały coraz mniej wspólnych tematów. Dziewczyny zazdrościły jej wielkiego domu, męża, nowego życia. „Nowe” traktowały jak synonim „dobre”.

Choć właściwie... – zastanowiła się. – Właściwie to jest dobre. Tamte siedzą jak kwoki we własnym sosie, wrywają ciągle nowego chłopaka, a potem albo on ją rzuca, wywołując fontannę łez, albo ona się nudzi. I następny chłopak. Moje życie jest dobre i tego będę się trzymać.

Spojrzała w okno. Wieża kościoła wyglądała sielsko na tle błękitnego nieba, po którym leniwie płynęło kilka puszystych chmur.

Wszystko będzie dobrze – pomyślała, zamykając przegładarkę.

Chwilę później wszedł do pokoju Hubert.

– Znowu przed komputerem? Matce byś pomogła.

– Chciałabym pojechać do Przemysła.

Hubert wybierał z szafy koszulkę. Wyjmował po kolei, rozkładał, przykładał do torsu, po czym rzucał na kanapę.

To też jest temat – pomyślała Justyna. – Wymienić wreszcie kanapę na porządne łóżko. Ale nie teraz.

Mąż w końcu znalazł właściwą koszulkę, założył i odwrócił się do żony.

– Mało ci tutaj atrakcji?

– Chciałabym trochę pochodzić, porozglądać się...

– A jedź. – Wzruszył ramionami.

– Do pracy bym jakiejś poszła, przydałoby się...

– Mnie tam się w domu przydajesz. – Zabrzmiało to twardo, nawet Hubert poczuł się z tym nieswojo. Uśmiechnął się zatem lubieżnie i oblizał wargi.

– Może chociaż na sprzedawczynię jakąś, to umiem – powiedziała. – Szkół nie mam pokończonych, to gdzie indziej mnie nie zechcą.

– Dużo umiesz, szkoły ci niepotrzebne. A sprzedawczynią byłaś taką, że ja bym kupił u ciebie pół świata. Ale po co ci? Brakuje ci czegoś?

– Skądże – odpowiedziała z zaangażowaniem. – Wszystkiego mam dość. Ale lepiej, jak się z ludźmi bliżej żyje.

– Ja tam nie chcę, żebyś z innymi blisko żyła – przerwał jej. – Głupoty z tego wychodzą. A dom potrzebuje opieki. I ogród. I ja.

– Przede wszystkim ty. – Podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję.

– W domu roboty dość, a jak się dzieci pojawiają... – Odwrócił ją do siebie tyłem i położył dłonie na pierśsiach.

Justyna się uśmiechnęła. Odwróciła się do Huberta i zapytała:

– Czyżbyśmy właśnie rozpoczęli pracę nad dziećmi?

– Kolejny etap – przytaknął. Zerknął na zegarek. – Właściwie...

Rozpiął górny guzik jej bluzki. Patrzył w oczy. A potem szarpnął gwałtownie, rozrywając materiał. Justyna złapała koszulkę, którą z takim namysłem wybierał przed chwilą Hubert, i ściągnęła ją mężowi przez głowę. Ręką strąciła z kanapy wszystkie rzucone tam przez niego T-shirty, zachowując w pamięci, że musi je później porządnie poskładać i włożyć ponownie do szafy.

Hubert pchnął żonę na łóżko, Justyna wciąż się uśmiechała. Choć uważała, że do świętych nie należy i z życia czerpała pełnymi garściami, to jednak teraz czuła się skrępowana. Środek dnia, żadnych zasłon w oknach. Niby nie było przed kim się kryć, ale i tak czuła się dziwnie. Słońce grało na mięśniach jej męża, nadawało wyrazu rysunkom na skórze, co Justyna bardzo lubiła. Nie potrafiła jednak się rozluźnić, ale pojękiwała co chwilę, dla przyzwoitości. Przecież to nie wina Huberta.

Skupiła się nad tym, co widziała nad głową męża. Niebieskość od jakiegoś czasu zanikała. Kolor kwiatów ogórecznika, który sprawdziła w internecie, albo niezapominajek, który znała – blakł, a raczej zmienił się. Wokół Huberta coraz częściej widać było żółte pasy, jakby ktoś wlewał doń sok z mango. Niebieski z żółtym zwykle tworzą zielony, jednak w aurze Huberta został lekko zabarwiony fioletem. Jeszcze do wczoraj jej mąż był otoczony naprzemiennie niebieskim, burofioletowym, ciemnożółtym, znów burofioletowym, brudnozielonym, burofioletowym, niebieskim... Teraz jednak Justyna dostrzegła, że żółty staje się matowy, ciemny, matowoczerwony, jak wyschnięta plama po soku pomidorowym.

Co mi z tymi sokami – ofuknęła samą siebie. – Bardziej powinnam myśleć o sokach żywotnych, jeśli już.

Nadstawiła ucha. Pod drzwiami usłyszała szmer. Żebym chociaż miała psa! – pomyślała dziewczyna. – Mogłabym przypuszczać, że to zwierzak się ociera o drzwi. Byłabym zdrowsza na umyśle. A tak nie mam wątpliwości – Bogna czuwa.

Właściwie dlaczego w tak dużym gospodarstwie nie ma psa? Żadnych zwierząt? Teściowa nawet jajka bierze ze wsi, mleko... Roślin tutaj w bród, a zwierząt żadnych.

Zapytała o to, gdy Hubert usiadł, ziewając.

– Nie chowają nam się zwierzaki, ręki u nas w rodzinie nie ma. – Wzruszył ramionami. – Dziadek próbował, ojciec próbował, mnie się nie chce. Zawsze albo pomór, albo kury nie niosły, albo cielaki marniały. Weterynarz zawsze znalazł usprawiedliwienie, ale ojciec to już tak chuchał, dmuchał, i zawsze szlag. Więc ja nie będę. – Przeciągnął się.

– Co tak ziewasz?

Spojrzał na żonę z politowaniem.

– Zawsze po... No wiesz, facet traci siły vitalne. Musi się zregenerować. A baba je dostaje, więc ma mnóstwo energii.

– Ciekawa teoria – prychnęła jak kotka.

– Nie bocz się, nie ma sensu – zamruczał.

– Chciałabym jakiegoś zwierzaka w domu. Psa może?

– Zapomnij. Nie uhodujesz. – Zaśmiał się chrapliwie.

Zupełnie jak matka – pomyślała Justyna. – Też śmieje się tak... na pograniczu kaszlu.

– Mogę spróbować?

– A próbuj. – Wzruszył ramionami i wyszedł.

Justyna ułożyła zrzucone podkoszulki, wygładziła pościel. Poprawiła firanę, choć przecież nikt jej nie ruszał. Zastanawiała się, jak ją upiąć, próbowała różnych wersji. Uznała, że pozostanie przy pierwszym pomysłe – firanka upięta po bokach, podwiązana ałasową szarfą. I jednak chciała zasłonki, chociaż symboliczne. Nie potrzebowała ich do zasłaniania okna, wystarczyłyby pasek kolorowego materiału w ładny wzór, by dodać pokojowi przytulności.

– Zwierzaka chce? – zapytała teściowa, gdy Justyna zeszła na dół.

– Chciałabym – odpowiedziała ostrożnie dziewczyna.



– Nie uhaduje – powtórzyła słowa syna.  
– Mogłabym choć spróbować.  
– To idzie na wieś. Tam ciągle coś się rodzi. Ciągłe jest jakiś szczeniak albo coś. Ale nie uchwaja się.  
– To może po obiedzie pójde.  
– A idzie. – Bogna wzruszyła ramionami dokładnie tak jak Hubert. – Teraz idzie, bo dziś obiad później, jak Hubert wróci.

Justyna ubrała się i spokojnym krokiem ruszyła do wsi. Nie знаła jeszcze dobrze sąsiadów, ale już się im kłaniała, a i oni zagadywali życzliwie. Zaczęła od sklepu. Dziewczyna za ladą była zajęta, Justyna poczekała na swoją kolejkę, ale i wtedy nie było jak porozmawiać. Za nią ustawilo się w ogonku już kilka osób. Poprosiła o kilka produktów, a wyciągając z portmonetki pieniądze, zapytała:

– Nie słyszałaś o jakimś szczeniaku do oddania? Chciałabym wziąć...

Sprzedawczyni spojrzała na nią zdziwiona.

– Szczeniaka do was?

– A uchwajasz ty? – odezwał się głos zza pleców Justyny.

– Postaram się.

– U was żadne zwierzę nie przeżyje – dodała kobieta opatulona chustą w kolorowe kwiaty.

Piękna ta chusta – pomyślała Justyna. Wokół głowy kobiety widziała dużo niebieskiego. Dobrego, świetlistego.

– Może mnie się uda. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

– To idź, dziecko, do sołtysa – zaproponowała kobieta w chuście. – Powiedz, że Pokrzydłowa cię przysłała.

– U sołtysa szczeniaki? – spytała sklepowa Magda ze zdziwieniem.

– Kociaki są – mówiła dalej Pokrzydłowa. – Idź, zanim się po wsi rozleżą, kto by tam upilnował tyle tego drobiazgu. – Mówiąc to, kobieta wskazała ręką kierunek. We wsi droga była jedna, można było iść w prawo lub w lewo.

– Wpadnę później – powiedziała Justyna do młodej ekspedientki i chwyciła zakupy. Wyszła przed sklep i skierowała się w stronę wskazaną przez zielarkę. Do końca wsi pozostał jeszcze spory kawałek, większość, w tym dom sołtysa, schowane były za zakrętem. Na pierwszy rzut oka nie widać było, że wieś jest tak rozległa, ale przejście jej od skraju do skraju zajmowało blisko czterdzieści minut. Justyna ruszyła żwawo, kołyszając torbą z zakupami.

Gdy doszła do domu sołtysa, przywitała ją cisza. Wprawdzie nigdy nie wchodziła na tę posesję, jednak tak było w każdym gospodarstwie. Zwierzęta hałasowały, kury chodziły po obejściu, dziobiąc zawzięcie, krowy muczały. Dzisiaj – głusza.

Przekroczyła otwartą furtkę, rozglądając się uważnie. Podeszła do niewielkiego przedsionka, wcisnęła dzwonek, usłyszała terkoczący dźwięk, ale żadnego ruchu. Nic.

Stała bezradnie, zastanawiając się, co zrobić, gdy przebiegł koło niej rudy chłopak ze sterczącymi włosami. Nawet się nie zatrzymał, wpadł do domu, dosłownie po chwili wybiegł, Justyna zdążyła odstawić siatki i wyciągnęła ręce w jego stronę.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała, złapawszy chłopaka obiema rękami. Ustawiła się tak, by po prostu wpadł jej w ramiona.

Miał rozbiegany wzrok.

– Tam. – Pokazał ręką, wyrwał się z uścisku i pobiegł, nie oglądając się na Justynę.

Poszła za nim. Usłyszała szmer głosów, dochodziły z obory. Justyna przekroczyła wielkie drewniane odrzwia i stanęła niepewnie, przez nikogo niezauważona. W oborze rodziła krowa. Na wsi to przecież nic specjalnego, ale poród bliźniaczy zdarzył się tu ostatnio za kadencji poprzedniego weterynarza. Obecny

był mało doświadczony, a cielęta ułożyły się pośladkowo. Jedno już się urodziło, miało kłopoty z oddychaniem, a drugiego nie sposób było wyciągnąć.

– Zaklinowało się! – jęczała stojąca z boku sołtysowa.

Wystawała jedynie nóżka zakończona jasną, prawie białą raciczką. Gospodyni chodziła w kółko, wyrzekając na los, sołtys skakał wokół weterynarza, krowa przeraźliwie muczała.

– Ostatnia nam została! Ostatnia. Miała się rozmnożyć, odnowić stado. Musiałem sprzedać, musiałem, panie! Ratuj pan! – krzyczał na weterynarza sołtys.

– Spokojnie, niech mi pan da pracować. – Weterynarzowi drżały ręce. Nie miał pojęcia, co zrobić. Na jego kolanach leżało duszące się cielę, drugie nie mogło się urodzić, więc też pewnie się dusiło, nad jego głową łąził w kółko histeryzujący facet, z boku stała piszcząca kobieta, a w wejściu do stodoły spora dzieciarnia.

Justyna zadziałała instynktownie.

Odepchnęła dzieciaki, podeszła do krowy. Pierwszy raz widziała krowi poród i nawet przez chwilę nie zastanawiała się nad estetyką sceny.

Weterynarz zerknął za zegarek. Była trzynasta czterdzieści siedem. Jeszcze chwila i któreś się udusi – pomyślał. Postanowił ratować to cielę, które już się urodziło.

Justyna się rozejrzała. Chwyliła wielkie gumowe rękawice rzucone niedbale na klepisko, wsunęła na dłonie. Podeszła z boku, weterynarz skupił się na już urodzonym cielaku, na nią nikt nie zwracał uwagi. Włożyła rękę w krowi srom. Druga nóżka cielaka była niedaleko, utknęła jedna za drugą, wyciągnęła ją, po czym pociągnęła za obie. Po chwili na ziemi leżała i Justyna, i drugi cielak.

Ocknęła się, jakby wyłaniała się z gęstej błękitnej mgły. Zamrugła, koło niej siedziała sołtysowa i krzyczała:

– Dobrodziejka!

– Zostaw! – Sołtys szarpał żonę za rękaw.

– Idźcie stąd! – Weterynarz w końcu nie wytrzymał. – Tylko ty zostajesz! – pokazał palcem kilkunastoletniego chłopaka.

Po chwili stodoła opustoszała, Justyna otworzyła oczy.

– Nie zrobiłbym tego lepiej – powiedział weterynarz.

– Ale ja... ja nic nie zrobiłam – odpowiedziała.

Uśmiechnął się.

– Pomogę pani.

– Jestem Justyna – odpowiedziała.

– A ja Andrzej. Zemdląłeś. Już dobrze?

– Chyba dobrze. – Usiadła, rozglądając się. – Nawet nie pamiętam, jak się tu znalazłam.

Siedziała przez chwilę na ziemi, usiłując sobie przypomnieć.

– Ja... po coś tu przyszłam – powiedziała.

Lekarz był zbyt zajęty cielętami, by skupiać się na Justynie.

– Dlaczego nie ma kur? – zapytała nieprzytomnie. – Zawsze były.

– Zamknąłem – powiedział chłopak. Wokół niego na chwilę rozlała się czarna, nieprzenikniona czerń. – Żeby nie łąziły i nie przeszkadzały, kiedy Bela rodziła.

– Bela? – Wciąż jeszcze otumaniona Justyna zdziwiła się. Czerni znikła.

– Nasza krowa.

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Wiem! – Podskoczyła nagle. – Szukam szczeniaka.

– Szczeniaka? – Weterynarz się zdziwił. – Uciekł ci?

– Nie. – Zaśmiała się. – Chciałabym jakiegoś przygarnąć.

– Nie mamy już... – zafrasował się chłopak, który do tej pory w milczeniu pomagał tylko weterynarzowi. – Ale mamy koty! – powiedział. – Już podrośnięte!

– Koty? – zapytała zdziwiona. – Jasne! Koty. Dlaczego nie?

– Jeśli będziesz miała takie podejście do kociaka jak dzisiaj do cielaka, to dobrze wróżę – powiedział weterynarz. – Wszystkim tutaj rzuciło się chyba na mózgi. Krowi poród na wsi to nic szczególnego, a dziś kręcili się, jakby sami krowie spod ogona wypadli. Ty zrobiłaś to po fachowemu. Gdybym nie był zajęty tym małym już urodzonym, dokładnie tak samo pociągnąłbym za nogi tego drugiego. Na pewno nie jesteś weterynarzem?

– Na pewno. – Uśmiechnęła się.

– Może minęłaś się z powołaniem.

– Może. – Zaśmiała się serdecznie i wyszła za chłopakiem w poszukiwaniu kociaków.

To będzie dobra wróżba. Kociak będzie mój i się uchwowa. W przeciwieństwie do tego chłopaka – pomyślała, spoglądając na czarną aurę wokół dziecka.

## Rozdział 9

Wsiadając do autobusu, Justyna powtarzała w głowie listę spraw do załatwienia. Apteka, obuwniczy, gospodarstwo domowe, drogeria, zoologiczny. Wszystko miała zapisane na niewielkiej kartce, którą wciąż macała w kieszeni. Ważniejsze dla niej było to, czego tam nie zapisała. Lekarz, paczkomat. Przyznała się też w domu, że zamierza odwiedzić muzeum.

– Co? – Świekra nie kryła niesmaku.

– Są dla ludzi – powiedziała nieśmiało Justyna.

– Dla takich, co to nie mają co z czasem zrobić. Nierobotnych. Czasu tam nie marnuje, ino załatwia, co trzeba, i wraca.

Justyna nie odpowiedziała. Do muzeum dzwonów i fajek i tak zamierzała zajść.

Usiadła w środku busa, jak zawsze. Daleko od kół. Cieszyła się na kilka godzin rozrywki. Pochodzi po mieście, popatrzy, nawdycha miejskich aromatów. Nie wiadomo, kiedy będzie ponownie okazja.

Oglądała pola przesuujące się za szybą, coraz zieleniejsze, coraz pełniejsze obietnic. Dorodne pola to bogactwo. Są jak zaświadczenie o zasobnej spizarni, sytym brzuchu, ciepłym ogniu. Dostatek i pełnia.

Skąd we mnie takie skojarzenia? – zastanawiała się. – Nigdy nie cierpiałam głodu, choć po odejściu matki bywało niełatwo. I w polu nie pracowałam... Ech, wieś mi chyba służy. Albo i nie.

Krajobraz był dopiero obietnicą okazałych plonów, ale i tak z przyjemnością patrzyła na pokrytą zielonym puchem ziemię. Przyglądała się przemykającym drzewom, zamyślona ledwo dostrzegła, że podjechali już na przystanek w sąsiedniej wsi. Dopiero brak światła, gdy bus stanął pod wiatą, wyrwał ją z zamyślenia.

Spojrzała na zegarek.

Zdązę – pomyślała. – Może nawet będę przed czasem.

Gdy podniosła wzrok, stała przed nią sąsiadka. Znała ją tylko dlatego, że któregoś dnia przyszła w odwiedziny do Bogny.

– Do Przemyśla? – zagadnęła pani Janina.

– Tak – odpowiedziała grzecznie Justyna. – Jak miło panią widzieć.

– Miło, niemiło. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Sprawy ma?

– Tu mi mama zapisała. – Justyna wyciągnęła kartkę.

Sąsiadka przeczytała kilka punktów i pokiwała głową.

– A to zapamiętać nie potrafi? Papier marnuje?

– Nie pomyślałam o tym – zafrasowała się Justyna. – Postaram się zapamiętać następnym razem.

Kobieta ustawiła dwie siatki koło siedzenia i wcisnęła się na miejsce obok Justyny.

– A co tam ma? Buty będzie kupować? Potrzebuje? – Sąsiadka popatrzyła na stopy Justyny. Dziewczyna założyła najlepsze buty. Czółenka na niewysokim obcasie, z paskiem otaczającym stopę. Rzadko je nosiła, tylko na specjalne okazje, choć lubiła, bardzo nawet, ich stukot na chodnikowych płytach. Na wsi nie było chodników.

– Nie, skąd, buty mam – odpowiedziała dziewczyna, chowając stopy pod siedzenie. – Kapci mi potrzeba. – To rzekłszy, zirytowała się na siebie. Jak ja mówię! Wsiąkam chyba w tę wieś. – Moje już podarte, a boso to wilka można złapać – dokończyła.

– Racja, racja – odpowiedziała sąsiadka. – A wilk w tym wieku to groźny, oj, groźny... Tam się coś szykuje? – Zerknęła zaciekawiona na brzuch synowej Bogny, a nawet położyła na nim rękę.

Justyna wzdrygnęła się.

– A te jajka to od sołtysa? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Od sołtysa – odpowiedziała pani Janina. – Tylko u nich o tej porze takie piękne. Bo ja to fermowych nie uważam.

– Pani ich nie je. – Justyna wskazała palcem na wypchane siatki. – I mężowi nie daje.

Sąsiadka popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Co mi tu? Swoich nie macie, to zazdrościcie, co?

– Oj, przepraszam, tak mi się wyrwało – odpowiedziała Justyna.

Sąsiadka pokręciła głową.

– Młode to to i w głowie nie za wiele. A u was to jak? Hubert już w pole wyjechał?

– Zabrał się już za robotę, choć ja to nie znam się na tym za dobrze. Nie wiem, co robi...

– A powinna, powinna. – Sąsiadka pokręciła głową. – Wysiew trzeba zrobić. A teraz to już i rozsady do ziemi muszą trafić. Panna się nauczy, oby szybko.

– A pani, pani Janino, też do Przemyśla?

– A też – powiedziała z zadowoleniem. – Od Pokrzydłowej dostałam trochę ziół specjalnych, mężowi wiozę. Bo w tym szpitalu to łapiduchy mu nie pomagają, oj, nie pomagają.

– A co pani mężowi dolega?

– To nie wie? Operację miał, na nogę, co mu koń nadepnął, jak spadł.

– Koń spadł?

Pani Janina wywróciła oczami.

– Stary mój spadł. Z konia. Co mu ją nadepnął.

Justyna domyśliła się kontekstu. Raptem zobaczyła nad głową pani Janiny, tylko przez chwilę, pomarańczowy, pełen świetlnych promieni obłok.

– Wszystko będzie dobrze, pani Janino. Zioła nie będą potrzebne, choć i nie zaszkodzą. Dobrze się tam pani mężem opiekują i szybko do zdrowia dojdzie. Tylko tych jajek pani mu nie daje.

– A skąd wie?

– Tak sędzę – odpowiedziała Justyna.

Obłok znikł. Dojeżdżały do Przemyśla. Justyna pomogła kobiecie zejść po schodach i wynieść siatki.

– A dokąd to? – Pani Janina spojrzała na Justynę surowym okiem. – Centrum jest tam, tam wszystko załatwi.

– Dziękuję, pogubiłam się. Nie znam jeszcze dobrze miasta. – Justyna się uśmiechnęła. – Ale i tak potem chcę przejść się po mieście, zwiedzić trochę, zobaczyć, ładne podobno.

– Co to zwiedzać? Miasto jak miasto. Sprawy niech załatwi i do domu wraca. Kota podobno przywlokła?

– Tak, dostałam od sołtysów. – Justyna się rozpromieniła.

– I tak nie przeżyje u was. Nie kłopotce się sierściuchem. A teraz idzie, bo czas ucieka, a matce trzeba w obejściu pomóc, gospodarstwo oporządzić. Chociaż u was to i roboty niewiele. Zwierząt nie ma, nie ma co robić. Ani kury, ani prosięcia, nic u was nie przetrwa. – Westchnęła. – No, na mnie czas już. Uważa na siebie.

– Nie przetrwa? – Justyna udała, że nie słyszy pożegnania.

Pani Janina spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

– Nie wie?

Justyna uniosła ramiona w geście zapytania.

– To może i ma nie wiedzieć. Na mnie czas. – Kobieta odwróciła się i odeszła.

Justyna ruszyła w stronę wskazaną przez sąsiadkę. Spojrzała na zegarek i zakłęła pod nosem. Na głupich pogawędkach zeszło jej znacznie więcej czasu, niż się spodziewała. Jeśli natychmiast nie przyspieszy,

spóźni się do lekarza. Trzeba było nie słuchać głupiej baby i iść od razu w drugą stronę!

Rozejrzała się. Weszła pomiędzy kamienice i straciła orientację. Nie miała pojęcia, w którą pójść stronę. Stała bezradnie, zamknęła oczy. Nic to nie pomogło. Barwy zlewały się, mnóstwo dźwięków, kolorów i zapachów tworzyło kakofonię, w której nie potrafiła nic rozpoznać. Ruszyła przed siebie. Dopiero po kilku minutach wyszła na główną ulicę. Zlokalizowała strony, odnajdując archikatedralną wieżę.

Do gabinetu dotarła kilka minut spóźniona, pielęgniarka spojrzała na nią surowo.

– Weszła już kolejna pacjentka. Musi pani poczekać.

– Oczywiście. – Justyna uśmiechnęła się przeprasząco. – Zabłądziłam. Jestem tu nowa.

Pielęgniarka pokiwała głową, choć nie odpowiedziała.

Justyna wyszła od lekarza zadowolona. Skierowała się do pobliskiej apteki, starając się nie rzucić w oczy. Zrealizowała receptę i kupiła maść borsuczą dla teściowej.

Wychodząc z gabinetu Justynę widziała pani Janina wracająca ze szpitala.

– A może to już i ten czas. – Kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją. – Moja ręka często sieje, niech i tym razem zasiew roślinie. Niech wreszcie urok przestanie działać.

Justyna wróciła na rynek. W obuwicznym wybrała szaroniebieskie kapcie podbite kozuszkami. Całkiem płaskie, by chodzić zupełnie bez odgłosów. Zastanawiała się nad podobnymi, ale z finezyjnym wzorem, wybrała jednak gładkie, pozbawione jakichkolwiek ozdób. Nie zastanowiła się nad tym w pierwszej chwili, potem jednak uznała, że spowodował to nadmiar wrażeń. W mieście wszystkiego wokół było dużo, bodźce zaatakowały ją nieprzygotowaną, uwrażliwioną przez ostatnie wyciszone tygodnie. Dlatego wybrała coś, co było gładkie i niosło ze sobą wyłącznie spokojną, niebieską energię. W niedalekim gospodarstwie domowym sprawy załatwiła ekspresowo. Potrzebowała sito dla teściowej, stare się już zużyło, nie trzymało na obręczy. Musiała też uzupełnić szklanki, które niezgrabnym ruchem przetrzebiła pewnego dnia. Justyna skompletowała osiem przeźroczystych kubków z nadzieją, że przestaną używać już plecionych koszyczków, które pamiętały poprzednią epokę i drażniły dziewczynę odstającymi brzegami. Choć tego nie miała w planach, kupiła także dwa opakowania pasty do butów. W gospodarstwie Bogny stara, zeschnięta pasta nie dawało się wypolerować porządnie skóry. W zoologicznym chwyciła największe opakowanie żwirku dla kota, na kuwetę absolutnie nie zgodziła się teściowa.

– Też coś – prychnęła. – Wymyśliła. Kuweta. Karton wystarczy. Nie będę dla futrzaka pałaców szykować.

Gdy zaś usłyszała o specjalnej karmie, zbladła.

– Herezji nie opowiada! Będzie jadł to co my! Jak mi co zostanie, to nakarmię. Żeby nawet nie próbowała dla kota specjalnie kupować!

Justyna nie odważyła się zatem spróbować. Żwirek to jedyne, na co udało jej się uzyskać zgodę. „Żeby nie śmierdziało” było koronnym argumentem.

Najważniejszy dla Justyny był paczkomat. O tym nie napisała na kartce. Uruchomiła GPS w telefonie, pokazał osiem minut piechotą. Szła ostrożnie, choć nikogo nie знаła. Dotarłszy, wyjęła pakunek, przytuliła adresem do boku. Znalazła ławkę, na której usiadła, żeby ostrożnie otworzyć paczkę. Wyjęła kilka woreczków z suszem, rozłożyła zakupy na siedzisku i bacznie im się przyjrzała. Potem rozłożyła woreczki w torebce, na samym dnie, staranie wyrównując, by nic ich nie uszkodziło. Na nich umieściła portfel, klucze, których przecież nie potrzebowała, bezbarwną szminkę, listę spraw do załatwienia i dwie materiałowe siatki. Kartonik po przesyłce, z nadrukiem zielonych liści, porwała i wyrzuciła do pobliskiego kosza.

Spojrzała na zegarek. Na wizytę w muzeum nie zostało już ani chwili. Właściwie miała tylko tyle czasu, by zdążyć na kolejny bus.

## Rozdział 10

Justyna wracała do domu, kołysząc trojakami. W Warszawie nawet nie przypuszczała, jak przydatne jest takie naczynie. Wręcz była zdania, że to kompletny przeżytek. Kto jeszcze korzystał z czegoś takiego? Dalece się myliła. Na wsi trojaki były w każdym domu, od wiosny do jesieni używano ich codziennie. Justyna widziała w internetowych sklepach trojaki eleganckie i nowoczesne. Oglądała – tylko tyle mogła. Naczynia w ich domu były tak trwałe, że aż wieczne, Bogna nie dostrzegała potrzeby, by je wymienić.

Codziennie zanosila Hubertowi ciepły obiad w trojakach. Zjeżdżał zazwyczaj na posiłek do stodoły albo do wielkiego magazynu na zboże, który stał kawałek dalej. Na rozległym polu trudno byłoby go znaleźć. Pogoda jest piękna, świeci słońce, czego więcej chcieć od życia? – myślała Justyna. – Choć właściwie... dlaczego Hubert nie wraca na obiad do domu? A może jednak za dużo się zastanawiam – zmitygowała się chwilę później.

– Rozmawiałam z Hubertem – powiedziała do teściowej już w domu.

– To dobrze, że rozmawiacie – odpowiedziała z satysfakcją Bogna. – Żebyście jeszcze coś poza gadaniem robili. Bo u lekarza trzy tygodnie temu była i ciągle nic nie wiadomo!

– U lekarza? – powtórzyła zaskoczona Justyna.

– Co się dziwi? My tu wszyscy wszystko wiemy: i jak się cieleta ratuje, i jak straszy jajkami od sąsiadki, i jak do konowałów chodzi. Nic nie ukryje. – Bogna się zaśmiała, Justyna miała wrażenie, że szyderczo. A może tylko złośliwie?

– Nic nie wiadomo – odpowiedziała odruchowo. Spuściła głowę i przygryzła wargę. – Pomogę mamie – zmieniła temat, odbierając miskę z tłuczonymi ziemniakami.

– A bierze, bierze, na stół zanoszą.

– Hubert zjadł? – zapytała Bogna, gdy już obie siedziały przed pełnymi talerzami.

– Wszystko, co do okruszka.

– A trojaki przyniosła?

Justyna klepnęła się w głowę.

– Zostawiłam w sieni.

Poderwała się i po chwili wróciła z naczyniami. Wstawiła je do zlewu.

– Nie śpieszy się tak, bo sierściucha zadepcze.

Faktycznie, kot wyszedł ze swojego kojca, jak Justyna nazwała przygotowany dla niego karton. Dziewczyna pochyliła się, pogłaskała zwierzaka, podniosła go i przytuliła.

– Umyję, jak zjemy. – Wskazała trojaki, siadając. Kota trzymała na kolanach, rozglądał się zaciekawiony.

– A imię to ma? – Bogna wskazała zwierzaka.

Fajnie, że się zainteresowała. Po trzech tygodniach – pomyślała Justyna.

– Chcę go nazwać Drops – powiedziała. – Bo jest mały jak droszki.

– Głupota – odpowiedziała Bogna.

Justyna nie skomentowała.

– Mamo, chciałam mamę zapytać, bo Hubert nie chce mówić...

– A podobno rozmawiają? – przerwała jej teściowa.

– Mamo, rozmawiamy, ale nie o tym. Dlaczego nie uprawia roli przy lesie? Duży kawał leży odłogiem...

– Się głupot nie czepia. – Bogna znów jej przerwała. – Tam ziemia niedobra, uprawiać nie ma po co. Ani Hubert tam maszyną nie wjedzie, ani nikt.

– Niedobra? – Justyna się zdziwiła. – Przecież las jest tam gęsty, a i zarośla wokół bujne. Wygląda, że żyzna ziemia.

– A tam, na piachu wszystko tam. Sosny rosną na piachu.

– Ale przecież wokół lasu nie ma piachu. Ziemia rodzi pięknie. Nawet krzaki wyższe od człowieka.

– A skąd wie?

– Byłam tam przecież, to w sąsiedztwie...

– Nie łązi tam! – Teściowa po raz pierwszy uniosła głos. Dotychczas raczej wyśmiewała Justynę, powo-  
dowała w niej poczucie winy, ale nie krzyczała.

– Mamo, to przecież niedaleki spacer.

– Nie dyskutuje, głupio czasu nie traci. Tam złe rządzi, tam się nie ora.

Orze – odruchowo pomyślała Justyna.

Zjadła ziemniaki ze skwarkami, w duchu codziennie przyznawała, że teściowa z niczego potrafiła przy-  
rzucić danie. Tłuste i niezdrowe, zmorę każdego dietetyka, ale wyjątkowo smaczne. I sycące. Justyna  
czuła, że nabiera wagi na tej kuchni, teściowa patrzyła na nią niemal łakomie, taksując jej talię. Jakby  
chciała mnie zjeść – przeszło przez głowę dziewczynie.

Ale Justyna przybierała w każdą stronę równomiernie. Dodałabym do tego jakąś sałatę albo chociaż  
rzodkiewkę – pomyślała. Nie odezwała się jednak, choć warzywa były łatwo dostępne. Rosły w inspekcji  
koło domu. – Czas skończyć z takim obżeraniem – postanowiła.

– Zmyję – powiedziała głośno.

– A zmywa, zmywa.

Justyna umyła naczynia, w tym trojaki, wytarła, ułożyła na miejsce i wytarła zlew do sucha.

– A co to znaczy, że zła ziemia? – zagadnęła Justyna.

Bogna spojrzała na nią spod półprzymkniętych powiek. Skrzywiła się ze wstrętem i bez słowa wyszła  
z kuchni. Justyna westchnęła. Ułożyła równo kuchenne ściereczki i na kolanach wytarła podłogę. Nie szukała  
już świekry. I tak pewnie nic nie powie, stara zołza – uznała. – Właściwie nigdy nic ważnego mi nie mówi.  
Bo też i nie ma dla niej żadnego znaczenia, co myślę i czego chcę. Dziewczyna przestawała mieć złudzenia.  
Była tylko synową, kimś obcym, przywiezionym z daleka i nieakceptowanym. Mam nadzieję, że z czasem  
uda mi się to zmienić – rozmyślała czasami.

Skierowała się do przedsionka, założyła kurtkę i wyszła z domu. Ruszyła w stronę sklepu, oglądając się  
co chwila na sosnowy las. Ciągnęło ją tam. Złe, co za bzdury – myślała. – Zła to jest Bogna, jak dostrzeże  
plamę na podłodze.

Dzień był ciepły niczym letni, choć lato dopiero zbliżało się wielkimi krokami. – Prawie jak w maju –  
pomyślała Justyna. Bo przecież był prawie maj.

Wystawiła twarz do słońca, w pierwotnym geście łapania energii. Zakręciło się jej w głowie. Usiadła na  
zarośniętym chwastami poboczu, czując niewytłumaczalną słabość. Wokół rozciągały się pola, porośnięte  
już całkiem wyraźnym puchem jarych zbóż. Dalej pyszniła się ozimina. Już prawie metrowa, szybko w tym  
roku ruszyła, łapiąc słońce, przekształcając je w siłę wzrostu, w codziennie dłuższe korzenie, wyższe  
łodygi, coraz wyraźniej zarysowane kłosa. Ciszę przerywały jedynie ptaki, głównie skowronki. Justyna  
usiadła twarzą w stronę lasu. Oddaliła się już od niego, był tylko plamą ciemnej zieleni, wyspą na tle zie-  
lonkawych pól. Przymknęła oczy, uśmiechając się. Dochodziła godzina druga.

Nagle uderzyła ją fala koloru. Nie mogła otworzyć oczu, a nawet się poruszyć. Zrobiło się jej chłodno,  
zadrzała pod wpływem wiatru, który zerwał się gwałtowny i zimny. Niebo w ciągu kilku minut przykryły  
ciężkie, burzowe chmury. Wisiały nad polami, nad wioską, wchłaniały światło. Zrobiło się ciemno, zupeł-  
nie jak w nocy. Justyna wierzyła, że gdyby otworzyła oczy, gdyby była w stanie je otworzyć – dostrzegłaby



sierp księżycy. Jest pora nowiu – pomyślała. – Księżyc cienki niczym kij od mopa. Nie daje światła. Dlatego jest ciemno... Co ja wymyślam – zmytygowała się. – Jaki księżyc! Jest środek dnia! – Poczowała panikę. – W środku dnia nie może zapadać noc!

Kolor przed jej oczami ożywał, pulsował niczym gęsta materia, zmieniał się pod przymkniętymi powiekami jak żywa istota, przybierał kształty nierzeczywistych postaci. Od różowego i błękitnego, poprzez czerwień i granat, aż po głęboki, brunatny brąz. I znów. Od różowego i błękitnego... Coraz szybciej. Przemykały jej przed oczami cienie. Niby sylwetki, niewyraźne, duże i małe, krążyły wokół niej, pozornie niezainteresowane. Jedna z postaci jednak zbliżała się do Justyny powoli, nie uczestnicząc w kolorowym korowodzie. Wyciągnęła rękę w jej stronę, Justyna wciąż nie była w stanie się poruszyć. Patrzyła w szczupły, długi palec, jak z dłoni Boga z obrazów o stworzeniu świata. Nie widziała postaci. Kto to był? Rozmazane rysy, nikt konkretny. Mężczyzna, kobieta? Widać było tylko wielokrotnie rozmazany kontur, obrys rozmyty jakby przez wielobarwny deszcz. Otoczony zawirowaniami, kolorowymi pasami, plamami przenikających się barw.

Coraz więcej kolorów, zmieniających się, jakby ktoś mieszał w wielkiej tęczy pozbawionej czerwonego i żółtego. Odcienie zimne zagarniały ją do siebie, wchłaniały, Justyna czuła wciąganie w wir, jakby kolorowa kipiela wchłaniała ją, oddech po oddechu. Postać oddalała się, choć Justyna miała wrażenie, że ogląda się w jej stronę. Zawiało jakby pyłem, jak gdyby ktoś rozkruszył i rozsypał akwarelowe farbki. Potem tylko wir, kręcił się, kręcił, kręcił.

W tym wszystkim nie było dźwięku. Nic, absolutna cisza. Niema wichura. Tylko zimne kolory na tle ciemnego nocnego nieba i żadnych odgłosów. Żadnego życia. Ani szczekającego psa, ani przejeżdżającego samochodu, ani nawet szelestu ozimin. Choć przecież nocą samochody nie jeżdżą w tej wsi, która jest niemal na końcu świata, gdzie asfalt dochodzi tylko do kościoła i kaplicy, dalej jest las. Tylko las. Niewielki, a jednak odgradzający jej dom, dom jej męża, od reszty wsi. Za lasem nie ma asfaltu. Nie ma drogi. Można tylko iść, w upale, w gorącu. Pod prażącym słońcem. Jakim słońcem? – zreflektowała się. – Przecież jest noc. Czy jest noc? Był dzień. Młyn – pomyślała Justyna. – To jest jak wielki wietrzny młyn. – Byle mnie nie zmielił na proch, bylebym została. Nieważne, w jakim kolorze.

Nie bała się.

Ocknęła się, leżąc na zielonym poboczu, wokół wciąż śpiewały ptaki, słyszała świergot skowronków, nawoływanie czajek. Wokół wciąż rozpościerały się pola pokryte zieloną mgłą. Sielski krajobraz. W oddali majaczył ciemnozielony las. Obok niej stała kobieta. Ta, która zawinięta w kwietną chustę poradziła jej w sklepie, by poszła do sołtysów.

– Lepiej już? – zapytała zielarka.

Justyna kiwnęła głową. Nie była świadoma, że przybyła blisko kwadrans kucąca nad nią, nucąc cicho jakąś melodię, wypowiadając niezrozumiałe słowa. Wykonywała przy tym nieznaczące ruchy dłońmi, jakby ugniatając plastelinę, może lepiąc jakąś formę, czy to był korpus, członki? Trudno byłoby rozpoznać. Posypała Justynę sproszkowanymi ziołami, mieszanka pachniała mocno, otumaniająco. Na koniec zwinęła dłonie w pięści, ustawiła je nad twarzą Justyny, przymknęła oczy, a potem gwałtownie rozprostowała palce i spojrzała na Justynę w tym samym momencie, w którym dziewczyna się ocknęła.

– Zasnąłaś chyba – powiedziała kobieta. – Krzyczałaś, więc cię obudziłam. Z Bogiem – powiedziała i odeszła.

Justyna bez zegarka nie potrafiła stwierdzić, ile spędziła tam czasu. Jednak na wieży kościoła właśnie wybiła czternasta.

## Rozdział 11

Do sklepu dotarła wycieńczona jak po maratonie. Chociaż nie rozumiała ludzi, którzy zdecydowali się przebiec dystans czterdziestu kilometrów tylko dla jego pokonania. W jej wyobrażeniu było to po prostu ogromne, nieludzkie wręcz zmęczenie, i tak się właśnie czuła.

Weszła do chłodnego wnętrza i oparła biodro o ladę.

– Coś taka blada? – zapytała Magda, sprzedawczyni, z którą zdołała się już zaprzyjaźnić. Choć może to słowo odrobinę na wyrost, po prostu rozmawiały ze sobą ze względną przyjemnością. Ze sobą, bo z kim innym? Nie było wielu osób w ich wieku w okolicy. A jeśli były, to zwykle na całe dni jechały do pracy w pobliskim miasteczku. Albo wyjeżdżały za pracą do dalekiego miasta, a wtedy na długo. Magda i Justyna polubiły się właściwie z konieczności, a może bardziej – z braku wyboru. Mimo że to absurdalny powód.

Od czasu spontanicznej akcji w roli położnej cielęcica Justyna stała się w wiosce znana. Wcześniej odczuwała oczywiście zaciekawienie swoją osobą, w końcu nowa we wsi nie zdarzała się często, zwykle kierunek był odwrotny: wyjazd. Ale jako akuszerka – cudotwórczyni stała się lokalną celebrytką, mimo że początkowo wcale o tym nie wiedziała.

Magda odziedziczyła sklep po rodzicach, którzy żyli i mieli się całkiem dobrze, ale nie mieli już ochoty pracować. Siłą rzeczy prowadzenie sklepu przeszło na najstarszą córkę, która od małości chowała się w przekonaniu, że to jest właśnie jej miejsce. Dlatego decyzję rodziców przyjęła z zadowoleniem, choć zdawała sobie sprawę, że bliska obecność matki naraża ją na nieustanne dobre rady. Wcale jej to nie przeszkadzało. Magda wręcz liczyła na tę pomoc, po co miałyby sama uczyć się wszystkiego, skoro matka mogła jej pokazać drogę na skróty? Poza tym wciąż mieszkała z rodzicami i tego także wcale nie zamierzała zmieniać. Po cóż samodzielnie ponosić opłaty, nastawiać pralkę, napępniać lodówkę? Dziewczyna była pragmatyczna. Nie przeszkadzało jej, że matka, piorąc, prasując i układając do szaf, znała nawet kolor i stopień sprania jej majtek. Nie uważała za dyshonor, że matka regulowała jej dietę, podając gotowe posiłki na stół. To było wygodne, a skoro tak, było też dobre.

Magda miała w życiu krótki zryw wolności. Rozważała wyjazd do miasta, prawie wszyscy rówieśnicy wyjechali. Pojechała nawet do Rzeszowa, do koleżanki. Potem do Warszawy, do drugiej koleżanki. Obydwie pochodziły z ich wsi i obydwu, zdaniem lokalnej społeczności, wiodło się pomyślnie. Szczególnie tej z Warszawy. W końcu – stolica! Dziewczyna miała pracę, utrzymywała się sama, znaczy – sukces.

Rzeczywistość nie była tak różowa. Koleżanka utrzymywała się, bo rodzice wspomagali ją typową słoikową przesyłką raz na dwa tygodnie oraz regularnym, choć niezbyt wielkim przelewem na konto co miesiąc. Tego jednak nie było widać z perspektywy innego mieszkańca ich wsi.

Magda spędziła w każdym z miast po kilka dni, wróciła zmęczona i zniechęcona. To nie były miejsca dla niej. Hałaśliwe i brudne, przytłaczały wysokimi budynkami, a brak widocznego horyzontu zdawał się dziewczynie najdotkliwszą uciążliwością. Obiecała sobie, że kiedyś jeszcze pojedzie do miasta. Pozwiedzać. Może z dziećmi, choć o kandydata na tatusia było trudno. Magda jednak była obrotna, akceptowana w lokalnym towarzystwie, nie było zabawy, dyskoteki, potańcówki, na której by na nią nie czekano. Wywijała obcasami, pierwsza tancerka, każdy chciał porwać ją w płas, a że była uśmiechnięta i niebrzydka, i przecież zasobna, to kawalerów kręciło się sporo. Wyśmiewała w duchu polujących na jej sklepowy posag, nazywała ich „myśliwymi”, myślała jednak racjonalnie. Niedługo będzie musiała wybrać, choć to wybór nieprosty, bo kandydatów, do których żywiej biłoby jej serce – brak.

Z Justyną zdołała już omówić swoją sytuację.

– Tam w Warszawie było ci łatwiej – powiedziała pewnego dnia ze smutkiem w głosie.

– Tak łatwiej, że wybrałam chłopaka z podprzemyskiej wsi – ze śmiechem odparła Justyna.

– Racja. – Magda parsknęła. Po chwili jednak przyjrzała się koleżance z niepokojem. – Wyglądasz kiepsko – rzuciła.

Kilkakrotnie widziały się w sklepie, zwykle jednak ktoś w tym czasie robił zakupy, rozmawiały z przezwami. Może teraz będzie inaczej?

– No bo... – Justyna nie wiedziała, jak to opisać. – Dziwnie się czuję – powiedziała w końcu. – Źle sypiam, usiadłam na miedzy i zasnęłam, wyobrażasz sobie? Pokrzydłowa mnie obudziła.

– A widziałam, jak szła od waszej strony. Sąsiadka mówi, żeś w ciąży. – Magda zmieniła temat. – Może dlatego tak ci słabo?

Justyna wyróciła oczami.

– A ja mówię, że język powinien jej przyrosnąć do podeszwy brudnego buta. Nie jestem. Janina widziała mnie kiedyś w Przemysłu pod gabinetem lekarskim. Czy u was do lekarza to tylko wtedy jak ciąża? I nikt nie powiedział, że mi słabo.

Magda przygryzła wargę.

– No tak – przytaknęła pokornie. – Jestem przekonana, że ona ginekologa widziała pięć razy w życiu. Przy okazji każdego porodu.

Justyna prychnęła.

– No widzisz. Taka to i moja ciąża.

– Ale wyglądasz źle. – Magda wróciła do tematu.

– Czasem tak miewam. Jakbym... Raptem znalazła się w innym świecie. Wiesz, tracę na chwilę... – Justyna się zawahała. Jak o tym opowiedzieć?

– Tak jak przy tym cielaku? – Magda wybawiła ją z opresji.

– Właśnie! – Justyna się ożywiła. – Nie mam wtedy kontaktu z rzeczywistością, przez krótką chwilę tracę poczucie czasu.

– Wiesz, każdemu może się zdarzyć. Ja tam jeszcze nigdy łapy krowie w tyłek nie wkładałam. Też bym pewnie zemdlą.

– No właśnie. Silne emocje... – Justyna się zastanowiła.

– Tak! Oczywiście! Wtedy każdy może się na chwilę zawiesić.

– Tylko wiesz... – Justyna popatrzyła na koleżankę niepewnie. – Właśnie przed chwilą mi się coś takiego zdarzyło. Ale nie wiem dlaczego. Od kiedy tu przyjechałam... – Wzruszyła ramionami. – Teściowa mnie nie lubi, Hubert ciągle poza domem. Albo w polu, albo coś załatwia. Gdyby nie ty, nawet nie bardzo miałabym z kim pogadać.

– Wpadaj częściej. – Sprzedawczyni się zaśmiała. – Masz na pewno dużo wrażeń. Kompletnie zmieniłaś przecież swoje życie!

W tym momencie do sklepu weszła kobieta, którą Justyna знаła tylko z widzenia. Sprzedawczyni przywitała ją grzecznie, obsłużyła, podała wszystkie produkty.

Kupująca kilka razy spoglądała w stronę Justyny, w końcu powiedziała:

– A pani to może przyjdzie zobaczyć moją Rudą. Kuleje coś.

– Rudą? – zapytała ze zdziwieniem Justyna.

– Kotkę – wtrąciła Magda, odwracając się, by ukryć uśmiech.

– Ale dlaczego... Ja się nie znam na kotach.

– Kota ma? – odparowała kobieta. – Ma. Cielaka uratowała? Uratowała. To się zna.

– Ale... – Justyna westchnęła. – Nie znam się. Ja tylko pociągnęłam za nogę.

– Ilu ich tam było? Wszyscy stali. A tylko jedna ty za nogę pociągnęła.

– Pociągnęłam, bo... Bo nikt inny tego nie zrobił. A potem zemdlałam. Taka ze mnie lekarka, że mdleję przy pacjencie.

– Ale uratowała – upierała się kobieta. – Zapłacę.

– Ja pieniędzy nie potrzebuję – odpowiedziała Justyna z uśmiechem. – Jeśli mogę pomóc, to pomogę, ale w nastawianiu kotu łapy to nie bardzo.

– Ale jajka to by się przydały, prawda?

– Zawsze – przytaknęła Justyna. – Ale mama od sołtysowej bierze, nie ma...

– Od sołtysowej to raczej nieprędko znowu weźmie. – Kobieta się uśmiechnęła.

– Dlaczego?

– A to nie słyszały? Dwie kury padły, przyjechał znowu ten medyk, co to cielaka nie potrafił uratować – spojrzęła na Justynę – i kazał wszystkie wytluc. Zaraza jakaś.

Justyna zamilkła. Usłyszała, jakby obok siebie własny głos. „Pani ich nie je. I mężowi nie daje”.

I zobaczyła przesuające się za oknem pola, stację benzynową z jednym dystrybutorem, dwa budynki w oddali, piaszczystą drogę prowadzącą w las. Potrząsnęła głową.

– Ale wszystkie? – zainteresowała się Magda.

– No wszyściuteńkie – potwierdziła kobieta. – Więc tera moje jaja we wsi najlepsze. Przyjdzie Rudą zobaczyć – zachęciła, otwierając drzwi.

– Dziwaczka z niej, ale dobra kobieta – powiedziała Magda po chwili. Usiadła znów koło Justyny. – A ty zakupy jakieś potrzebujesz?

– Listę mam. – Justyna klepnęła się w czoło.

– Krótka. – Magda wzięła od niej kartę i wybrała kilka produktów z półek.

– Dziwne – powiedziała zamyślona Justyna.

– Co? Zielony makaron ze szpinakiem. Taki tylko mieli ostatnio. Trochę tylko droższy, ale tobie policzyć normalnie. – Magda uznała, że Justyna komentuje jej krzątanie.

– Nie to. Słyszę czasem głosy.

– Oj, ja też – odpowiedziała Magda. – Szczególnie jak matka się na ojca drze.

– Nie rozumiesz. Ja wiedziałam o tych kurach. Nie wiem skąd. Powiedziałam Janinie w drodze do Prze-myśla, żeby jajek od sołtysowej nie jadła. Nie wiem, skąd wiedziałam, jak tego cielaka wyciągnąć. I woła mnie las.

Magda westchnęła.

– Za dużo naraz. Daj mi najpierw spakować zakupy – rzuciła. – Cielaka rozumiem – ciągnęła po chwili, usiadłszy znów obok Justyny. – To właściwie oczywiste i logiczne, żeby coś wyszło, trzeba to albo wypchnąć, albo wyciągnąć. Obrzydliwe, trochę, chyba, przynajmniej dla mnie – zaplątała się na chwilę – ale nie dziwne. Co do kur... Może widziałaś jakąś? Była chora? Wyłysiała? Może zauważyłaś coś, czego nie jesteś świadoma?

– Wszystkie kury były zamknięte, żadna nie chodziła po podwórzu. I żadnej nie było słyhać.

– To masz odpowiedź. – Magda wzruszyła ramionami. – Kury, których nie słyhać, to chore kury. Czyli wyjaśnione.

– A las?

Magda przełknęła ślinę.

– Nie wiem. – Odwróciła twarz.

– Magda?

– Co?

– Kłamiesz.

Magda westchnęła.

– O co chodzi z tym lasem? Teściowa milknie na samo hasło, nawet nie chce patrzeć w tamtą stronę. Ogrodu od strony lasu nawet nie uprawia. Hubert ciągnikiem w pobliżu nie wjedzie, ziemia leży odłogiem. A mnie tam ciągnie.

– Nie chodź tam.

– No właśnie. Wszyscy tak mówią. O co chodzi?

Magda wstała. Wyrzała za sklepową witrynę. Nikt nie nadchodził.

– Tam podobno ktoś kiedyś zamarzył. Tam, gdzie kapliczka.

– Niejedno takie miejsce na świecie.

– Ale tam złe.

– Do licha, Magda! Czy my żyjemy w średniowieczu?

– Kto tam przechodzi, słyszy głosy. Ludzie widzą postacie, wyciągają do nich błagalnie ręce. Straszy tam, woła do złego. Konie się płoszą, a już nie daj Boże – Magda się przeżegnała – po nocy tam jechać. Ani iść. Ludzie albo nie wracają, albo wracają inni. Dziwni. Chorują, bajdurzą... Nie chodź tam.

– Magda, ja się czuję... dziwnie, a teraz jeszcze dziwniej. Baniałuki opowiadasz i wygląda na to, że wszyscy wokół w to wierzą.

– A ty nie?

– A ja nie – odpowiedziała twardo Justyna.

– Ale to ty słyszysz głosy i ciebie las woła?

Justyna wzruszyła ramionami.

– Chyba już pójdę.

– Zakupy weź. Ale do lasu nie idź.

– Pójdę zerknąć na tę Rudą.

– Idź, idź, pani weterynarz. – Magda się zaśmiała.

Justyna westchnęła, zabrała zakupy i wyszła. Po drodze minęła panią Janinę, ukloniła się. Kobieta odpowiedziała jej uprzejmie i zapytała:

– Zasiało?

Justyna nie miała wątpliwości, o co kobieta pyta.

– W odpowiednim czasie – odpowiedziała.

– Oby jak najszybciej, kochaniutka, oby jak najszybciej – powiedziała Janina i weszła do sklepu.

Justyna ruszyła na drugi koniec wsi, do Rudej.

Obejrzała kotkę, dotknęła jej łapy. Zwierzę patrzyło jej ufnie w oczy.

– Nikomu się dotknąć nie daje – usłyszała.

– Ale ona nie kuleje – odpowiedziała Justyna. – Ona nie może w ogóle chodzić. Ma złamaną łapę.

– To trzeba nastawić – odpowiedział mężczyzna, który wszedł do domu.

– Ja nie umiem. Musi weterynarz.

Pożegnała się, pogłaskała kotkę i wyszła.

„Jeśli mogę pomóc, to pomogę, ale w nastawianiu kotu łapy to nie bardzo” – usłyszała obok siebie swój własny głos.

## Rozdział 12

– Co tak długo łażyła? W domu robić nie łaska? – przywitała Justynę Bogna.

– Już, mam, już – odpowiedziała dziewczyna, po czym rzuciła siatki z zakupami i pobiegła do łazienki.

Teściowa spojrzała obojętnie na siatki, kubek ze śmietaną zapewne pękł, bo z siatki wylewała się biała ciecz. Gównu kupuje, to i na gówno się zda – pomyślała. – Śmietana to powinna być od krowy, porządna, gęsta, z kożuchem tłuszczu na wierzchu. Nie takie coś, sklepowe, jak mleko rzadkie. Niech se sprząta, jak takiego nakupiła.

Przeszła na piętro za synową. Przystanęła przy drzwiach z uchem przysuniętym do pilśniowej powierzchni z zieloną szybą. Uśmiechnęła się. Odgłosy były ze wszech miar zadowalające.

Może wreszcie zostanie nią – pomyślała. – Jak już i brzuch będzie, najlepiej więcej niż raz spuchnięty, to dostanie imię. Na razie nie zasłużyła.

Bogna zeszała do kuchni, ominęła białą kałużę i zajęła się szykowaniem ciasta na chleb. Było dla niej naturalne, że imię młoda żona dostawała dopiero po urodzeniu dziecka. Wcześniej była obcą, do której starsze kobiety zwracały się per „ona”. „Ty” było pewnego rodzaju zaszczytem, wyróżnieniem, symbolem przyjęcia do klanu. Bez dziecka kobieta się nie liczyła. Bogna była potraktowana tak samo przez swoją świekę, jej matka tak samo traktowała swoje synowe. Nic niezwykłego.

Przy czym Bogna nosiła w sercu żal do Boga, że dał jej tylko Huberta. Czego ona nie robiła! Kolejne dziecko, a jeszcze lepiej dzieci w pewnym okresie życia zajmowały jej wszystkie myśli. Chodziła do lokalnych znachorów, wtedy żyła jeszcze stara Pokrzydłowa, matka tej obecnej, doświadczona kobieta, wielu pomogła, ale Bognie – nie. Jeździła dalej, do Przemysła, do Rzeszowa nawet. Była u lekarzy. A teściowa tylko jej mówiła, że do dziecka to się trzeba w nocy do roboty brać. Nogi w cieplej wodzie moczyć i na brzuchu leżeć. Wszystko Bogna robiła, szczęście zakwitło na jej twarzy trzy razy, ale tylko raz donosiła. Hubert urodził się zdrowy, duży, krzepki, nie było żadnych przeciwwskazań do kolejnych ciąż i kolejnych, równie dużych i zdrowych dzieci. A jednak Bóg nie dał.

Bogna chodziła do kościoła regularnie, bo inaczej nie można, i sprzątała regularnie, zgodnie z grafikiem rozpisany przez księżą gospodynię. Przynosiła kwiaty z ogrodu, nawet specjalnie na ołtarz uprawiała w ogrodzie wielkie odmiany lilii i chryzantem. Nie żałowała wysiłku, sprzątała kościelny dywan dokładnie, posadzkę myła starannie, odkurzała tabernakulum, chociaż inne sprzątające tego nie robiły. Lubiała pracować w kościele sama. Było niełatwo, z biegiem lat coraz trudniej, ale i tak nie chciała pomocy. W czasie sprzątania bowiem rozmawiała z Bogiem. Wierzyła, że tam ją słyszy najbardziej.

– Mnie dałeś tylko jednego – mówiła szeptem. – To Hubertowi daj więcej. Niech zalegną się robaczki takie malutkie, wszystko będą miały, jak u ciebie za piecem, wszystko im dam, tylko obdarz nas dziećmi. Gromadką. Niech ich będzie dużo, najwięcej we wsi. Ja na ofiarę dodatkową dam i w przyszłym miesiącu dodatkowo posprzątam. Nawet przygarne któreś ze wsiowych, z tej bidoty, co to drobiazgu multum, a wykarmić nie ma jak. Ja odchowam, przytulę, przygarne, tylko obdarz i nas.

Tak handlowała z Bogiem co miesiąc, polerując tabernakulum, rozprostowując obrus na ołtarzu, ustawiając kwiaty. Kusilo ją czasem, oj, kusilo... Bo źle czuwa, wiadomo. Miała chęć, by wokół tabernakulum przejść się trzy razy w lewą stronę i splunąć na podłogę trzy razy. Potem by sprzątnęła. Takie odczynianie uroków pomaga w różnych trudnych sytuacjach, a potrzeba przedłużenia rodu była i ważna, i trudna, bo przecież póki co nic się nie działo, a Hubert po ślubie już trzy miesiące. Straszne to były myśli, nie przyznała się do nich nikomu, nawet księdzu na spowiedzi nie powiedziała. Nic przecież nie zrobiła. A myśleć? Każdy może.

Wkładając ręce w gęste ciasto, pełne ziaren słonecznika, bo Hubert tak lubił, i przecież dla niego te słoneczniki rosły z boku domu, na słońcu, myślała o tym, jak wiele się zmieni na dobre, gdy w domu rozlegnie się pierwszy płacz dziecka.

Justyna podniosła się znad sedesu wycieńczona. Koszmarny dzień – pomyślała. – Najpierw omamy, potem głupie gadki Magdy, i jeszcze ten kot. Na co mi było tam iść! – Złościła się na siebie. – I na koniec to. To przecież niemożliwe. Nie mogę być w ciąży. Więc co mi jest?

– Coś jej dolega? – z satysfakcją zapytała Bogna, gdy Justyna, wciąż blada, zeszła na dół. Dziewczyna zerknęła na wylaną śmietaną.

– Nie, mamo, czasem tak mam, jak zjem za dużo albo nie popiję ciepłym.

– Ja mam nadzieję, że to nie od jedzenia.

Justyna nie odpowiedziała. Wyciągnęła foliową torebkę i kucnęła nad siatką. Wszystkie produkty były zalane. Sprzątając, nie rozmawiała ze świekrą. Pracowały w ciszy przerywanej buczeniem wielkiej muchy. Chociaż ona wie, po co tu jest – pomyślała Justyna. – Mucha zawsze wie, że szuka jedzenia. Ma cel. A ja? Uśmiechnęła się krzywo do własnych myśli.

– Czasem tak ma, a juści – odezwała się Bogna zirytowana ciszą. Odpowiadała na swoje własne myśli, które kotłowały jej się w głowie wizją łóżeczka z kołderką w błękitną kratkę, wyparzanymi butelkami na mleko, wzięliby od sołtysowej, u niej najlepsze, choć nie wiadomo, z tymi kurami źle tam u nich, to może i z krową? Ale może nie. No i sołtysowa za darmo by dała, w końcu ta – zerknęła na synową – cielaka im uratowała. Do lekarza by poszła!

To ostatnie wypowiedziała głośno.

– Do lekarza? – Justyna udała zdziwioną.

– A co myślisz? Na wsi też się z medyków korzysta, nie na wszystko zioła pomogą! – odpowiedziała Bogna, unosząc brodę.

Ale na wiele – dodała w myślach.

– Mama tak mówi, a mamę też ostatnio brzuch bolał.

– Mnie bolał raczej z czego innego. Ja już takich młodzieńczych przypadłości mieć nie będę.

Justyna westchnęła. Skończyła sprzątanie, rozłożyła zakupy.

– Mamo, w domu ogarnięte, może do ogrodu pójść.

– A idzie, pochodzi sobie, bo wszystko inne porobione. Tylko się nie schyla za dużo, zaszkodzić może.

Justyna wyszła przed dom, narzucając na siebie tylko lekki sweter. Słońce kładło się na horyzont, dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że tak późno. Niby jeszcze dzień, ale już chłód od ziemi kąsał ją w ramiona. Nie wróciła jednak do domu. Obeszła ogród dookoła, także tę część za domem od strony lasu. Nic tu prawie nie rosło. Zaledwie tuje, gęste i od dawna nieprzycinane, a może nigdy? Zapewne miały zasłonić widok na las. Poza nimi tylko trawnik, bardziej łąka, kto by się tam na wsi troszczył o równo przystrzyżoną murawę. Justyna znalazła w kącie ogrodu poziomki, zapomniane, bo nikt owoców z nich nie zbierał.

Lada moment zakwitną – pomyślała i wyobraziła sobie słodycz owocu rozcieraną na języku. Po tej stronie domu w ogrodzie nie było właściwie nic więcej, zaledwie, a może aż – widok na las.

Poczula wyraźny chłód. Odwróciła się w stronę domu – jakby cieplej. Las znów ją wołał. Usłyszała głos. Bardzo cichy, niewyraźny, słów nie była w stanie rozpoznać. Ktoś coś jej nakazywał, rozkazywał, chyba kazał przyjść? Justyna się wzdrygnęła. Pomyślała z niechęcią o wizycie w lesie. A może naprawdę ktoś mnie woła? – zastanowiła się. Przeszła przed front domu, zupełna cisza. Wyszła za winkiel – głosy. Teraz wyraźniejsze, być może potrafiłaby odróżnić słowa, gdyby tylko się zatrzymała i ich wysłuchała. Zrozumiała kilka słów, wychwyciła: *Strych. Posprzątaj strych* i czym prędzej, przestraszona, wróciła do frontowego ogrodu. Ruszyła wzdłuż zagonów z marchewką, właściwie mogliby korzystać ze zbiorów, które Hubert szykował na sprzedaż. Mieli przecież wszystko, nie tylko zboża. Marchewkę, ziemniaki, pory,

kapustę, pietruszkę, i co tam jeszcze. Dlatego teściowa całe jedno pomieszczenie miała przeznaczone na sadzonki. I wszystko to, co na polach, rosło też w ogrodzie.

– Na polach nawozisz, dla sklepów piękne muszą być te twoje warzywa, a do domu zdrowe – mówiła do Huberta.

Justyna obejrzała wszystkie starannie wypielęgnowane grządki. Z inspektu zerwała niewielkiego jeszcze ogórka, będzie mizeria dla Huberta – uznała. – Tyle śmietany chyba zostało – dodała w myślach z głośnym westchnieniem.

Wciąż słyszała szepty. Niewyraźne, z oddali, ale wciąż ją otaczały. Wyszła za skraj domu – usłyszała wyraźnie. Oparła się ręką o ścianę – zapadła kompletna cisza.

Wracam – uznała. – Mam kompletne omamy.

– Mamo? – zawołała po wejściu do domu.

Usłyszała kroki na piętrze, ale Bogna się nie odezwała.

– Mogę w czymś pomóc? – zawołała znów Justyna.

– A idzie i posiedzi. Wszystko zrobione.

– Ogórka na mizerię przyniosłam.

– Obiad zrobiony, już kuchni nie brudzi – odpowiedziała Bogna, ukazując się na schodach.

Justyna opuściła ramiona w geście bezradności.

– Skoro mama wszystko zrobiła... – Justyna zamilkła.

– No mówi, czego chce! – zirytowała się Bogna po chwili.

– Hubert mówił, że strych jest do posprzątania.

– A idzie mi z takimi pomysłami! Ja tam nigdzie chodzić nie będę. – Wykonała taki gest, jakby z trudem powstrzymała rękę przed przeżegnaniem.

– Ale skąd, mamo! Ja sama, przecież nie będę mamy kłopotać.

– Strych jest, bo w domu być musi. Ja tam śmieci wyrzucać nie będę, sił mi na takie wymysły brak. Ale idzie, zejdzie mi z oczu przynajmniej. – Bogna wzruszyła ramionami. – Tylko ostrożnie! Niech nie dźwiga! – dodała jeszcze.

Zejdę przynajmniej z oczu – potwierdziła w myślach Justyna – a i jej nie będę musiała oglądać.



## Rozdział 13

– Coś ty nakupiła?

Justyna uniosła brwi.

– Ja? – Zdziwiła się.

– Kto niby. Mama zakupów nie robi.

– Ale mama gotuje – upierała się Justyna. – Zakupy były w porządku.

– Z nieświeżego dobrego nie nagotuje – wtrąciła teściowa.

– Mama się przytruła. Brzuch ją boli. – Hubert pokręcił głową.

– Wszystko kupiłam świeże... Przepraszam, jeśli to moja wina – powiedziała Justyna.

Co się klócić? – pomyślała.

Kończyli właśnie obiad. Hubert zjadł wszystko, Bogna mieszała jedzenie widelcem. Justyna podniosła się i sprzątnęła stół, umyła i ułożyła naczynia. Starła stół, podała herbatę. Zerknęła na podłogę, nie wymagała mycia, choć nigdy nie można było mieć pewności, czy Bogna czegoś nie znajdzie.

Teściowa kiwnęła głową w podziękowaniu, nie ruszyła herbaty i powiedziała:

– Pójdę się położyć. Ciężko mi dzisiaj.

– Hubert, ty naprawdę sądzisz, że to moja wina?

Wzruszył ramionami.

– Mama tak myśli.

Justyna westchnęła.

– Jak niby miałabym to zrobić?

Ponownie wzruszenie ramion.

– Pójdę jednak na ten strych – powiedziała.

Nie odpowiedział.

Justyna weszła po schodach na piętro, z pokoju teściowej nie dochodziły żadne dźwięki. Może zasnęła? – pomyślała dziewczyna.

Ostrożnie wspięła się na strome drewniane schody, ukryte za niewielkimi drzwiami. Same drzwi też były schowane. Niemal niewidoczne pod tapetą w regularny, szaro-srebrny pasek. Wyróżniał je tylko okrągły otwór z niby-kołatką, okrągłym chwytakiem zastępującym klamkę.

Schody skrzypiały, jak to stare drewniane stopnice. Przykurzona żarówka dawała niewiele światła, dość jednak, by dostrzec kolejne, tym razem wyraźnie widoczne, choć niskie drzwi, przez które Justyna musiała przejść ciut pochylona.

Światła ze schodów nie wystarczało na oświetlenie wnętrza. Justyna nie była pewna, w jak dużym pomieszczeniu się znalazła. Pełne było nieruchomych cieni, bo jak miałyby poruszać się bez światła? Justyna znalazła staromodny włącznik światła, nawet gdzieś majaczyła żarówka na gołym kablu, ale kręcenie ebonitowym pokrętelem nie dało efektu. Brak prądu? Przepaliła się żarówka? Właściwie nieistotne. Dla Justyny ważne było, że nie dało się włączyć światła. Jak na złość – nie wzięła ze sobą telefonu. Następnym razem zabiorę latarkę – pomyślała.

Odczekała chwilę, by oczy przywykły do ciemności. Potem ostrożnie, krok za krokiem, wzdłuż ściany, przesuwała się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Bez przyczyny, po prostu którąś stronę musiała wybrać. Po chwili dotarła do niewielkiego dachowego okna. Dało się je rozpoznać nie tylko dotykiem, ale również po odrobinie wpadającej jasności. Przede wszystkim Justyna poczuła zza niego chłód, okno było

nieszczelne. Wymacała klamkę, przekręciła, nie chciało się otworzyć. Nacisnęła mocniej, dopiero po trzeciej próbie okno uchyliło się, do pomieszczenia wpadło więcej światła. Dziewczyna odetchnęła. Zdała sobie sprawę, że odruchowo wstrzymywała oddech. Kilka słonecznych promieni uświadomiło jej, jak wielki tuman kurzu unosił się wokół niej.

Czy ktoś tu był od ostatniego remontu? – pomyślała. – Na pewno – odpowiedziała sobie w myślach. Tuż przy jej stopie stało żelazko. Wyglądało na całkiem nowe. Znanej marki, z fioletowym zbiornikiem na wodę. Obok maszyna, chyba do chleba, w białej, pożółkłej obudowie. Kolejne żelazko, dalej przerdzewiała deska do prasowania. Dostrzegła też franie, i starą pralkę automatyczną. Umieralnia dla zużytych przedmiotów – uznała.

Okno było tak brudne, że słoneczne światło nie przenikało przez szybę. Dopiero otwarte mogło rozświetlić pomieszczenie, a i to zaledwie odrobinę. Justyna wycofała się powoli, unosząc wysoko nogi, by nie wzruszać wiekowego kurzu. Zeszła do łazienki, odnalazła gumowe rękawice, miskę i kilka płynów do mycia. Znow zapomniała o latarce, jednak po umyciu okna nie była już tak bardzo potrzebna. Okazało się także, że obok starego, ebonitowego, w drewnianej ścianie był drugi włącznik. Sprawny.

Justyna wychyliła się teraz przez okno. Widziała kościelną wieżę z lewej strony, sklep Magdy schowany był za kominem. Z prawej rozpościerał się las, który w tej chwili wyglądał jak zwyczajne skupisko drzew, miejsce, które nigdy nie woła nikogo po imieniu. Bo to jest zwyczajny las – pomyślała dziewczyna.

Przyjrzała się dachowi. Dom wprawdzie przeszedł gruntowny remont, pokrycia dachowego to jednak nie dotyczyło. Albo też dachówki, wybrane dwadzieścia lat temu, musiały być wyjątkowo podłej jakości. Gdzieś tam poprzerastał je mech, niektóre wyglądały na pokruszone. Justynę jednak zastanowiło coś innego. Pod oknem, z lewej strony, tuż koło komina, umieszczono dziwną konstrukcję. Jakby podest. Wyobraziła sobie, że schodzi na niego, wychodząc przez okno, i zadrzała. Zmieścić się tam mogło pół stopy na głębokość, nogi dałoby się zapewne rozstawić na szerokość bioder.

Wyjście na dach? – pomyślała. – Może na potrzeby konserwacji?

Konstrukcja była hipotetycznym ułatwieniem dla ewentualnego dekarza. Kiedyś. Dzisiaj deski, które na niej leżały, zbutwiały, odsłaniając kilka rudych od rdzy prętów.

Na pewno nie będę próbować – uśmiechnęła się.

Wyciągnęła rękę, konstrukcja była zbyt daleko. Sięgnęła po jakiś drąg, wystawiła go za okno, dotknęła pozostałości desek. Rozsypały się całkowicie, w trociny, które rozpyliły się w złoty pył. W słońcu wyglądały jak złota rzeka, płynęły lekko w powietrzu, unoszone przez wiatr. Poczula chłód. Zerknęła w stronę lasu. Jakby falował? Nic jednak nie słyszała.

Na szczęście – pomyślała. – Nie potrzebuję jeszcze omamów słuchowych.

Wróciła do pomieszczenia.

Sprzątanie – pomyślała z zadowoleniem. – Czekają mnie wielkie porządki.

Uznała, że mop będzie jak znalazł.

Nie wykorzystalam go na jasnych płytkach, przyda się na wiekowych deskach.

Po cichu zeszła znow na piętro, nalała wody, widziała, że Hubert położył się po obiedzie. Świekra wciąż nie dawała znaku życia.

Mop będzie do wyrzucenia – pomyślała. – I trudno. Przynajmniej na coś się przyda.

Wstępne zmycie najgrubszej warstwy kurzu z podłogi i największych sprzętów zajęło jej całe popołudnie. Z trudem powstrzymywała się, by nie stawać przy kolejnych obiektach. Traktowała je jak odkrycia. Miała wrażenie, że im dalej od okna, tym starsze przedmioty. Przeznaczenie niektórych było dla niej zagadką. Kilkakrotnie schodziła, by zmienić wodę w wiadrze. Zabrała ze sobą także komórkę. Odkryła jeszcze dwa niewielkie okna, umyła je tak jak pierwsze. Za nimi jednak nie było żadnej dziwnej konstrukcji. Widziała z nich las. Niechętnie patrzyła w jego stronę, choć wyglądał pięknie. W promieniach słońca gałęzie sosen prezentowały się jak omszałe. Ciemne, umoczone w puchu ze słońca i kurzu.

Pewnie paprochy z tego strychu unoszą się też za oknem, dlatego tak widzę – pomyślała.

Gdy umyła podłogę, zrobiła telefonem zdjęcia. Czowała się jak w muzeum. Balia i tarka do prania, w jakim domu można coś takiego znaleźć? W moim – odpowiedziała sobie. – Nawet dwie tary.

Znalazła wielką drewnianą kołyskę, malowaną w niebieskie kwiaty. Kiedyś musiała być piękna. Kwadratowy stolik ze skórzanym blatem, zbyt wysoki na karciany. A może? Ktoś w tym domu był hazardzistą? Pod ścianą stały odwrócone tyłem obrazy, nic nie mogła na nich dostrzec, dopóki nie przemyśla ich ścierką. Przedstawiały Przenajświętszą Panienkę, Serce Jezusa, piętę i paru świętych, których Justyna nie potrafiła rozpoznać. Dostrzegła serwantkę na wysokim połysku, uchyliła barek, jak się spodziewała, miał lustrzane plecy. Dalej stał malowany na biało kredens, a w głębi pod skosem znajdowały się trzy malowane skrzynie. I jeszcze dwa kufry, wyglądały na artystycznie okute, wszystkie jednak pozostawiła w spokoju. Wyglądały na bardzo stare, zaciekawiały dziewczynę, były jednak tak zastawione, że póki co nie sposób było do nich dotrzeć.

Justyna otworzyła drzwiczki kredensu. Wewnątrz znalazła kolekcję glinianych naczyń. Różnej wielkości, od niewielkich miseczek, przez dzbanki z uchem, pewnie do mleka, aż po dwa całkiem duże naczynia, które zajmowały całą półkę. Wśród nich na samym dole coś, co Justyna widziała dotychczas tylko na zdjęciach w internecie. Drewniana maselnica, podłużne rzeźbione naczynie z długim drągiem. I ręczna maszynka do mielenia, przykręcana do blatu. Zardzewiała.

Jestem w skansenie – pomyślała z westchnieniem.

Wróciła bliżej drzwi. Odkryła ekspres do kawy, dosyć przykurzony, choć wyglądał na w miarę nowoczesny. Pewnie stoi już długo – oceniła.

Jeszcze waga apteczna z kompletem odważników, brakowało tylko najmniejszego, i kilka mosiężnych mis. I rubin. Telewizor, o którym słyszała, nigdy jednak nie widziała. Legenda lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

W końcu Justyna poczuła się głodna. Obiad wprawdzie, w przeciwieństwie do teściowej, zjadła, było to jednak dawno. Upływ czasu uświadomiła sobie, zerkając na komórkę. Minęły ponad trzy godziny. Justyna zeszła na dół.

– Co tak długo robiła? – przywitała ją Bogna, już w pełnym rynsztunku, w kuchni. Odziana w fartuch ze stilonu w fioletowe kwiaty myła na kolanach podłogę. Justyna westchnęła.

– Byłam na strychu. – Czowała potrzebę wyjaśnienia.

– Nic tam ciekawego – obojętnie skwitowała Bogna. – Kurz i zapomnienie.

– Mówiła mama, że mogę tam posprzątać.

– A może, może. Jak nie ma co robić, to może i na strychu sprzątać. Byle się nie przedzwigała!

– A mogę, mam, te stare sprzęty stamtąd powywozić?

Bogna spojrzała na nią zmarszczona.

– Franie, ale też starą automatyczną pralkę, i stary telewizor...

– A robi, co chce. – Bogna wróciła do szorowania podłogi.

– Więcej miejsca w domu będzie. – Justyna okazała podekscytowanie.

– A mało jej miejsca? – Bogna się zdziwiła. – Chociaż właściwie – mruknęła. – Dla dziecka więcej będzie. A teraz je. Bo za chuda. – Bogna wskazała Justynie talerz ustawiony na stole.

– Sama?

– Hubert zjadł i pojechał do remizy. Mycie auta mają. A ja jeść nie będę.

– Mam, zjedz ze mną, niedobrze na noc z pustym brzuchem.

– Nie gada. Mnie brzuch boli, jeść nie będę. Głowy nie zawraca.

– To może coś podam? Krople jakies?

– Co tam krople. Nie gada, zjada lepiej.

– Mamie to trzeba do lekarza pojechać – powiedziała Justyna, gdy już usiadła przy stole.

- Nie mówi, co mam robić. Zioła już u Pokrzydłowej zamówiłam, żadne konowały mi niepotrzebne. Jak mój świętej pamięci do doktora pojechał, to chociaż wcześniej zdrow był, w trzy miesiące go kostucha zabrała. Wystarczyło, że do szpitala trafił!

- Może gdyby pojechał wcześniej...

- Nie mówi za dużo - przerwała jej Bogna. - Zjada, bo wystygnie.

Justyna popatrzyła na talerz. Leżały na nim dwie kanapki i kopiaista łyżka twarogu z rzodkiewką. I cóż tu miało stygnąć...

## Rozdział 14

– A niech się przyda – powiedziała Bogna, wzruszając ramionami. – Miejsce dla dziecka będzie jak znalazł. Justyna już nie odczuwała odrzucenia. Teściowa traktowała ją jak nieobecną, nic nie można było poradzic. A jednak zaczerwieniła się.

– Mamo, będzie dziecko, będzie i miejsce – odpowiedział spokojnie Hubert. – Nie ma co się śpieszyć.

– Przygotowanym trzeba być – odpowiedziała kobieta.

– Mamo, wszystko w swoim czasie – odezwała się cicho Justyna.

– A teraz je – odpowiedziała Bogna. – Bo za chuda. – Powtarzała to niemal codziennie.

Justyna westchnęła.

– A mama czemu nie je?

– Brzuch mnie boli – odburknęła teściowa.

– Pojedzie mama do lekarza – odpowiedziała delikatnie dziewczyna. Ten dialog też powtarzały przy każdej możliwej okazji.

Bogna jest uparta, ale niegłupia – pomyślała. – W końcu musi zacząć się leczyć.

– Zioła dziś Pokrzydłowa przyniesie. A te porządki to skończy?

Zmiana tematu wytrąciła Justynie argumenty.

– Nie wiem. Strych dawno nie był sprzątny... Dużo tam kurzu. Przygotowałam trochę rzeczy do wyrzucenia. Hubert, pomożesz mi? Zakładam, że wszystko, co tam wyniesiono, jest uszkodzone?

Hubert mruknął coś niewyraźnie.

– Pomoże, pomoże – odpowiedziała za niego Bogna. – Wszystko pomoże. Ty masz nosić pełny brzuch, nie stare rupiecie. Zadbaj o to wreszcie. – Wskazała palcem na syna.

Powiedziała do mnie na ty! – ucieszyła się Justyna.

– I żeby zawartości nie zgubiła! Bo kto to widział, po świecie się kręci, z ludźmi gada, uśmiechy rozdaje. Czas traci. A cztery miesiące po ślubie brzuch powinien rosnąć!

– Mamo, ale ty urodziłaś Huberta dopiero kilka lat po ślubie, prawda?

– Nie pyskuje matce! – Bogna złapała się za serce.

– Przepraszam – Justyna spuściła wzrok.

Hubert wstał od stołu bez słowa, skierował się do przedsionka i wyszedł z domu.

– I co narobiła? Co? Syn mi z domu ucieka, taka to żona! Taka żona! – wyrzekła Bogna.

– Mamo, przepraszam. Ja...

– Nie gada, posprzątaj tu. Pokrzydłowa przyjdzie, byle jak przyjmować gościa nie uchodzi.

O zielarce Justyna słyszała już legendy, a i spotkanie z lokalną wiedźmą zrobiło na niej wielkie wrażenie. Kobieta mieszkała z drugiej strony wsi, na uboczu, przy wąskiej polnej drodze. Podobno jej dom był ostatnim w województwie, który został zelektryfikowany. A i tak zwykle wieczorami w jej oknach można było dostrzec raczej chybocliwe światło świec niż błysk żarówki.

Pokrzydłowa była zainteresowana budowaniem tajemnicy. I miała ku temu powody. Mieszanie ziół było procesem, do którego dodawała sporo magicznego ceremoniału. Dla lepszego efektu często okadzała swój domek. Nie dlatego, że była taka potrzeba – robiła to dla wizerunku, budując wokół siebie tajemnicę i niedopowiedzenia, zwykle wtedy, gdy spodziewała się czyjejś wizyty. Na pokaz. Oczywiście używała też oczyszczającej białej szatwii, to jednak był rytuał zbyt ważny, by wykonywać go przy kimś lub dla kogoś.

Zwykle szalwią okadzała dom w nocy, przy zasłoniętych oknach, mrucząc przy tym sobie tylko znane zaklęcia.

Znachorka miała w swoim domu półkę przesłoniętą płócienną zasłonką w paski, na niej słoje, w których macerowała zioła. Dla efektu wrzuciła do kilku słoików niezbyt oczywistych kształtów przedmioty, z premedytacją udając, że niektóre z nich to nienarodzone ludzkie płody. Takich u niej nie było, choć owszem, trafiło się szczenię uduszone w czasie porodu oraz dwa malutkie jeże, które wyciągnęła z przejechaanej ciężarnej jeźcy. Nie tłumaczyła się jednak nikomu, a samą półteczkę pokazywała z rzadka i pozornie mimochodem. To tylko wzmagало ciekawość miejscowych.

Ale najważniejsze Pokrzydłowa miała tam, gdzie nikt nie wchodził. Najważniejsze były książki i legendarne zeszyty babki. Te teksty i tabletki miały największe znaczenie. Tak, tabletki.

Nikt o tym we wsi nie mówił, jakby nikt nie pamiętał, a przecież Pokrzydłowa skończyła szkoły. Podstawówkę w sąsiedniej wsi, ale już do liceum jeździła do Przemyśla. A potem kształciła się w Rzeszowie, w studium zawodowym na opiekuna medycznego, co wydawało się jej dobrym pomysłem, przecież z pomaganiem ludziom, a nawet ich leczeniem, miała styczność od zawsze. Szkoła szybko uświadomiła jej, że zielarstwo nie jest zaliczane do nauk medycznych, skończyła więc edukację z myślą, że był to czas stracony, jednak babka skorygowała jej opinię. Pokrzydłowa zdążyła wrócić do domu akurat na czas, gdy babka zapowiedziała koniec swojego pobytu na ziemskim padole.

– Jeszcze tylko wnuczce trochę wiedzy wbiję do głowy i czas na mnie – mówiła.

I choć wszyscy wokół ją uciszali, staruszka nie dała się przekonać. Spędzała z wnuczką całe dni, opowiadała o każdej sprawie, nawet jeśli wcześniej nie chciała o niej nawet wspominać. Przede wszystkim o truciznach, czarnych urokach i wszystkich tych ciemnych stronach rzeczywistości, nad którymi zdolni byli zapanować tylko ci najświadomiej widzący.

– A poza tym twoje szkoły bardzo ci się przydadzą – powiedziała pewnego dnia, czym wprowadziła w zdumienie młodą dziewczynę, która tylko wzruszyła ramionami, sądząc, że babka nie bardzo już kojarzy. – A tak, wniosiu, tak. – Babka zaśmiała się bezzębnie. – Uczylaś się o lekarstwach? Wiesz, które na co pomagają?

– Wiem.

– Czyli wiesz też, na co nie pomogą. Albo na co zaszkodzą. O truciznach też się uczylaś?

– Żeby potrafić je zneutralizować...

Już kończąc zdanie, dziewczyna zrozumiała intencje babki. Dlatego apteczka była u niej bardzo ważna, choć głęboko ukryta. Nie tam, gdzie efektowne słoje z pływającymi zwierzęcymi płodami, nie tam, gdzie płonęły świece i pachniały kadzidła. Zbiór leków przechowywała w sypialni, w wielkiej szkatułce na biżuterię, w której rzeczywiście na wierzchu leżało kilka sznurów kolorowych koralów. Gdyby ktoś zechciał otworzyć – choć trudno sobie wyobrazić odważnego na tyle, by wszedł do sypialni znachorki – znalazłby po prostu skrzynkę z tęczową biżuterią, jakiej Pokrzydłowa mnóstwo nosiła na co dzień.

Justyna oglądała ten domek, chatkę bardziej, z daleka. Nie podchodziła, bo i cóż miałyby powiedzieć? Wyobrażała sobie znachorkę jako starą przygarbioną kobietę, owiniętą chustą w czerwono-zielone kolorowe kwiaty, w długiej brązowej spódnicy. Pasował jej do tego skrzące głoś, siwe włosy do pasa i pomarszczone dłonie z zapuszczonymi paznokciami oraz mnóstwo metalowych bransoletek i brzęczących naszyjników. Rzeczywistość zweryfikowała przypuszczenia, spotkały się przecież w sklepie i w polu, kiedy Justyna budziła się z dziwnego snu.

Teraz Justyna sprzątała w milczeniu. Zmyła na kolanach podłogę w kuchni i jadalni, stół przykryła świeżą serwetą, na kanapie ułożyła równo pikowaną różową narzutę. Może się przyda – pomyślała. – Zielarki też chyba badają pacjentów, prawda? Jakoś. Będzie się mama mogła położyć.

Bogna poszła na górę, zeszła w luźnej sukience w kolorze zgaszonej czerwieni, bardziej nawet ciemnego koralu, rozpinanej z przodu. Nigdy wcześniej Justyna tej kreacji nie widziała.

– Kto to widział do ludzi w rozpinanym z przodu wychodzić. Nieprzyzwoitość tak zapraszać do rozpina-  
nia guzików. A jak który się urwie! Wstyd golizną świecić – odpowiedziała Bogna na pytanie dziewczyny. –  
Co innego przy zielarce. Wygodnie musi być, jakby trzeba się rozebrać.

Justyna przygryzła wargę i odwróciła się do okna, ukrywając uśmiech.

– Może jeszcze szyby umyję – powiedziała cicho.

– A może, może – odpowiedziała Bogna. – Tę chociaż, zacieki tutaj.

Justyna wcale nie zamierzała myć okien, które wypucowała tydzień temu. Powiedziała to, by ukryć roz-  
bawienie, a teraz nie miała wyjścia. Chwyła płyn, ścierkę i wypucowała czystą powierzchnię.

– Nada się – oceniła Bogna. – A teraz wodę nastawi, bo Pokrzydłowa niedługo będzie.

Zielarka pojawiła się w progu niemal znikąd. Poruszała się cicho, bezszelestnie, a jednak nie dało się  
nie zauważyć jej wejścia. Justyna poczuła prąd wzdłuż kręgosłupa, na całym jej ciele stanęły włoski. Potem  
dostrzegła wielką plamę pulsującej zieleni, dopiero z niej wyszła znachorka. A wokół niej – niebieskość.  
W tym szczególnym odcieniu i niespotykanej intensywności, jaką widziała kiedyś tylko wokół ojca. I jesz-  
cze wokół Huberta. Tylko dobrzy ludzie mają taką aurę – pomyślała dziewczyna.

Bogna już skakała wokół przybyłej, Justyna stała z opuszczonymi rękami i starała się zebrać myśli.  
Miała w głowie pustkę. Coś powinna powiedzieć, ale co?

– Dzień dobry chociaż powie – zbesztła ją Bogna.

– Przepraszam, dzień dobry, oczywiście. – Czar prysł, Justyna już krzątała się wokół herbaty.

– Nie trzeba, dziecko, nie trzeba – odpowiedziała Pokrzydłowa. – Własnych ziół przyniosłam, zaparz  
nam, wszystkim dobrze zrobią.

– Naturalnie – odpowiedziała Justyna.

Była pod wrażeniem przybyłej. Wysoka i szczupła kobieta, nie tylko w żaden sposób nie przypominała  
zgrzybiałej staruszki, była... Była oszałamiająca. W sklepie chusta w kwiaty ukryła burzę rudych loków.  
Teraz prezentowały się w pełnej krasie. Zielone oczy znachorka podkreśliła czarną kredką. Do tego poma-  
rańczowa szminka na ustach, fioletowa bluzka. Brązowe spodnie trzy czwarte i kolorowa torba wyszywana  
cekinami. Zadbane dłonie z krótko opiłowanymi paznokciami. Krótkie korale z dużych czerwonych  
kamieni, jak u krakowianki. Cała postać biła kolorem i energią, dla Justyny jednak najbardziej wyrazista  
była aura: zielona, przypominająca jadowitą zieleń kielkujących zbóż, z szerokim niebieskim otokiem.  
Najbardziej niebieskim z możliwych.

Mignęło jej wspomnienie. Przebiło się teraz jak niespodziewany promień słońca odbity w lustrze, ośle-  
piający, choć krótki. Gdzieś już to widziała. Zielony – niebieski – rudy. Warszawa? To musiało być w War-  
szawie. Kiedy? Dawno. Dokładniej? Nie wiadomo. A jednak Justyna była pewna. Widziała już takie rude  
loki w otoczeniu jadowitej zieleni. I z niebieskim otokiem.

Zielarka wypila herbatę, rozmawiając z Bogną. Słuchała o dolegliwościach, którymi Bogna nie dzieliła  
się wcześniej z Justyną. Dopiero teraz dziewczyna zdała sobie sprawę, że teściowa była znacznie bardziej  
chora, niż chciała przyznać. Znachorka obserwowała także Justynę, uważnie, choć – póki co – bez słowa  
komentarza.

– Połóż się – powiedziała w pewnym momencie do Bogny.

Nie rozpinęła jej koralowej sukienki. Po prostu położyła dłonie na brzuchu, uciskając w różnych miej-  
scach. Przesunęła rękami nad głowę, potem nad całym ciałem.

– Jesteś zatruta – powiedziała potem. – Ale zaskakująco. Ciało jest zdrowe, a jednak chore. Jakby...  
sama nie wiem. Wszystko dziwne jest w okolicach brzucha. Nie widziałam jeszcze czegoś takiego. Może  
matka by wiedziała, może zostawiła coś w zapiskach.

– Matka? – zainteresowała się Justyna.

– Nie przerywa – odezwała się Bogna.

– Dlaczego? – Zielarka zdziwiła się, spoglądając na Bognę. – Dziewczyna jest tu nowa, prawda?

Justyna kiwnęła głową.

– To zasługuje na opowieść – zdecydowała Pokrzydłowa. – W mojej rodzinie wszystkie kobiety były zielarkami. Przekazujemy sobie wiedzę z matki na córkę, ustnie i nie tylko. Moja matka korzystała z zapisków babki, robiła też swoje. Babcia z zapisków prababki. Wcześniej nie byłyśmy piśmienne, ale tradycja przechodziła z pokolenia na pokolenie. Żyjemy z zielarstwa i każda z nas ma tylko jedno dziecko, córkę.

– Pani nie ma?

– Jeszcze nie – odpowiedziała kobieta poważnie. – Będę miała za dwa lata. To będzie Róża, jak moja babka. Imiona też sobie przekazujemy, w ustalonej kolejności. Róża, Czesława i Lubomira, jak ja. Luba. Więc muszę zerknąć do zeszytów matki i babki.

– Bardzo ładny ma pani dom – odważyła się powiedzieć Justyna.

– A co się mądrzy, była tam? – burknęła Bogna.

Justyna pokręciła głową. Przecież nie była! Skąd zatem wiedziała, jak ten dom wygląda? Bo wiedziała, była tego pewna. Widziała nad sobą biały niski sufit, lekko przydymiony w okolicach białej kozy ustawionej w miejscu starego pieca. Wszystkie meble były z jasnego drewna, w kuchni zamiast drzwiczek wisiały haftowane w roślinne wzory zasłonki. Pachniało ziołami. Suszem. Było ciepło... Skąd mogła o tym wiedzieć?

– Dziękuję. – Kobieta uśmiechnęła się ciepło. – Od wieków ten sam. Wygód w nim brak, ale to moje miejsce. Najbardziej doskwiera brak cienia, szczególnie latem. Przydałby się las w pobliżu – odpowiedziała.

– Las jest tutaj – powiedziała Justyna.

Zielarka nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko wokół niej raptem zaszalał brązowy. Przykrył zieloną aurę szerokimi płatami, Justynie zdawało się, że na chwilę zabrakło powietrza. Ale tylko się zdawało. Trwało to tyle co mrugnięcie.

– Ten las to nie jest dobre miejsce dla zielarki – odpowiedziała kobieta. – I ty tam nie chodź, dziecko, nie trzeba.

Justyna poczuła w tym momencie, że jakaś niekontrolowana siła, pochodząca właśnie od stojącej naprzeciw niej kobiety, pcha ją w stronę lasu. Stało to w tak gwałtownej sprzeczności ze słowami znachorki, że Justyna zdrząła.

– Wszyscy mnie ostrzegają przed tym lasem – zirytowała się dziewczyna. – Nikt nie chce jednak powiedzieć, o co chodzi.

– Bo nikt nie wie, dziecko. Nikt. – Justyna zdała sobie sprawę, że zielarka teraz mówi prawdę albo prawie całą prawdę. Jej zielen stała się przejrzysta, lekko tylko skażona brązowymi pasmami. – Nikt nie wie naprawdę, a domysły nie mają znaczenia.

– To skąd te ostrzeżenia?

– Co się interesuje, głupotami głowę zawraca – zmytygowała ją Bogna.

– Niech pyta, jak ciekawa – odpowiedziała zielarka miękkiem, łagodnym głosem. – To osobliwe miejsce, z niespotykaną energią. Wiesz, co mam na myśli, prawda?

Justyna kiwnęła głową.

– Są tam zawirowania, nad którymi nikt nie potrafi zapanować. Ludzie upadają bez przytomności, gubią się na prostej drodze, ktoś zamarzl, ktoś zwiariował. Tak mówią. Musiało to być dawno, bo świadków naocznych nie ma. – Kobieta zaśmiała się życzliwie. – Legenda za to jest silna. Nawet ksiądz, choć zwykle głuchy na głosy przyrody, nie lubi tam chodzić. Nabożeństwo przy kapliczce odprawia wyłącznie na zamówienie, a i to jak najkrócej. Dla niego przecież wieś się na asfalt składała, tak nie chciał tam chodzić. Rzekomo odmawiał, bo mu się buty brudziły. A teraz musi, ludzie asfalt dla niego położyli. Ot, takie tam, wiejskie bajania.

– To dlaczego mnie pani ostrzega?



– Bo jestem zielarką i opowiadam bajki. Wyczuwam ludzką krzywdę i w złe wierzę.

Odwróciła się znów w stronę leżącej jeszcze Bogny.

– A tobie na pewno pomoże to, co przyniosłam. – Sięgnęła do wyszywanej cekinami torby. – Zaparzą rano, po zagotowaniu wody odczekaj cztery minuty, potem zalej. Dwie łyżeczki na kubek, taki jak ten. – Wskazała na trzymane przez Justynę naczynie. – Przykryj talerzykiem. Wystudzone pij cztery razy dziennie pomiędzy posiłkami. Po kilka łyków. I będzie dobrze. A tobie, dziecko, co? – skierowała pytanie do Justyny.

– Mnie? – Justyna podskoczyła. – Mnie nic.

– Młoda, to i zdrowa – odparła zielarka. – Czyli? – Pytająco spojrzała na Bognę.

– Potrzeba, potrzeba – odpowiedziała Bogna. – Trzy miesiące po ślubie, a brzuch jałowy.

– Na to są inne recepty, nie ziołowe – rzuciła Pokrzydłowa ze śmiechem. – I ty wiesz jakie. – Spojrzała Justynie prosto w oczy. Podeszła i wyciągnęła dłonie nad jej głowę. Przymknęła oczy i zakołysała się lekko, wydając z siebie lekkie mruczenie. Justyna poczuła, że świat się zatrzymał. Wokół wirowały kolorowe pierścienie, w nich poruszały się postaci: kobieta o długich blond włosach, dwie dziewczynki w białych sukienkach, mężczyzna w surducie stojący nad kobietą ściśniętą gorsetem, siedzącą na wyściełanej aksamitem kanapie. Szczegóły, które dostrzegała Justyna, wydawały jej się niezwykle istotne. Wszystko obracało się, przenikało, poruszało, żyło. Dopiero gdy znachorka wzięła ręce znad głowy Justyny, świat się zatrzymał. Bogna niczego nie zauważyła.

– Ja ci powiem – zielarka skierowała teraz słowa do Bogny – jak młoda będzie chciała, to brzuch się napełni. Wcześniej nie.

– To jak, ona nie chce? – Bogna aż podskoczyła.

– A bo ja tam wiem – odpowiedziała zielarka. – Pójdę już, odkopię zeszyty matki i babki, może znajdzie coś więcej. Pij co najmniej cztery razy dziennie – powiedziała na odchodnym.

Zanim wyszła, podeszła jeszcze do Justyny. Szepnęła jej coś do ucha tak cicho, że Justyna ledwie usłyszała. Bogna poczerwieniała ze złości.

– A ty nie pytaj, co powiedziałam – zwróciła się znachorka do starszej kobiety. – Jakbym chciała, żebyś wiedziała, powiedziałabym głośno.

Justyna patrzyła za odchodzącą. Pokrzydłowa poruszała się zgrabnie, w miękkich adidasach, znoszonych, kolorowych. Na polnej drodze nie unosił się żaden pył, choć nie padało od kilku dni. Justyna dostrzegła podążającą za nią postać młodej kobiety, filigranowej blondynki z lokami wirującymi wokół jej postaci i kibici, którą można objąć dłońmi. Z tyłu zaś szedł mężczyzna – wysoki, postawny, w surducie i wysokich wyglansowanych butach. Justynie zdawało się, że mówi do drobnej blondynki, woła ją stanowczym głosem: *Anno, wracaj do domu. Matka płacze.*

Justyna nie słyszała odpowiedzi, widziała jednak, że cała trójka, ze znachorką na czele, wchodziła w intensywną niebieskość.

## Rozdział 15

Justyna spoglądała za Lubomirą przez okno. Bogna w tym czasie schowała ziółka do szafki, a dziewczyna kątem oka dostrzegła, którą szafkę wykorzystała.

– Posprzątam – powiedziała odruchowo dziewczyna.

Bogna nie zareagowała. Krzątała się po pokoju, złożyła narzutę, stanęła na środku z rękami opartymi o biodra. Pokój był idealnie czysty, nie było do czego się przyczepić.

– Hubertowi zrobi – nakazała w końcu.

– Oczywiście – przytaknęła dziewczyna.

Hubert miał wrócić za pół godziny. Albo dłużej. Justyna nauczyła się, że jeśli Hubert wracał z remizy, to... Cóż, bywało różnie. Musiała przygotować się na nieprzewidywalne, czasem bardzo długie oczekiwanie. Nie wchodziło w grę, by poszła spać przed jego powrotem. Bogna by do tego nie dopuściła.

– Baba od tego jest, by na chłopca czekać – powiedziała kiedyś. Nie podlegało to dyskusji. Justyna pomyślała wtedy, że chciałaby się położyć. Dochodziła północ, zwyczajnie była zmęczona. Bogna siedziała więc i pilnowała, by synowa nie usnęła. Hubert wrócił, wypił herbatę, zlekceważył kolację i po prostu położył się spać. A teściowa dopilnowała, by żona sprzątnęła po mężu. Dopiero wtedy weszła po schodach na górę, nie zaszczycając synowej nawet jednym spojrzeniem.

Dziewczyna usiadła przy stole, nikt na nią na górze nie czekał. Gdy weszła do sypialni, Hubert spał. Nie umył się, zdjął tylko spodnie. W przepoconej koszulce leżał na środku kanapy, lekko pochrapując. Popatrzyła na niego z czułością.

Teraz, nauczona doświadczeniem, nie śpieszyła się na górę. Bogna usiadła przy stole, patrząc na synową.

– Mamo, poczekam na Huberta.

Teściowa nie odpowiedziała.

– Na pewno – dodała Justyna po kilku minutach milczenia.

Bogna westchnęła.

– Pójdę na górę – powiedziała ostrożnie.

– Dobrze, mamo.

– Będzie czekała?

– Będę czekała.

– Bo mężczyzna nie może wrócić do domu, w którym nikt nie czeka.

– Tak, mamo.

Bogna wstała i ruszyła w stronę schodów. Dwukrotnie zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

– Mamo, poczekam – powtórzyła jeszcze Justyna. Bogna weszła po schodach.

Czekając na Huberta, wypolerowała szkło stojące w kredensie. Zdążyła także uporządkować szafkę obok lodówki, starając się niczego nie przestawić. Tam właśnie Bogna schowała zioła od Luby. Justyna czekała do drugiej.

Dopiero wtedy pojawił się Hubert. Starał się wejść cicho, zdejmując buty w przedsionku. Oparł się jednak o szafę, drzwiczki stuknęły o ścianę. Tylna prawa noga była krótsza, mebel się chwiało. Rzadko, tylko wtedy, gdy Hubert wracał do domu pijany.

– Kochanie, zjesz coś? – zapytała Justyna cicho.

– Zjem, nie zjem – powiedział, stojąc w drzwiach, rozglądając się wokół. – Mama gdzie? – Zabrzmiało to jak „dzie”. W tym stanie zwykle nie wypowiadał wszystkich głosek.

– Mama się położyła – odpowiedziała Justyna, wzdychając.

– To i dobrze – odpowiedział zadowolony. Usiadł na krześle. Justyna bez słowa postawiła przed nim talerz, na nim łyżkę jarzynowej sałatki i dwie kanapki.

– Kielbasa się grzeje – powiedziała.

Hubert się zaśmiał. Włożył widelec w sałatkę.

– Ohydna – powiedział.

– Mama się ucieszy – skomentowała.

– Właściwie całkiem niezła – odparł niezrażony.

– Kielbasę mama zamawiała – dodała.

– To co tak mało?

– Mam jeszcze dużo – odpowiedziała Justyna, uśmiechając się.

Hubert zjadł, nie komentując więcej.

– Idę na górę – powiedział, ziewając.

– Pójdę z tobą – odpowiedziała żona. – Tylko sprzątnę.

Hubert nie odpowiedział. Po prostu wszedł po schodach, nie oglądając się. Justyna sprzątała dłużej, niż było to konieczne. Zgasiła światła i siedziała chwilę w ciszy. Uniosła roletę od strony lasu. Panował mrok – wszędzie: w domu, na zewnątrz – a jednak miała wrażenie, że widzi gałęzie sosen zwisające nad chaszczami otaczającymi las. Niemożliwe – pomyślała i wzruszyła ramionami.

Weszła po schodach cicho niczym duch. Wokół było po prostu ciemno. Czasem zdarzało jej się widzieć jakąś poświatę, choć wokół nie było żadnej jasności. Jakby widziała rzeczy w ich prawdziwym świetle. Zdarzało się, że dostrzegała aurę kwiatów w ciemności. Była zielona, oczywiście. Zdarzyło jej się widzieć smugę wokół szafy albo nad schodami. Wszystko tylko w nocy, w zupełnej ciemności.

Teraz wchodziła po schodach boso, z szaroniebieskimi kapiami podbitymi futerkiem w rękę. Lekko dotknęła klamki.

W sypialni poraziło ją światło. Nie mieli małej lampki, wyłącznie centralny żyrandol. Hubert leżał na kanapie przykryty kołdrą do pasa. Justyna przełknęła ślinę.

– Jesteś wreszcie – powiedział cierpko.

– Jestem, kochanie.

– Się umyj. Dokładnie.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

W łazience spędziła tak dużo czasu, jak tylko mogła. Pysznic wzięła, kucając w wannie. Namydliła ciało kokosowym mydłem, rozprowadzając pianę po udach i ramionach. Wodziła palcem po piersiach, brzuchu, umyła włosy. Dwukrotnie przemyła twarz tonikiem. Starannie nasmarowała balsamem skórę. Założyła piżamę, poruszała się po cichu, niemal bezgłośnie. Drzwi od łazienki też otworzyła bezdźwięcznie.

Hubert nie spał.

– Zwlekasz – powiedział.

– Skądże! – zaprotestowała zbyt głośno.

– Cicho bądź! – powiedział szeptem, choć na tyle dobitnie, że Justyna usłyszała wykrzyknik. – Nie obudź mamy.

– Oczywiście – odpowiedziała ledwie słyszalnie. Skromnie. Chciała być bezbarwna. Najlepiej niewidoczna.

– No to chodź – powiedział z westchnieniem.

Uśmiechnęła się.

– Chyba nie w tej zbroi. – W głosie Huberta brzmiała kpina.

Uśmiechała się cały czas.

– Zdejmuj to – powiedział twardo.

Justyna się nie odezwała. Z przyklejonym uśmiechem zdjęła górę od piżamy. Wyciągnęła ramiona w górę szybkim ruchem pozbawionym kokieterii. Dla Huberta był to jednak gest uwodzenia.

– Kładź się – powiedział drapieżnie.

Ciągle się uśmiechała. Miała wrażenie, że Hubert wytrzeźwiał. Nie było to prawdą. Gdyby nie był pijany, nie gwałciłby żony tej nocy trzy razy. A tak sprawiło mu to nie lada przyjemność.

Za pierwszym razem Justyna udawała, że wszystko jest w porządku. Mruknęła lekko, kilkakrotnie, pocałowała męża tam, gdzie wypada, i tam, gdzie zwykle nie dochodzi słońce. Miała mdłości, cały ohydnie śmierdział wódką i papierosami. Potem westchnęła i obróciła się na prawy bok.

Hubert chrapnął. Justyna odetchnęła.

Spał dwadzieścia minut.

– Musisz być w ciąży – powiedział niespodziewanie, gdy Justyna już zasypiała. Otworzyła szeroko oczy, czując męża w sobie. Pożałowała, że nie założyła spodni od piżamy. Zanim zdążyła zaprotestować, Hubert nie tylko był gotowy – był już w akcji.

Powinna była wstać i się nasmarować – pomyślała. – Ale może jest wystarczająco pijany, by szybko skończyć.

Miała rację. Hubert tym razem był krótkodystansowcem. Ale tylko tym razem.

Gdy się przebudził po kolejnych kilkadziesiąt minutach, już nawet nie próbował nic mówić. Po prostu chwycił Justynę za pierś. Obudziła się gwałtownie. Otworzyła oczy, widziała przed sobą ścianę i przez chwilę nie rozumiała, co się dzieje. Dotarło do niej dopiero pieczenie między nogami.

– Hubert, kochanie, nie – powiedziała.

– Jesteś w ciąży? – wybełkotał.

Wywróciła oczami, choć Hubert nie mógł tego dostrzec.

– Potrzebujemy dziecka – powiedział, czkając.

– Potrzebujemy? – Próbowała unieść się na ramieniu.

– Koniecznie – odpowiedział. – A wesz... wiesz – poprawił się. – Bez seksu ciąży nie ma. Zwykle nie ma. Chyba że z kim innym. Masz seks z kimś innym? – zapytał niespodziewanie.

– Hubert – szepnęła z westchnieniem.

– Masz? – Upierał się.

– Skądże. Nie mam.

– Czyli musisz ze mną. I tak musisz, jestem twoim mężem. I w ogóle fajna jesteś, więc musimy – wysapał. – Wypinaj się.

– Hubert – powiedziała z westchnieniem. – Boli mnie.

– Nie świruj – odpowiedział. Czknął i Justyna zdała sobie sprawę, że jest pijany znacznie bardziej, niż jej się zdawało. – Będziemy się kochać do samego rana. Kochać – poprawił się. – Tak długo, aż będziemy mieli dzieci. Dziecko.

– Raz wystarczy – powiedziała delikatnie. – Tyle wystarczy – powtórzyła.

– Albo i nie – odpowiedział Hubert. – Znów chwycił Justynę za pierś, mocno, gwałtownie. Zabolalo. Syknęła, Hubert nie usłyszał. Justyna miała wrażenie, że doszedł jej uszu szmer za drzwiami, mogło to jednak być złudzenie.

– Kochanie, może jednak...

– Będzie tak, jak sobie życzę – powiedział. – Teraz będziemy się kochać.

– Skarbie, może jednak jutro? Kochaliśmy się już dwa razy.

– Będziemy teraz – odpowiedział Hubert z uporem i Justyna uświadomiła sobie, że jej mąż nic nie pamięta.

– Dobrze, kochanie – odpowiedziała ostrożnie. Bardzo chciała już się ułożyć na prawym boku, podłożyć ramię pod głowę i zasnąć. Z tego wszystkiego dostępne było wyłącznie położenie na prawym boku. Pozycja idealna dla napalonego faceta. Hubert skorzystał. Po prostu wszedł w żonę i przesuwał się długo. Przysypiał, ona się odsuwała, Hubert się budził i kontynuował.

Justyna nie protestowała. Przeciwno czemu? Przeciwno mężowi? Mąż ma prawo. Jeśli kobieta nie jest posłuszna, zasługuje na karę. Przecież to oczywiste.

Ona nie była winna. Dlatego nie dostała kary. Otrzymała nagrodę. Coś absolutnie wyjątkowego. Została obdarzona zainteresowaniem męża, nie każda żona miała takie szczęście. Z tak wyjątkowego i szczególnego popędu męża, skierowanego w stronę żony, należało się cieszyć.

Wiele dziewczyn może mi zazdrościć – myślała Justyna, kiedy Hubert nad nią stękał. Już kilkakrotnie zdawało jej się, że finał blisko. Tak bez wątpienia by było, za pierwszym razem. Trzeci raz ciągnął się długo. Hubert opadał z sił, przysypiał, budził się, znów pracował. Justynę piekł każdy jego ruch. Nie interesowało go to. Po prostu budził się, poruszał, przysypiał. Za każdym razem Justyna miała wrażenie, że zrzuci z siebie męża. Zaśnie, odwróci się i rano obudzimy się w nowym świecie – myślała.

Prawda była inna. Hubert budził się i kontynuował. Justynie o czwartej nad ranem przyszło do głowy, że potrzebuje pomocy. Do kogo miała po nią pójść? Do teściowej? Przysypiała pod mężem, razem z nim. Budziła się razem z nim.

Nad ranem wstała i uchyliła drzwi. Nie czekała długo, nawet nie musiała wołać. Puszysty kształt otarł jej się o nogi, wzięła Dropsa na ręce. Tuliła go nie tylko bez słowa, niemal bez oddechu. Drops znosił nachalną pieśczoć ze spokojem. Gdy jednak wypuściła go z objęć, wyskoczył jak w niemym filmie, bez dźwięku. Schował się pod łóżko.

Czy ja tylko przypuszczam? – wyszeptała. – Czy też skądś wiem? Gdybyś tu był, podrapałbyś mojego męża. Nie mogłam do tego dopuścić. Ty jesteś kotem, a on mężem. To nie ty masz rację.

Hubert obudził się o siódmej, z niesmakiem zsunął się z żony. Nawet mi się wyspać nie da – pomyślał.

## Rozdział 16

Justyna nie spała, gdy jej mąż wychodził. Nie chciała się z nim widzieć, choć wyobrażała sobie komentarz teściowej. Nie miała żalu do Huberta – wcale. Niby o co? Jest żoną, on mężem. Naturalna kolej rzeczy. Miała pretensje do siebie, że tak mało mu dawała. Się oddawała. Gdyby dostawał swoje regularnie, nie zabierałby się do rzeczy po pijaku i siłą.

Pogłaskała kota, umościł się koło niej, na poduszce Huberta. Spryciarz, wyczuwał, że pan go nie lubi. Kiedy Hubert był w sypialni, Drops chował się pod łóżkiem, w niewielkim kojcu. Justyna zszyla mu legowisko z kilku starych ubrań. Kiedy jednak Hubert wstawał, kociak natychmiast znajdował się obok Justyny. Niedawno zaczął mrużyć. Justyna uwielbiała ten drżący, wprawiający powietrze w wibrację odgłos. Dotykając wtedy Dropsa, miała wrażenie, że kot masuje jej rękę. Zeszła na dół uśmiechnięta. Co się będę z siniakami obnosić – myślała. – Uśmiechnę się, zrobię okład z mruczącego kota i będzie dobrze.

– W nocy nie wiadomo, co wyprawia, ludziom spać nie daje, a rano jak królowna. Ósma godzina, a ona w pieleszach, fiu, fiu. Dobrze takiej – mamrotała Bogna w kuchni.

Justyna nie zareagowała.

– Pomogę mamie – powiedziała, zakładając fartuch. Drops usiadł przed swoją miską w niemym proteście. Jakby mówił: pora śniadania, a tu nic nie ma!

– Śniadanie zje – odpowiedziała Bogna. – Siły musi mieć.

Justyna nie dyskutowała. Nałożyła karmę kotu, zjadła swoją jajecznicę, a potem sprzątnęła kuchnię. Teściowa ciężko usiadła na krześle, skrzywiła się i zacisnęła pięści.

– Mamo, a te ziółka od Pokrzydłowej pijesz?

– A piję, piję – powiedziała Bogna. – Ale nie pomagają.

– Może jeszcze za krótko. Może zaparzę mamie?

– Poda mi – odpowiedziała Bogna. – Tam stoją.

– Mama się może położyć.

– Leżeć to ja sobie będę w trumnie.

– Ale blada mama.

Bogna machnęła ręką.

– Tu posiedzę. – Wskazała fotel.

Justyna weszła na górę, kot poszedł za nią. Wzięła go na rękę, ułożyła na swoim łóżku. Zasnął zwinięty jak szary motek, na samym środku poduszki Justyny. Gdy zeszła na dół, Bogna spała w fotelu także skulona w kłębek, zupełnie jak Drops na górze. Obraziłaby się za porównanie z kotem – zreflektowała się Justyna. Nakryła teściową pledem i uznała, że najlepiej będzie wyjść z domu.

Pospaceruję – pomyślała. – Niech cała rodzina pośni. Choć dziwne, że do rodziny zaliczam kota i teściową, a braku męża nie odnotowałam...

Wzięła ze sobą tylko mały plecak, w nim telefon i butelkę wody. Tym razem poszła na północ, zostawiając po lewej sklep, kościół i remizę. Zatrzymała się, by wyciągnąć butelkę z wodą, gdy raptem zmieniła się pogoda.

Znowu? – pomyślała i odwróciła się, gdy usłyszała wyraźny głos: *Możesz mi pomóc?*

Mówiła młoda dziewczyna wprost do ucha Justyny, ale nikogo wokół nie było. Jak w poprzedniej wizji zerwał się wiatr, tak chłodny, że Justyna zatrzęsła się z zimna, ale jej włosy nie falowały. Rozejrzała się. Wciąż słyszała delikatny głos. *Pomóż mi* – powtarzał.

Wiatr jest w mojej głowie – uznała Justyna. Usłyszała teraz głośne szuranie. Jakby znajdowała się w domu, a na strychu, nad jej głową, ktoś urządzał przemeblowanie.

– To mam zrobić? – zapytała. – Mam przesunąć meble na strychu? Zrobić remont? Tak mam ci pomóc?

Usłyszała urywany oddech, jakby ona sama biegła zbyt szybko. Wdychała powietrze płytko i nierówno, przerażała ją słabość w nogach, drżenie mięśni. Strach? Wiatr przyniósł ze sobą ciemność, rozglądała się dookoła, dostrzegała jedynie niewyraźne cienie, rozmazane obrazy, czuła pośpiech, irytację i obojętność jednocześnie. Ktoś się śmiał. Ktoś krzyczał.

– Przestańcie – powiedziała Justyna niepewnie. Zrobiło się jeszcze ciemniej. I głośniejszy. Zakryła rękami uszy. – Przestańcie! – krzyknęła.

Wszystko ucichło. Wiatr, krzyki, hałasy. Gwałtownie zalało ją światło. Otworzyła oczy. Unosiła się w powietrzu, towarzyszył jej tylko blask. Ani wiatru, ani nikogo. Błogość.

Ocknęła się, gwałtownie łapiąc hausty powietrza. Siedziała na miedzy, na niewielkim zachwaszczonym pasie, wokół znowu śpiewały ptaki, nad ziemią były już wszystkie zboża. Rzepak kwitł żółtym łanem, zieleni wybuchła. Justyna spojrzała w niebo, nad nią unosił się bocian. Nagły szelest ją przestraszył, tuż obok przebiegł bażant. Wszędzie toczyło się życie. Zachłanne, buchające energią, pazerne na światło i powietrze, bezkompromisowo zawłaszczające ziemię. Intensywna krzątanina, w której Justyna nie przeszkadzała zwierzętom; po prostu jej nie zauważały.

Znów zasnąłam? Może nie powinnam chodzić po polach? – zastanowiła się.

Siedziała jeszcze chwilę. Gdy przymknęła powieki, znów usłyszała głos. Gdy otworzyła – cisza. Kilkakrotnie jeszcze zamykała i otwierała oczy, za każdym razem z tym samym skutkiem. Słyszała prośbę o pomoc, czasem krzyk mężczyzny, zwracał się do jakiejś Anny, miała wrócić. Raz wołał też inny mężczyzna, to był wrzask, zwierzęcy, pierwotny, przerażający. Odezwała się znów kobieta, płakała.

Justyna włożyła rękę do kieszeni. Pomimo zamkniętych oczu nie słyszała żadnych głosów. Wyjęła rękę, zamknęła oczy, wsłuchiwała się w ponownie brzmiały w jej głowie głos. Nie potrafiła rozróżnić słów, rozumiała jednak, że jest zaproszona. Tylko gdzie?

*Do lasu* – usłyszała raptem wyraźnie. Mówiła ta sama kobieta, która wcześniej płakała. *Chodź do lasu.*

Justyna się zastanowiła. Właściwie... To jest niewielki lasek. Nie zgubię się. A w razie czego i tak mam telefon. Zawróciła w stronę ściany zieleni. Pulsowała blaskiem, światło i cień tworzyły psychodeliczne wzory. Dotarła do lasu w miejscu, w którym w ogóle nie było chaszczki, choć z daleka wydawało się, że szczelnie otaczają wyspę drzew. Pierwszy raz tu weszła, w głowie cały czas słyszała mieszaninę głosów: *Nie idź do lasu. Chodź do lasu.*

Bo niby co? – pomyślała buntowniczo. – Las jak las. Rzadkie drzewa, jak to z daleka można się pomylić. Z okien domu zieleni wydawała się zwarta, gęsta, ścisła jak splot kuchennej ścierki. Skąd takie skojarzenie? – zastanowiła się. – Stąd, że kuchnia to ostatnio mój cały świat. Bogna gotuje, ale nie ma siły sprzątać, cała reszta na mojej głowie.

W lesie zapadła cisza, nie śpiewały ptaki. I panował cień. To naturalne – pomyślała Justyna. – Drzewa przesłaniają słońce.

– To oczywiście – powiedziała półgłosem.

Gdzieś na obrzeżach świadomości jednak uważała, że chmury musiały przysłonić słońce. Taka ciemność nie mogła wynikać tylko z cienia drzew. Szła prosto przed siebie, uchylając twarz od rzadkich gałęzi, pełnych grubych i długich igieł.

Bardzo przyjazny ten las – pomyślała. – Jakby mnie witał.

Odwróciła się. Za nią nie było widać już prześwitu, choć przeszła zaledwie kilkanaście kroków. Przed nią była ścieżka, dość szeroka, jakby drzewa odginały gałęzie.

Jestem jak królowa – pomyślała. Zaśmiała się. – Nawet drzewa mi się kłaniają.

– Królowa! – krzyknęła.

Las zaszumiał. Jedna z gałęzi uderzyła ją w twarz, delikatnie, ale poczuła nieprzyjemne mrowienie na policzku.

– Dobrze już, dobrze – mruknęła. – Nie będę krzyczeć.

Szła jeszcze kilka minut, w milczeniu, rozglądając się na boki. Poszycie lasu było gładkie, przykryte gęstym dywanem z suchych igieł. Nie było zeschniętych gałęzi, nie było nawet szczątkowych traw. Igiły i pnie drzew. Nie zdziwiła się, gdy między drzewami dostrzegła słońce, doszła do polany. Nie zastanawiając się, usiadła na jej środku. Wystawiła twarz do słońca. Sen zaatakował ją nagle, niewyraźny, szary. Znowu słyszała oddech. Zobaczyła przed sobą korytarz. Biegła nim, był dłuższy, niż sądziła. Dopiero później zdała sobie sprawę, że to jakby poklatkowa projekcja filmu. Korytarz nie był aż tak długi, ale przemierzała go sekunda po sekundzie, z uwagą wyostrzoną na każdy detal. Widziała dziurkę po gwoździu na obrazek – skąd wiedziała, że przedstawiał mglisty marynistyczny pejzaż? Miniaturowy statek tonął, otoczony przepychem zachodzącego słońca. Malunek spadł tydzień temu. Uszczerbek w ścianie. Tutaj uderzyło krzesło przed ostatnim cyklizowaniem podłogi, podczas wnoszenia mebli na górę, pół roku temu. Kawalek dalej będzie większa dziura, tę odłupała noga od stołu, tego samego dnia. Wtedy podłoga odzyskała jasny wygląd, znikły prawie wszystkie plamy, tylko ta jedna została, na nią nic nie pomogło. Trzeba było przesunąć chodnik, a docelowo utkać nowy, większy. Całą zimę kobiety przetykały paski kolorowych tkanin, zamieniając je w barwną makatę. Kawalek dalej plamy po naparze z liści rumianku. Jasnożółte, najpierw ledwie widoczne, z czasem ściemniały i wyglądały na ścianie jak dwa zbrązowiałe słońca. I podłoga. Nierówna. Justyna wyczuwała pod gołymi stopami każdą nieregularność.

Zdała sobie sprawę, że to żaden korytarz, zaledwie sień. Trzy kroki, przemierzone przez długie minuty, zdawały się ścieżką na inny kontynent. Szarpnięcie zatrzymało ją w drodze.

Justyna obudziła się gwałtownie. Słońce zaszło. Wokół było tak szaro jak w jej śnie. Dym, tutaj? – zaniepokoiła się. To by dopiero było zabawne. Spłonąć we własnym lesie, bo przecież ta ziemia należy do nas? – zastanowiła się.

Nie wiedziała, w którą stronę iść. Właściwie żadna różnica – uświadomiła sobie. – Las nie jest wielki, w którąkolwiek stronę pójdę, gdzieś wyjdę. A to nie dym, tylko mgła. Skąd mgła w słoneczny dzień?

Miała wrażenie, że las ją zaprasza, rozstępuje się przed nią, poszła tam, gdzie – jak jej się zdawało – czekała na nią ścieżka. Ile tu maślaków! – pomyślała zdziwiona. – Wcześniej nie było tu żadnych grzybów.

– Maślaki, w maju? – powiedziała półgłosem. – Dziwne. Ale ładne te grzyby, wyrosnięte.

Las cały czas zapraszał, kręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że droga płacze się, zatacza koła. Nie było już grzybów, drzewa wyglądały tak samo.

Chyba położę się, odpocznę – pomyślała.

Nagle las zgęstniał. Ścieżka zwęziła się.

Prowadź mnie – pomyślała Justyna. – Jak strzała.

Dostrzegła wokół siebie postacie. Niewyraźne, półprzeźroczyste. Ten sam mężczyzna, który szedł za Pokrzydłową po polnej drodze, przemawiając do córki. Ojciec Anny? Tym razem obejmował stąpającą ostrożnie drobnymi krokami niewysoką kobietę ściśniętą gorsetem, w zielonej sukni ozdobionej mnóstwem falban. *Chodzi o naszą córkę* – Justynie zdawało się, że słyszy męski głos. *Chroń naszą wnuczkę* – wtórowała mu kobieta.

Justyna przeszła jeszcze kilkanaście kroków, zanim w końcu dostrzegła prześwit. Wyszła na polną drogę. Słońce raziło ją w oczy, poczuła lzy pod powiekami, zamrugowała. Stała chwilę, przyzwyczajając się do jasności. Spojrzała na zwartą, lśniąca ścianę lasu. Justyna pokręciła głową. Odwróciła się.

Stała dwadzieścia metrów od białego pnia. Jedyne w tej okolicy. Pod zwisającymi gałęziami ukryta była jasna kolumna. Justyna wzięła głęboki oddech. Wreszcie jestem – pomyślała.

Nie spoglądała na zegarek, bo po co. Była trzynasta czterdzieści siedem.



## Rozdział 17

- Gdzie znowu łąziła? - Bogna nie tylko wstała, ale też doszła do formy.

- Na spacerze byłam - odpowiedziała miękko Justyna.

- Nie lata, gdzie nie proszą. Marchew pójdzie wypielić. Rzygać będzie? - W końcu Bogna spojrzała na Justynę.

Dziewczyna była blada, jakby ktoś wypompuwał z niej krew. Nie odpowiedziała, tylko pobiegła do łazienki.

- No i co z tego. Rzyga, włóczy się, a w środku pusto - rzuciła z westchnieniem matka Huberta. - Dziwne te młode dzisiaj, nawet zaciążyć porządnie nie potrafią, choć przecie syn się stara, aż wióry lecą, u mnie obrazki na ścianie chodzą. Niedorobione to pokolenie. A mówiłam, pannę od nas weź. Ze wsi, chociażby i taką Magdę. Albo i którą z sąsiedniej wsi, to nie, uparł się. Przywiózł takie coś z miasta i teraz nie wiadomo, będzie z niej żona czy nie?

Bogna długą chwilę mówiła do siebie, Justyna jednak słyszała. Drzwi od łazienki wymusnęły jej się z ręki, trzasnęły lekko. Teściowa przestała mamrotać.

- Już idę, mam - powiedziała, gdy zesłała na dół.

- I więcej tam nie chodzi! - rzuciła Bogna, nie odwracając się do niej.

Justyna zatrzymała się, spojrzała na teściową, ale nie odpowiedziała.

- No przecież widzę, gdzie się szlaja. Kogo jeszcze zawołać, żeby do rozumu przemówił? Wszyscy mówią, żeby nie chodziła, a poszła. A potem siedzi i rzyga jak kot, nie przymierzając.

Drops obudził się tuż przed powrotem Justyny do domu. Nie wychodził jednak ze swojego pudełka, nie spodziewał się niczego dobrego po Bognie, wołał się nie pokazywać. Wprawdzie krzywdy nie robiła, ale też do miski nigdy nic nie włożyła, na kolana nie wzięła i zwykle przeganiała. Co innego Justyna. Łasił się teraz do jej nóg. Schyliła się i podniosła zwierzaka.

- Mleka dam - powiedziała, głaszcząc pyszczek.

Poczuła zawroty głowy. Powinna się położyć - pomyślała. Ale zostawiła kota nad miską mleka i wyszła do ogrodu.

Marchew faktycznie wymagała wypielenia. Bogna nie była w stanie pracować tak, jak zwykła wcześniej. Robiła, co mogła, bóle brzucha jednak nasilały się, dopadały ją nagle i wtedy mogła jedynie leżeć i pojękiwać. Justyna miała wrażenie, że ataki pojawiały się coraz częściej, teściowa jednak nie chciała o tym rozmawiać, prosiła tylko o dodatkową porcję ziółek od Luby. Justyna parzyła je zgodnie z instrukcją i zanosila zwykle na kanapę, bo Bogna do sypialni nie chciała iść.

- Mówiłam, poleżę to w trumnie. Łóżko jest do spania, nie do wylegiwania.

Justyna pochyliła się nad grządką, znów zakręciło się jej w głowie. Usiadła.

Tylko nie to. - Przeszedł ją dreszcz na myśl o dziwnych zwidach. - Nie wyjdę za róg domu, nawet nie będę patrzeć w stronę lasu - powiedziała do siebie. - W pobliżu domu nic mi nie grozi. W razie czego dotknę ściany i wszystko minie. Dom jest bezpieczny.

Pracowała, klęcząc, wtedy zawroty głowy nie były dokuczliwe. Uporała się z marchwią, chwastów było sporo, ale niewielkie i łatwo wychodziły z regularnie spulchnianej ziemi. Justyna przeszła na drugą grządkę, opielila także rzodkiewkę i kalarepy. Na więcej nie starczyło jej sił.

Oparła się o ścianę domu i przymknęła oczy. Siedziała na ziemi, na brezentowej płachcie, bała się nie tyle wilka, co gadania teściowej. Uśmiechnęła się, gdy poczuła na kolanach miękkie łapy.

– Huncwocie, skąd się tu wzięłeś? – powiedziała cicho do Dropsa. – Miałeś być zwierzęciem domowym, siedzieć w domu, nie szwendać się po wsi. Bogna cię wygoniła, co?

Głaskała kota spokojnymi ruchami, zwierzak zwinął się w kłębek i usnął na jej kolanach, Justynie też opadła głowa.

W rzeczywistości Bogna wcale nie wypuściła futrzaka. Dopadł ją wyjątkowo dokuczliwy skurcz żołądka, zamierzała zawołać Justynę, otworzyła wejściowe drzwi. Zmieniła po chwili zdanie, bo ból szybko ustąpił, Drops wykorzystał chwilę jej nieuwagi. Bogna poszła się położyć, zupełnie nieświadoma, że kot zwił z domu.

Hubert zastał żonę śpiącą z kotem na kolanach. Wyglądali, jakby wygrzewali się w słońcu, co poniekąd było prawdą. Ładna jest – pomyślał. – Ciągle ładna. Dobrze wybrałem, a charakteru ją nauczę. Byłe dziecko było, reszta się ułoży.

Stuknięcie furtki obudziło Justynę. Uniosła głowę, Drops natychmiast czmychnął pod drzwi sieni.

– Zasnęłam – powiedziała zdziwiona. – Już wstaję. – Mrugała oczami i kręciła głową, żeby wrócić do rzeczywistości.

– Widzę – powiedział Hubert bez emocji. – Obiad jest?

– Jest, już podaję – odpowiedziała. Wbiegła do domu. Zanim Hubert przebrał się, umył ręce, na stole stały już talerze. – Nalewam, zaraz nalewam!

– Pośpiesz się, mecz zaraz – odpowiedział, siedząc przy stole.

Zjadł zupę w milczeniu, Justyna przyniosła drugie danie, posprzątała. Hubert usiadł przed telewizorem, postanowiła ugotować coś na najbliższe dni.

– Co mi się tam garami tłucze? – zawołał w pewnym momencie Hubert.

Justyna wyszła z kuchni.

– Mama taka chora, wyręcę ją. Ugotuję więcej, na kilka dni, na wszelki wypadek.

– Codziennie możesz świeże ugotować, siedzisz w domu, nic nie robisz.

– Mogę, oczywiście – przytaknęła. – Ale lepiej mieć coś zawsze przygotowane na czarną godzinę. Zupę chociaż.

Ugotowała dwie zupy, kilka porcji przelała do słoików. Sprzątnęła dokładnie kuchnię, wraz z umyciem podłogi, stało się to dla niej już odruchem, naturalnym jak oddychanie.

– Dla mamy zupę w lodówce schowałam – powiedziała, siadając koło męża. – Żeby zawsze miała coś ciepłego, tylko odgrzać.

– Musisz mi teraz przeszkadzać? – zapytał bez związku.

Justyna uśmiechnęła się blado. Hubert miał ciemnopomarańczową, lekko brudną aurę. Zdecydowanie nie musiała mu teraz przeszkadzać.

Weszła na strych. Powoli, bo chyba spanie na słońcu nie poprawiło jej samopoczucia. Wciąż trochę kręciło się jej w głowie. Drops zamiauczał, wzięła kociaka na ręce.

Na ostatnim stopniu zatrzymała się z uniesioną nogą. Poczuli w głowie ukłucie, silne aż do zamroczenia. Miała wrażenie, że się dusi. Justyna otrząsnęła się, wrażenie minęło. Trwało to może kilka sekund. Zwierzak zamiauczał.

– Cicho bądź, bo Bognę obudzisz – powiedziała Justyna. Weszła na piętro, wpuściła kota do swojej sypialni. Wskoczył na łóżko, usiadł w oczekiwaniu, że pani wejdzie razem z nim. Gdy Justyna zamknęła drzwi, kociak po prostu ułożył się na jej poduszce.

Kierowała się na strych. Weszła tu pierwszy raz od czasu wywozu starych sprzętów. Justyna nie miała problemu ze znalezieniem firmy, która się tym zajmowała. Wszystko było świetnie, aż do momentu podania adresu.

– Pani, toż to koniec świata – usłyszała.

Długo przekonywała, że da się dojechać, że asfalt prawie pod sam dom...

- Prawie? Po błocie chcesz nas pani ciągać? Ciężkim wozem?
- Od dawna nie padało, jest sucho, my dojeżdżamy do domu bez wysiłku.
- Oby było warto - powiedział na koniec mężczyzna.

Justyna przekonywała go długo, w końcu wymieniła listę sprzętów do zabrania. Dopiero to poskutkowało. Da się na tym zarobić, na skupie wezmą z pocałowaniem - myślał mężczyzna.

Samochód przyjechał pewnego słonecznego przedpołudnia, Hubert poprosił kilku kolegów strażaków o pomoc. Zapełnili całą przyczepę.

- Pani, a to do muzeum chyba? - wykrzykiwali co chwilę przyjezdni.

- Pan zabiera - odpowiadała cicho Justyna. Obawiała się, że Bogna zmieni w ostatniej chwili zdanie, że cały ten majdan trzeba będzie znów zaność na górę, a z przestronnego uporządkowanego strychu, jaki oczami wyobraźni widziała Justyna, pozostanie graciarnia.

Nic takiego jednak się nie stało. Bogna patrzyła przez okno, zadowolona z obrotu spraw. Nie wchodziła na strych, nawet gdy coś było do odłożenia - kolejne zepsute żelazko czy robot kuchenny z ułamanym mieśzadłem - wysyłała Huberta. Nie chciała patrzeć na panujący na górze bałagan. Wiedziała to doskonale - widok nieporządku zmusiłby ją do sprzątania. Po prostu nie mogłaby przejść obojętnie.

Po wyjeździe ekipy Justyna podała Hubertowi i jego kolegom obiad. Nie byle co. Musiał być schabowy z tłuczonymi ziemniakami, przecież chłopcy po robocie chcą się posilić, byle kapusty z grochem nie będą jeść. Tak zdecydowała Bogna, tak zrobiła Justyna.

Gdy poszli, Bogna nawet nie musiała nic mówić. Justyna zabrała się za sprzątanie. Kuchnia to był drobiazg. Łazienka, schody, balustrada schodów, każdy kąt, w którym się znaleźli - wszystko Justyna wypucowała. Ten strych to kosztowny kaprys - pomyślała wtedy wieczorem. Bolało ją właściwie wszystko. Drops ułożył się na niej i wygrzewał swoim ciałem. Głaszcząc go, zasnęła.

Następnego dnia weszła na strych i z zadowoleniem patrzyła na pustą przestrzeń. Nisko stojące słońce oświetlało pomieszczenie ciepłym światłem, drobiny kurzu leniwie unosiły się w powietrzu. Mogłabym tu potańcówki urządzać - pomyślała Justyna. Akcesoria do sprzątania zostawiła w kącie, musiała jednak przynieść świeżą wodę. Zeszła i wróciła najciszej, jak potrafiła, jak duch, nawet Drops się nie obudził.

Starła na mokro całą podłogę, po raz dwudziesty może, od kiedy pierwszy raz tu weszła. Kurz wciąż wylaził, jakby dokopywała się do jego ukrytych warstw. Pewnie tak właśnie było. Dopiero teraz dostrzegła, że na tapecie, której resztki trzymały się ściany wokół jednego z okien, widać było wzór w niebieskie kwiatki. Listki, kiedyś pewnie zielone, wypływały. Dziewczęco - pomyślała Justyna. - I niebiesko, jak lubię.

Odstawiła mop z wodą czarną jak dno głębokiej studni i przeszła jeszcze raz po pomieszczeniu. W końcu usiadła przed wielkim kufrem, którego wieko już kilkakrotnie uchylała, nie miała jednak czasu zbadać dokładnie zawartości. Pozostałe już dokładnie obejrzała - nie było w nich nic szczególnego. Sporo pościeli, trochę przeżartej przez mole włóczki. Zapasy chyba jeszcze z czasów komuny, w kolorach burych, głównie szarym i zgniłozielonym. Znalazła też zapakowany w gazety serwis w niebieski wzór. Dzienniki miały daty z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego i bardzo brudziły ręce. Ten ostatni kufer, z najpiękniejszymi okuciami, wyglądał na najstarszy.

- Jak wejście do mojej prywatnej Narnii - szepnęła z uśmiechem. - Nie przez szafę, a do kufra. Też romantycznie.

Po uchyleniu wieka dostrzegła jednolitą zieloną powierzchnię. Znowu omamy? - zaniepokoiła się.

Nie tym razem jednak. Po prostu zawartość od góry była szczelnie owinięta zieloną folią. Justyna przetarła ją wilgotną ścierką, a potem ostrożnie zdjęła. Wewnątrz każdy z pakunków był starannie zawinięty. W folię, w papier, różnie. Znalazła tam haftowaną płócienną bluzkę z wielką falbaną na piersiach. Balowe rękawiczki z satyny, w kolorze kremowym, może niegdyś białym, trudno było się zorientować. Pasujące do nich pantofelki na kieliszkowym obcasie. Kilka kompletów pościeli, idealnie równo złożonych, sztyw-

nych od krochmalu płatów materii ozdobionej klockową koronką. Dziecięce ubranka, zdobne w misterne koronki, białe, zapewne od chrztu.

Justyna wyciągała kolejne paczki, delikatnie rozpakowywała, układała na wywiniętej folii, by się nie pobrudziły. Uśmiechała się. To jak podróż w głąb czasu – pomyślała.

Gdy dotarła do dna, oparła się zmęczona o kufer. Słońce już zachodziło, jednak zdołała przekonać Huberta, by zamontował jej dodatkowe światło. Na strychu już nie musiało być ciemno. Wstała, zapaliła światło i pochyliła się, by zamknąć kufer.

Dopiero wtedy dostrzegła, że przy bocznej ścianie w szczelinę została wciśnięta kartka. A właściwie teczka związana tasiemką. Poszarzała, kolorem zlewała się ze ścianami kufra. Niezbyt pękata, raczej wręcz chuda. Pewnie nic ciekawego tam nie ma – pomyślała Justyna. Ale sięgnęła po znalezisko.

W teczce jednak coś było.

## Rozdział 18

Noce były coraz trudniejsze. Niebieskość Huberta ledwo prześwitywała, dominował pomarańczowy, bardziej czerwony. Pasja. Miłość. Wspaniałe sprawy. Gdyby tylko pasy brudnego brązu nie przetykały jasnych kolorów.

W Hubercie narastała wściekłość. Justyna miała być w ciąży, i już. Jak najszybciej. Chodziła zatem nie tyle niewyspana, bo mąż był krótkodystansowy, co wciąż poobcierana.

– Musisz się w końcu dać zapłodnić! – charczał czasami tuż przed wytryskiem.

Justyna nie odpowiadała wtedy, rozkładała szerzej nogi i uśmiechała się zachęcająco. Hubertowi było to obojętne.

– Matka czeka na wnuka – powiedział kiedyś usprawiedliwiająco, zamykając temat.

Bogna oczywiście spoglądała na nią coraz surowiej, z dnia na dzień mówiły do siebie mniej.

Drops przytulał się do Justyny coraz nachalniej, czasem wręcz kładł się na jej ramieniu, wtulał się, zaczepiając pazurami o sweter. Niedługo mi posłużą te ciuchy – myślała Justyna, nie strącała jednak kota. Miała nieodparte wrażenie, że to jedyna przyjazna jej istota w domu.

Oczywiście, pozostawała Magda, z którą rozmawiała niemal na każdy temat. Kiedyś nawet wspomniała delikatnie o wyczynach Huberta, Magda zareagowała podziwem.

– I tak codziennie? Ty to szczęściara jesteś – powiedziała z nieskrywaną zazdrością.

Justyna wybrała się znów do Przemyśla. Listę spraw do załatwienia ponownie zapisała na niewielkiej kartce. Sprawunki były niewielkie, choć ważne. Koniecznie trzeba było dokupić ręczników. Zapasy Bogny pochodziły z lat dziewięćdziesiątych. Były wypłowiałe, kolor jednak nie stanowił problemu. Justynę raziły poprzecierane, niemal przezroczyste fragmenty, ale przede wszystkim ręczników było za mało. Bogna często polegiwała w łóżku, pociła się. Ręczniki zmieniała codziennie, Justyna nie nadażała z praniem.

– To zioła od Pokrzydłowej – mówiła czasem Bogna. – Pomóc pomogą, ale śmierdzą jak obornik.

Synowa otrzymała od teściowej szczegółowe wytyczne. Ręczniki jednokolorowe. Najtańsze. Najlepiej na wagę. Bez haftów, bo to podraża. Kolor obojętny. Tylko średnie i duże, małe się nie opłacają. Ruszyła do jednego marketu – nie znalazła tego, czego potrzebowała. Przejdę się dalej – pomyślała.

To był następny kwadrans spacerem, a już po poprzednich poszukiwaniach czuła się zmęczona. W kolejnym sklepie znalazła ładne zestawy ręczników, niestety, nie na wagę, i co gorsza, haftowane. Do tego pakowane w ozdobne kartoniki. Nie ma mowy, nie szukam dalej – pomyślała. Wzięła cztery paczki, zrobiła także pozostałe zakupy. Nic wielkiego, przecież u Magdy można było dostać niemal wszystko. Nieco drożej, ale przynajmniej nie trzeba taszczyć pełnych siat przez całą wieś. Kupiła tylko to, czego Magda zwykle nie miała, albo to, o czym domownicy nie mieli wiedzieć. Przede wszystkim szukała puszek kajmaku, od kilku dni miała niebывałą ochotę na coś słodkiego.

Przełożę kajmakiem wafle, zrobię krem kokosowy – myślała. Wyobrażała już sobie słodycz na języku, aż westchnęła z rozkoszy. Kajmaku jednak nie było. Kupiła kilka przypraw, grecką oliwę z pierwszego tłoczenia, dwa kawałki pleśniowego sera. Tylko ona w ich domu jadła takie „dziwactwa”. Bogna stwierdziła, że spleśniałego jeść nie będzie, a Hubert na widok rokpoła wzruszył ramionami.

Przed sklepem Justyna wypakowała ręczniki z ozdobnych kartonów, zwinęła w kłębek i wepchnęła do plecaka wraz z innymi zakupami.

Najważniejsza dla niej była apteka. Wprawdzie w busie dziewczyna nie spotkała ani jednej wścibskiej sąsiadki, wolała się jednak upewnić, czy żadna się nie przyplątała. Rozglądała się więc uważnie. Kupiła

w aptece między innymi dwie tubki żelu nawilżającego. Pokładała w tym specyfiku wielkie nadzieje. Na liście zakupów były też pokrywki do słoików i kilka innych drobiazgów. Justyna uporała się z nimi w kilkanaście minut. Dzisiaj na pewno pójdę do muzeum – pomyślała.

Była jednak zmęczona. Przeszła na rynek i usiadła na osłoniętym grubą folią tarasie kawiarni Cuda Wianki. Lubiła to miejsce. Podłużny rynek, wznoszący się w stronę zamku i archikatedry, zwykle witał ją słońcem. Zawsze przechodziła obok niedźwiadka w fontannie, zatrzymując się na chwilę. Przymykała wtedy oczy, wsłuchując się w szum wody. Lubiła też delikatnie musnąć dłonią przysypiającego na skrzyni z amunicją dobrego wojaka Szwejka. Nie była w tym odosobniona. Według legendy każdy, kto pogłaskał figurę po nosie, miał być szczęśliwy. Szwejk głaskany po fajce – miał dawać kobietom radość. Były też opcje awansu (pagony) i mądrości (czapka). Właściwie nie wiadomo, dlaczego dotyk wielu rąk nablyszczyl też kolana Szwejka, a może wcale nie rąk? Może po prostu na tych kolanach siadano? Inne rozwiązania nie były dla Justyny interesujące. Pogłaskanie kufla miało być wróżbą dla piewoszy – nigdy nie będziesz spragniony. Po butach – nie wyrzucą cię z pracy. Pociągnięcie za uszy – zostaniesz uznany za szpiega. Inni spacerowicze też widocznie nie byli zainteresowani przygodami à la Bond, bo pozostałe części rzeźby nie były wyświecone.

Nie pójdę do muzeum fajek, nie mam siły – pomyślała dziewczyna, dopijając owocową herbatę. – Jest w wieży, nie mam sił na chodzenie po schodach. Może zejść do podziemi?

Ta wycieczka sprawiła jej przyjemność, choć do oglądania nie było wiele. Spacerkiem obeszła rynek raz jeszcze, oglądając odrestaurowane kamienice. Przeszła obok Muzeum Dzwonów i Fajek, zatrzymując się przy kolejnej fontannie. Przywiozłabym coś mamie – pomyślała o Bognie. – Coraz gorzej się czuje, do lekarza iść nie chce. Czytać nie lubi, książka odpada. Może gazetę chociaż? Jakiś kolorowy magazyn.

W delikatesach naprzeciwko kupiła tygodnik i dwa batoniki. Dla Bogny i dla siebie. Po zastanowieniu wróciła i włożyła do koszyka trzeci, dla Huberta.

Doszła na dworzec wyczerpana. Wbrew sobie ucieszyła się, widząc panią Janinę. Kobieta przyszła chwilę po niej, usiadła obok Justyny z cichym stęknieniem i opuściła głowę.

– Dzień dobry – powiedziała Justyna.

– A co mi tu ludzi tak straszyć! – Kobieta chwyciła się za serce. – A dzień dobry, dobry. Do domu wraca?

– Zakupy dla mamy zrobiłam, to wracam.

– A cóż tam nakupiła? – Kobieta patrzyła podejrzliwie. – U lekarza była?

– Nie, pani Janino – odpowiedziała Justyna uprzejmie. – Ale mama potrzebowała nowych ręczników. Stare już się zużyły.

– A jak się czuje Bodzia? – Tak czasem nazywano Bognę i teściowa nawet lubiła to zdrobnienie.

– Słabo, ale zioła pije regularnie. Pilnuję tego.

– Od naszej zielarki? – upewniła się pani Janina.

Justyna kiwnęła głową.

– To dobrze. Mojemu mężowi też pomogły.

– Wyzdrowiał, prawda? – Justyna wcześniej zapomniała o to zapytać.

– Już zupełnie. Doktory mówią, że cud nieomal. Ja to wiem dlaczego. Do najświętszej panienki się modliłam, na kolanach od progu kościoła trzy razy przeszłam, to i wyzdrowiał.

– I zioła na pewno pomogły – dodała Justyna. – Wiem, że Pokrzydłowa specjalną mieszankę robiła, a nawet i część spaliła, w dymie śpiewając odpowiednie zaklęcia. Modlitwy, znaczy się.

– Pomogły, ale ja tam o tych niby-czarach to nic wiedzieć nie chcę. A jajek nie dałam.

– I słusznie. Tam coś z nimi nie tak było...

– Nie tak? – oburzyła się kobieta. – Pomór! Zaraza! Wszystkie utlukli! Skąd tyś o tym wiedziała, co?

Justyna rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia. Byłam tam wcześniej i te kury... one były zupełnie cicho, wie pani? Jakby ich już nie było. Miastowa jestem, na kurach się nie znam, ale przecież gdakać powinny, prawda?

– Prawda, prawda – odpowiedziała pani Janina nieprzekonana, po czym bez słowa wstała i zebrała swoje bagaże. Na dworzec wjeżdżał busik, Justyna wiedziała, że kierowca najpierw zaparkuje pod płotem, wejdzie do niewielkiego baru, zamówi jedzenie, potem spędzi w pojeździe jeszcze trochę czasu, odjazd zgodnie z rozkładem zaplanowano dopiero za dwadzieścia pięć minut. Pani Janina jednak twardo pilnowała krawężnika. Justyna westchnęła.

– Potrzymam pani. – Wyjęła kobiecie torbę z ręki i odstawiła na ławkę. – Możemy jeszcze posiedzieć chwilę.

– Ja tam wolę postać, żeby się nie spóźnić.

Wróciły do rozmowy dopiero w busie. Mówiła głównie pani Janina. Monotonnym głosem, trochę piskliwym, ale Justyna była tak zmęczona, że jej to nie przeszkadzało. Głos zlał się z szumem silnika, nie spała, ale patrzyła za szybę, potakując bez słuchania.

– Wyrobiła się – powiedziała pani Janina, gdy wysiadły.

Justyna spojrzała na nią w zdumieniu.

– Wreszcie nie przerywa, jak starszy mówi. Wychowanie Bogny, dobrą ona ma rękę do ludzi, oj dobrą.

Justyna z zaskoczenia została w tyle. Potem dogoniła sąsiadkę, wzięła od niej cięższą siatkę i odprowadziła do domu.

– U mnie kury gdaczą – powiedziała już przy bramie pani Janina. – I moje jajka najlepsze. Przyjdzie jutro, to przygotuję trochę. Bogna musi dobrze jeść.

Justyna wróciła do domu, nakarmiła kota, Bogna spała. Czekaając na wieczór, dziewczyna pomyślała: A może jednak? Może jednak dzisiaj zawyje?

Z utęsknieniem czekała na sygnał strażackiej syreny. W ich pokoju słyhać ją było znakomicie, jakby ktoś włączał sygnał tuż obok ich domu. Dźwięk niósł się przez pola bez żadnych barier, uderzał w szyby jak tsunami. Justyna codziennie wieczorem liczyła na to, że ta fala ich dopadnie. Wtedy głaskała wytatuowany tors męża, delikatnie, z czułością, zanim ruszył na akcję, która dla niej oznaczała spokój.

Choć ich wieś była raczej senna, wezwań było sporo. Dzięki obrotnemu prezesowi, który potrafił troszczyć się o pieniądze, raz nawet załatwił je z Unii, jednostkę udało się bardzo dobrze wyposażać. Przede wszystkim zaś obsadzona została młodymi, sprawnymi strażakami. Dlatego zwykle wzywano ich nie tylko do likwidowania gniazd szerszeni i nie tylko do pożarów. Tych ostatnich zresztą było niewiele. Przede wszystkim jeździli do samochodowych wypadków, takich jak ten kilka tygodni temu.

Tego dnia też miała nadzieję na syrenę. Niestety. Po aktywności Huberta zasnęła zatem późno, z kotem na brzuchu – grzał ją tam, gdzie bolało najbardziej.

Późno zasnęła, a potem nie pospała. Około czwartej obudziło ją jęczenie Huberta. Zdumiała się, że nie ocknęła się wcześniej. Obok kanapy, po stronie Huberta, stała miska pełna wymiocin.

Nie słyszałam ani jak wstał po misce, ani gdy wymiotował. Co ze mnie za żona? – pomyślała i wbrew sobie się uśmiechnęła. Justyna się podniosła i podeszła do męża.

– Coś zjadłeś? Gdzie byłeś? Jadłeś coś poza domem?

Zlany potem Hubert nie otworzył oczu, pokręcił tylko głową.

– Jedynie bułkę...

– Z czym? Co było na bułce?

– Nic. Sucha. Kupiłem w sklepie. Poza tym... tylko zupę. Z lodówki...

– Zupę? – Justyna pokręciła głową. – Przyniosę ci coś ciepłego do picia. Może smectę. Zobaczą, co mamy.

Zeszła na dół i wstawiła wodę. Zerknęła do spiżarni na półkę z pustymi słoikami. Znalazła ten, z którego jadł dzisiaj Hubert. Umyła go jeszcze raz. Zdjęła własnoręcznie przyklejoną etykietę.

Odstawiła słoik nieco z boku z zamiarem wyrzucenia go w najbliższym możliwym momencie.

Hubert zażył lekarstwa. Zasnął, a ona sprzątnęła wymiociny. Zajrzała do Bogny, teściowa się nie obudziła. Drops chodził za Justyną krok w krok.

Mąż spał długo i źle się czuł przez cały dzień. Dopiero wieczorem wstał z łóżka i zszedł do kuchni. Wciąż blady, ale już głodny.

– Suchary, tylko suchary – zarządziła Bogna. – Jedyne, co nie zaszkodzi w tym domu. Poda mężowi jedzenie.

Justyna westchnęła i nałożyła na talerz kilka sucharów.

– I niech wreszcie zaciąży! – zakomenderowała teściowa.



## Rozdział 19

- Lepiej ci już?

- A było źle? - Justyna wyraziła zdziwienie.

- Błada jesteś ostatnio. Choć słońce daje czadu.

- Lipiec w końcu.

- No to lepiej? - Magda nie ustępowała.

Dziewczyny spotykały się coraz częściej. Magda sprowadzała specjalnie na zamówienie Justyny żwirek dla Dropsa i karmę, o której Bogna oczywiście nie mogła się dowiedzieć. Gdy kocie specjały pojawiły się w ofercie sklepu, okazało się, że chętnych na nie jest więcej. Choć większość lokalnych kotów to były dzieki dachowce, znalazło się jednak też kilka domowych przytulaneek, niewypuszczanych poza próg domu. A w sklepie pojawił się także kajmak i inne produkty. Magda mówiła z uznaniem, że Justyna pomaga jej rozwijać biznes. Przyjaciółka odpowiadała najczęściej, że zna tę robotę, bo przecież też pracowała jako sklepowa - i obie się uśmiechały.

- Mówią, że... - zaczęła Magda.

- Teściowa czeka na ciążę - przerwała jej Justyna.

- Cała wieś czeka! - prychnęła Magda. - Właśnie dlatego dopytuję.

- Bo wszyscy czekają?

- Nie. - Ekspedientka wywróciła oczami. - Bo wtedy będziesz rzadziej przychodzić.

- I właściwie, dlaczego cała wieś?

- Przecież ci mówiłam. Sama zresztą widzisz. Stąd ludzie wyjeżdżają, dzieci rodzą się gdzie indziej. Raczej dalej niż bliżej. Populacja się zmniejsza. - Magda się zaśmiała.

- To ty też jesteś na celowniku.

- Pewnie. Mnie na razie naciskają na ślub.

- Do tego ślub nie jest potrzebny - skwitowała Justyna ze śmiechem.

- Jasne, ale powiedz to mojej matce.

- Ani myślę. I tak chyba nie jestem szczególnie popularna.

- Chyba żartujesz! Od czasu jak tego cielaka wyciągnęłaś, stałaś się lokalną celebrytką. Mówiłam ci.

- Bogna mówi coś innego.

- Co niby gada? Ta to ma jęzor.

- Chyba nie ona. Powiedziałam pani Janinie, że jej mąż wyzdrowieje i żeby nie dawała mu jajek od sołtysa. Leżał wtedy w szpitalu. A potem ten pomór... Wkrótce potem przecież wszystkie kury u sołtysa padły.

- No ale mąż Janinki wyzdrowiał - odparła Magda.

- A Janinka opowiada, że jestem widząca.

- Czarownica, znaczy.

- No właśnie - rzuciła z westchnieniem Justyna. - Swoją drogą nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

- Bo tak się zwykle mówi. Że wszystko będzie dobrze.

- Nie to! To o tych jajkach! Miewam czasami takie przebliski. Jak z tą łapą kota... A to wszystko dla Bogny woda na młyn. Mniejsza o większość zresztą. Jestem dziwna i do tego wciąż nie w ciąży. Fatalna synowa. A naciski, jak wiesz, nie pomagają.

- Oj, wiem. Szczególnie jak się nie ma na coś ochoty.

– Ale ja mam ochotę! – odpowiedziała Justyna i od razu spowaźniała. – Czy ty...

Magda przygryzła wargę.

– No właśnie. Ja.

– No to kłopot.

– Prawda?

Dziewczyny zamilkły. Bardzo odpowiednio w tym momencie weszła do sklepu jedna z sąsiadek. Z zaciekawieniem obejrzała Justynę, kupiła kilka produktów, a następnie rzuciła pytanie:

– Bogna to pomocy nie potrzebuje?

– Potrzebuje – odpowiedziała grzecznie Justyna. – Robię wszystko, czego wymaga.

– Chyba nie – stwierdziła kobieta. – Tutaj siedzisz, nie w domu, więc nie pomagasz.

– Teraz nie muszę. – Justyna starała się nie okazać irytacji. – Mama śpi, jak codziennie o tej porze, lepiej wyjść z domu i jej nie przeszkadzać.

Kobieta prychnęła i wyszła. Magda z trudem hamowała śmiech.

– Źeś jej przygadała.

– Źem. Ale to przecież do Bogny dotrze. Będę miała za swoje. A co z tobą?

– Nic tam. – Magda machnęła ręką. – Po prostu do nikogo serce mi nie pyka. Wszystko ładnie, miło, nawet i przyjemnie, ale nic więcej. Nikogo tu dla mnie nie ma.

– Może musisz poszukać dalej.

– Może i tak – odpowiedziała Magda nieuważnie.

Przyjechała furgonetka z hurtowni z zamówionym towarem.

– Pójdę już – powiedziała Justyna.

– Coś ty, zostań, to tylko chwila. Herbaty zrobię i posiedź jeszcze. Uwinę się szybko i potem znowu będzie mi samej smutno. Jeśli możesz oczywiście – zastrzegła.

– Mogę. Bogna naprawdę śpi. Zresztą, coraz więcej. Chyba jej te zioła od Pokrzydłowej nie pomagają aż tak bardzo, a do lekarza wciąż iść nie chce.

Magda zajęła się dostawą. Faktycznie uwinęła się w kilkanaście minut.

– Wiesz, byłam kiedyś przy kapliczce – powiedziała Justyna.

– Mówiłam, żebyś tam nie łąziła. Gdzie cię nosi?

– Dziwne rzeczy tam się działy.

– Mówiłam ci! – powtórzyła Magda, wywracając oczami. – Tam się zawsze dzieją dziwne rzeczy. Straszne nawet.

– Zawsze tak gadasz. Wszyscy tak gędzą, a o konkretach nikt i nic.

– O tym lepiej nie mówić.

– Mowa-trawa.

Magda westchnęła.

– Mówią, że w tym lesie straszny. Słyszą głosy. Podobno zaczęło się jeszcze przed wojną albo zaraz po, kto to wie dokładnie. Wtedy ludzie wozami konnymi jeździli, raz koń poniósł, ale tak, że ciągnął wóz za sobą przez las. Jechał na nim woźnica, podobno nawet nie pijany, ale kto go tam wie. Alkomatów nie było.

– No i co takiego? Zdarza się. – Justyna wzruszyła ramionami.

– Ale raczej nie zdarza się, żeby koń, gdy już w końcu dyszel się odcepił, wóz został za nim, żeby taki koń wrócił i biegał po właścicielu, masakrując mu twarz i łamiąc wszystkie kości.

– Wszystkie?

– Nie czepiaj się. W końcu to legenda.

– Jak mu biegał po twarzy, to raczej chłopca nie rozpoznali, nie?

– Justyna – odezwała się z westchnieniem Magda. – Wierz albo i nie wierz. Ludzie gadają tak od lat, ja nie sprawdzałam. No i podobno jak go chowali, to zerwał się straszny wiatr i lunął deszcz, tak przerażający, że wszyscy pouciekali, zostawili na cmentarzu trumnę już przygotowaną do pochówku. Jakby niebo się otworzyło. A kiedy przestało padać, to miała być podobno kwestia kilkunastu minut, wszyscy wrócili, ale trumna była pusta.

– Bajanie.

– Na pewno. To kolejny przypadek. Podobno zaraz po wojnie przechodził tamtędy chłopak, młody, może ze dwadzieścia lat, może młodszy. Wracał z karczmy, na pewno był wstawiony, bo jak inaczej. Środek lata, a jego znaleźli rano pod kapliczką zamrożonego.

– Lokalny przymrozek?

– Może. Potem w latach sześćdziesiątych znowu się zaczęło. Jednego zabrali do Tworek. Mówił, że mu się jasna postać ukazała na skraju lasu i kapliczkę kazał stawiać. A tam już przecież kapliczka jedna stała. Poza tym czasy były inne, objawienia nie były poprawne. Chłopa zabrali, a jego rodzina w tajemnicy kapliczkę pobieliała, Matce Boskiej pozłociła płaszczyk. Nic to jednak nie zmieniło. Każdy, kto tam idzie, miewa kłopoty. Więc po prostu tam nie chodź i już.

– Ale mówiłaś o samych facetach, prawda?

Magda się zastanowiła.

– A wiesz, coś w tym jest. Nie słyszałam, żeby jakąkolwiek babę tam zle przeczłogało.

– Złe – prychnęła Justyna. – Co ty wygadujesz!

– Może i wygaduję. Ale jak ksiądz raz na trzy miesiące nabożeństwo odprawi, to nic się złego nie dzieje. Chociaż sam mówi, że mu nawet kropidło w ręce dziwnie drży, jak je unosi do pokropienia wodą święconą. A! I tam ciągle zmienia się pogoda. Jak u nas we wsi słońce – to tam burza. Jak u nas deszcz – tam praży. I tak w kółko – coś się dzieje dziwnego wokół kapliczki. Po prostu tam nie chodź, co sobie będziesz szkodzić. Jeszcze jak cię Janinka widzącą ochrzciła, to już w ogóle tamto miejsce do niczego ci niepotrzebne. Nie psuj sobie reputacji. Na wsi to ważne, żeby dobrze ludzie o tobie gadali.

– Toś mnie teraz pouczyła – skwitowała z westchnieniem Justyna.

– No – odpowiedziała Magda z powagą.

Justyna patrzyła na przyjaciółkę ze zdumieniem. Magda, zwykle otoczona zieloną aurą w czystym, trawiastym odcieniu, teraz stała w coraz ciemniejszej plamie brązu. Wciąż towarzyszący jej zielony przesuwał się na zewnątrz, tworząc tylko wąski pasek wokół całej postaci.

– Boisz się – stwierdziła Justyna.

– Co?

– Nic, ja tak tylko. – Justyna wycofała się poniewczasie.

– Masz rację. Boję się tego miejsca. Ten... – Justyna czekała. Magda po chwili podjęła wątek: – Ten, co zginął pod kopytami własnego konia, to był jakiś mój wuj. Stryj dziadka albo jakoś tak. Wiesz, to było dawno, brat dziadka albo pradziadka to też chyba stryj, nie? Ale grób jest do dziś, matka nie pozwoliła go zlikwidować, choć ksiądz już kilka razy podchody robił. Opłaciła na jeszcze sto lat. Chodzimy tam regularnie, do pustego grobu. I na samą myśl o kapliczce ciarki mnie przechodzą.

– A ja tam byłam – odpowiedziała Justyna. – I wróciłam, szczęśliwie, cała i zdrowa.

– Ale też opowiadasz, że tam dziwnie.

– Dziwnie, tak. Ale magicznie. Ta brzoza jest piękna! Zachwycająca. Wiesz, że brzozy dają dobrą energię? Lubię się do nich przytulać. Obejmować pień, czuć szorstką korę pod policzkiem.

– I do tej też się przytulałaś?

– A wiesz, że nie?

– No właśnie.

– Ty znowu swoje. Nie miałam jak. Jakoś tak...

- No właśnie – powtórzyła Magda.
- Robię porządki na strychu. – Justyna zmieniła temat. – Znalazłam...

Rozmowę przerwało im wejście kolejnego klienta.

Mietek, jeszcze dziesięć lat temu najprzystojniejszy kawaler we wsi, teraz skupiał się wyłącznie na pełnej butelce w pobliżu.

- Ty byś tyle nie pił – powiedziała Magda, wydając mu resztę i półlitrowkę.
- A co tam. – Uśmiechnął się życzliwie. – Jakos trzeba żyć.
- Wódka nie pomaga.
- Wódka na wszystko pomaga – odparł wciąż uśmiechnięty. – Dzięki wódce ciągle ją widzę.
- Kogo widzisz? – zainteresowała się Justyna.

Magda pokręciła głową.

- Piękność moją, księżniczkę spod brzozy. Czeka na mnie co noc, ale ja jeszcze niegotowy.
- Na co niegotowy? – drażyla Justyna.
- Jak pójdę do niej drugi raz, nie wrócę więcej – powiedział uśmiechnięty. – Piję, żeby nie iść.

Mietek wyszedł, a Magda westchnęła ciężko.

- Opowiada jakieś głupoty. Faktycznie, z tego, co wiem, pewnej nocy poszedł pod kapliczkę i wrócił dopiero nad ranem. Odmieniony. To był jakiś zakład. Wcześniej miał narzeczoną, ojciec chciał mu przepisać gospodarstwo. Ale jak Mietek wrócił spod kapliczki, dziewczynę przepędził, nic nie tłumacząc. Awanturna była nieziemska. Rodziny się poobrażały, dziewczyna wyjechała, a ojciec Mietka wydziedziczył. Od tego czasu snuje się po wsi, coś tam zarobi, w polu pomoże, ma za co pić. Chodzi, uśmiecha się i opowiada, że pewnego dnia pójdzie do swojej księżniczki w białej sukience. Bzdury takie.

- Pewnie bzdury. Pójdę już – powiedziała Justyna, zerkając na zegarek.
- Jutro mają przywieźć żwirek, wpadnij.

Pożegnały się uśmiechami.

Justyna szła w stronę domu, patrząc na las. Wydawał się groźny, choć przecież wokół świeciło słońce. Poczula, że musi usiąść. Znowu – pomyślała, czując nadchodzące wizje. Zaczęła płytko oddychać, jakby szybko biegła. Niebo zaszyły chmury. Justyna usiadła, zatrzęsała się z zimna, choć dzień był upalny. Włożyła ręce do kieszeni. Wizje natychmiast się rozwiały.

Odetchnęła głębiej. Usłyszała krzyk. Głośny i długi, bardzo wysoki, jakby upiorny. Tak mógł krzyczeć wyłącznie ktoś głęboko cierpiący.

Rozejrzała się. Wokół same pola. Puste, nie licząc zajęcy, ptaków i bażantów.

Wróciła do domu, rozglądając się niespokojnie wokół. Dopiero za ogrodzeniem minęło uczucie strachu, przed którym uciekała. Ucichł też ostatecznie pisk, który cały czas wokół siebie słyszała. Naprawdę się bałam – pomyślała.

W kuchni wyjęła z siatki zakupy, Bogna jeszcze nie wstała. Justyna przygotowała obiad, choć nie była głodna, a Hubert grzebał przy ciągniku. Ostatnio zresztą coraz częściej spędzał czas w stodole. Nałożyła jedzenie na jeden talerz, doprawiła po swojemu i zaniósła teściowej.

- Co mi tu daje – powiedziała Bogna na widok Justyny. – Nie chcę.
- Mama zje, sił trzeba nabrać, pokarmię.

Bogna połknęła posłusznie kilka łyżek, po czym walnęła pięścią w talerz. Jedzenie rozprysło po podłodze, ścianach i pościeli.

Justyna westchnęła.

- Nie chce już mama... Posprzątam.

Bogna nie odpowiedziała. Justyna zabrała talerz, wróciła ze ścierką, miską i szczotką. Umyła ścianę, podłogę, zdjęła poszwę i założyła nową.

- Może zjedzie mama na dół?

- Pójdzie już.

Justyna wyszła bez dalszych komentarzy. Robiło się późno, a ona nie poszła jeszcze tam, gdzie lubiła przebywać najbardziej. Jeszcze dzisiaj nie była na strychu.

## Rozdział 20

Justyna doprowadziła strych prawie do porządku. Posprzątane i opróżnione ze staroci pomieszczenie okazało się całkiem przestronne. Małe okna mimo umycia dawały niewiele światła, trzy gołe żarówki jednak doświetlały przestrzeń należycie.

Justyna powiesiła krótkie, rzadkie firanki, położyła znalezione w komodzie dywanik, a raczej ręcznie tkany ze skrawków materiałów gruby pled, nadający przytulności miejscu, w którym się znalazł. Jakby czekał na Justynę i jej porządki na strychu. Ze wszystkich starych gratów pozostawiła tylko kufer, kredens i dziwny stelaż. Zapewne było to kiedyś łóżko, choć teraz już niekompletne, pozostała zdobna część ramy i legowiska. Lubiła na nim siadywać pod jedną z żarówek.

Kiedyś będę tu czytała książki – myślała. Na razie studiowała dokumenty, które znalazła w kufrze. Było ich całkiem sporo, znacznie więcej, niż wydawało jej się w pierwszej chwili. Metryki urodzenia, pamiątki pierwszej komunii, świadectwa szkolne. Historia rodziny, jak oni mogli o to nie dbać? Rzucić w kąt? Jak ja bym chciała mieć taką wiedzę o swojej rodzinie!

Odłożyła dokumenty na kolana. Dawno nie myślała o matce. Jaka była jej gałąź? Nic kompletnie o nich nie wiedziała. Ojciec nie był zainteresowany rodzinnymi więzami. Odejście żony przeżył głęboko, zapadł się w siebie, ale emocji okazywał mało. A już na pewno twierdził, że nie ma czasu na szukanie kontaktu z tymi, którzy go nie chcą.

Co było, jak spodziewała się Justyna, pewnym nadużyciem, bo pamiętała – od czasu do czasu przychodził jakiś list, kartki świąteczne, imieninowe życzenia. Ojciec przynosił ze skrzynki, kładł na stole z wyrazem niesmaku na twarzy, czytał zapewne późnym wieczorem, kiedy Justyna już spała. Nigdy nie opowiadał, od kogo były te przesyłki, Justyna znalazła tylko kilka z nich, porządkując rzeczy ojca po jego śmierci. Listy od rodziców ojca, których przecież Justyna знаła, kilka kartek od dalekich ciotek, nic więcej. Co się stało z resztą? Na pewno była to korespondencja z rodziną matki. Ojciec wyrzucił? Bez wątpienia.

Zamknęła oczy. Pamiętała matkę jako jasną i świetlistą. Możliwe, że czas zniekształcił obraz, że widziała swoje wyobrażenie, a nie cień rzeczywistej osoby. Niewykluczone, że jej aura też była tylko wyobrażeniem. Justyna była dziewczynką, nie wiedziała wtedy jeszcze, jak ważny jest kolor wokół człowieka. A dziś chciała widzieć matkę jako dobrą, tylko skrzywdzoną młodą kobietę, która uległa sile namiętności.

Romantycznie? Oczywiście. Cóż jej jednak pozostało? Wolą tak. Idealizować, by móc bezkarnie, bezrefleksyjnie tęsknić. Gdyby bowiem matka okazała się tą, która nie kochała, uciekła od miłości, odpowiedzialności, która w imię kaprysu i własnej wolności porzuciła córki... Tego Justyna wybaczyć by nie mogła. Musiałaby hodować w sobie nienawiść, a to wyniszczające uczucie, niewarte uwagi.

Justyna skupiła się na dokumentach. Na kolanach położyła zeszyt z niebieską cienką okładką, na froncie widniał przekreślony napis: matematyka. Kilka pierwszych stron zostało wyrwanych, na następnych pojawiły się regularne, okrągłe, choć trochę wyblakłe litery. Justyna przekartkowała zeszyt, zapisane było tylko kilka stron, na ostatniej widniał sporych rozmiarów kleks. Przesiąkł przez cztery kartki, widocznie ktoś zapomniał go osuszyć.

Wokół siebie rozłożyła pozostałe dokumenty. Dwie kupki, chyba chronologicznie ułożone.

– Zaczniemy od końca – wymruczała.

Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt dwa. To była Anna. Piękne imię. Wyszła za męża... Nie ma metryki. – Justyna sięgnęła do pierwszego stosiku. Metryki urodzin, chrztów, akty ślubów.

Anna nie wyszła za mąż? W tysiąc dziewięćset jedenastym urodziła córkę, Karolinę. Tylko jedno dziecko? Nie, jeszcze synek, Antoni. Dwa lata później. I jeszcze jeden syn, Stanisław. Tysiąc dziewięćset szesnasty. I bliźniaki, Joanna i Krystyna. Dziewięćset dziewiętnasty. I Martynka, tysiąc dziewięćset dwudziesty. Więc pewnie i ślub był, szóstka dzieci to raczej nie wpadka.

Piątka! Joasia zmarła, kiedy miała... trzy latka. Kurczę, współczuję.

Tysiąc dziewięćset jedenasty. Karolina, jeszcze piękniejsze imię. Takie chciałabym mieć. Czwórka dzieci. Tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty, Bogumiła pierwsza, potem Anna, po babci widocznie, Joasia i Bartosz. Ten ostatni tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Idealny moment, akurat w przeddzień wybuchu drugiej wojny, znalazł sobie termin. Stworzę drzewo genealogiczne rodziny mojego męża. Właściwie dlaczego nie? Swojego nie mam.

Bogumiła... blisko od Bogny. Tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty. Współczuję dzieciństwa. Choć może tutaj, daleko na wsi, nie było tak źle? Naloty dywanowe skupiły się na Warszawie, tutaj pewnie było spokojnie. Może, paradoksalnie, lepiej niż w mieście nawet i po wojnie. Spokój, jedzenie z własnej hodowli, pola pełne zboża.

Justyna wyobraziła sobie brzeg jeziora, nad nim rozchichotane dziewczynki w bawełnianych sukienkach do kolan. Jedna wychodzi z wody, mokry materiał przylega do ciała, ciężkie krople skapują wokół niej na piasek, tworząc okrąg małych dziurek. Dalej grupa chłopców, w podobnym wieku, zbита w gromadkę, ubrana w pasiate płócienne spodenki. Spoglądają w stronę dziewcząt. One chichoczą, oni spoglądają, one chichoczą...

– Dość! – powiedziała do siebie Justyna. – Wyobraźnia nie ma granic. Tu nie ma żadnego jeziora, stawu ani nawet strumienia. Mogli mieć co najwyżej sadzawkę dla zwierząt.

Ale pewnie i tak było im tu lepiej niż w Warszawie. W jakimkolwiek dużym mieście. Może przetrwali bez widoku Niemca w hełmie z wywiniętymi brzegami.

To Bogusia, Anna, Asia i Bartek. Bawili się pewnie razem, jak to rodzeństwo. Justyna nie pamiętała, by beztrudno bawiły się razem z siostrą. Każda miała swoje sprawy, nie były sobie bliskie. Być może odejście matki zamknęło ich świat, przykryło woalem smutku. Dzieci w latach trzydziestych pewnie bawiły się razem. Rodzeństwo ze sobą i pewnie jeszcze z innymi dziećmi. W sąsiedztwie musiało być dużo dzieci. Wiele się rodziło, niewiele mniej umierało. Ale tutaj nie ma żadnych aktów zgonu? Dzieci. Szczęśliwa rodzina, bez śmierci.

A kiedy Bogumiła dorosła? Ślub tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy, w marcu. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim urodziła Martynę. Trzy lata później Krysię, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym Staszka i jeszcze Franciszka, dwa lata później. Krysia zmarła jako siedmiolatka.

Dzieci kiedyś często umierały. Statystycznie chyba nawet częściej niż w tej rodzinie. Tutaj umiera tylko jedno na pokolenie. A może nie wszystko tu jest zapisane? Nie wszystko, nie wszystko... – zahaczało Justynie w głowie. Odgoniła ręką myśli, nie poświęcając im szczególnej uwagi.

Martyna, jak ładnie! Urodzona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Nic tu o niej nie ma. A nie, jest. Świadczenia szkolne, same piątki i czerwone paski. Musiała być bardzo skrupulatna. Nawet tarcza szkolna jest. I kilka rysunków. Była utalentowana, sądząc po entuzjastycznych opisach przy ocenach. To szkolny nauczyciel? *Cudownie, powinnaś się rozwijać! Nie zaniedbaj talentu!* W wiejskiej szkole? I co z tego, i tak skończyła jako matka dzieci. Żadnych ambicji?

Szóstka dzieci, pierwsze, gdy miała dwadzieścia lat. Proszę, proszę, moja teściowa, Bogna! Potem niemal co rok prorok. Drugie siedemdziesiąty czwarty, to Bartek, siedemdziesiąty piąty Joasia, ósmy Karolina i osiemdziesiąty Karol. Przy szóstce drobiazgu Martyna to mogła sobie mieć ambicje głęboko w dupie.

Justyna wzięła do ręki drugi plik kartek związanych jasną tasiemką.

– O mój Boże – rzuciła z westchnieniem. – Akty zgonu. Wcześniejsze tylko dwa. Joasi i Krysi. A najwięcej właśnie u Martyny. Z szóstki przeżyło tylko pierwsze i ostatnie. Ciekawe, gdzie podziewa się teraz

Karol?

A ja? – zastanowiła się Justyna. – Ja to mam superambicje. Nie zająć w ciążę na złość teściowej. Jeśli się uda, to nawet nie będę matką dzieciom. To jest dopiero osiągnięcie.

Bogna... Oryginalne imię. Chyba słowiańskie. Kiedy ona? – Justyna sięgnęła po dokumenty. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi. Wcale nie taka stara ta moja teściowa. Zachowuje się, jakby miała siedemdziesiąt lat, mentalnie może dziewięćdziesiąt, a tu zaledwie czterdzieści osiem. Ona jest po prostu z poprzedniej epoki. Poza tym, skoro miała tak skrupulatną matkę... Tamta rysowała, ta sprząta. Szkoda, że jej we wrażliwość nie poszło, przydałoby się trochę wrednej babie. Może to imię tak na nią wpłynęło? Na pewno. Imię musi mieć wpływ na człowieka.

Justyna odpałała internet w telefonie. Bogna – ciepła, towarzyska i inteligentna. Szczera aż do bólu. Towarzyska i z poczuciem humoru. Szybko się uczy. Łatwo nawiązuje relacje... To o mojej teściowej? – pomyślała i zaśmiała się. – Pomyłka.

Czy moje imię miało wpływ na mnie? Pewnie tak. Indywidualistka, buntowniczką. Otwarta na świat, kreatywna. Lojalna i prawdomówna... Dziewczyna westchnęła. Twardo brzmiąca Justyna pozwoliła mi przetrwać – pomyślała.

Dwadzieścia cztery lata, kiedy Bogna urodziła Huberta. Żadnych innych dzieci.

W tej rodzinie zawsze było dużo dzieci. To dlatego tak na mnie naciska? Sama nie urodziła więcej, dlaczego?

Justyna zapisała wszystkie imiona, układając je chronologicznie, niczym drzewko. Z przyporządkowanymi datami. Popatrzyła na swoje zapiski.

– Dziwne – wyszeptwała. – Tu są opisane losy wyłącznie pierwszych córek. Losy – prychnęła. To za dużo powiedziane. Główne dane. Pierwsza była zawsze córka, od ponad stu lat. Potem różnie, ale inne dzieci, kolejne, umierały. Ta pierwsza córka – nigdy. Żyły, miały swoje dzieci, w tym pierwszą córkę. Która miała swoje dzieci, w tym pierwszą córkę.

Justyna przejrzała jeszcze raz wszystkie dokumenty. Na samym końcu, wyjątkowo niechronologicznie, znajdował się akt zgonu z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego. Michalina? Nie było takiego imienia... To musiała być zatem córka Anny. Dlaczego nie ma jej imienia w zeszycie? Justyna wróciła do aktów urodzenia. Nic szczególnego. Nie ma. Odłożyła dokumenty. Po chwili sięgnęła po nie jeszcze raz. Akt urodzenia Karoliny. Ale akt chrztu – Karoliny i Michaliny... To były bliźniaczki! Czyli Michalina, umierając, miała jedenaście lat. Dlaczego nie ma o niej żadnej wzmianki?

Wzięła do ręki jeszcze raz akt zgonu. Dziwny. Nie ma urzędowej pieczęci. Jakby ktoś wypisał go, ot tak... Makabryczne. Różni się od innych. Inny druk. Ten jest jakby... Narysowany?

Justyna poczuła na plecach zimny dreszcz, odłożyła kartkę do pozostałych. Złożyła starannie wszystkie dokumenty, ułożyła je w teczce. Pomyślała, że losy tej rodziny są jakieś niekompletne. Wiele w tej historii jest braków. Czego brakuje? Co się działo z pozostałymi członkami rodziny? Nie sposób się tego domyślić.

I tak fajnie, że jest tyle. Ja nawet tyle o swojej rodzinie nie wiem – przyznała z westchnieniem.

Obok leżała jeszcze jedna, mniejsza teczka. Z kufra wyjęła dwie, choć w pierwszej chwili myślała, że jest tam tylko jedna. Otworzyła ją teraz po raz kolejny, zawierała rysunki. Ołówek na papierze, czasem szarym, czasem pogniecionym, rzadko białym.

– To musiała być Martyna – powiedziała półgłosem. I dodała z westchnieniem: – To przykład, jak dorośli zabijają talent u dzieci.

W teczce umieszczono głównie pejzaże. Ich dom, z charakterystycznym spadzistym dachem, połamanym w trzy lukarny. Doświetlenia miały trójspadowe dachy i okrągłe wykończenia, nigdzie w okolicy takich nie było. Przynajmniej Justyna nie widziała, a i Bogna opowiadała kiedyś, że ich dom jest wyjątkowy, jedyny w okolicy.



Dom widać było z każdej strony, nie było ogrodzenia, na niektórych rysunkach widać było sad i daleką perspektywę pól, inne przedstawiały kłosa zboża, zbliżenia roślin, Justynie najbardziej podobały się główki chabrów. Było też kilka portretów, podobieństwa Justyna nie była w stanie ocenić. Na samym dnie leżały dwa dziwne rysunki, rozmazane, jakby ktoś odrysował prześwietlone, poruszone zdjęcie. Były na nich jakieś postacie. Rysunki były niedokończone, niedopracowane, trudno było rozpoznać myśl autora. Pewnie jakieś szkice – pomyślała Justyna.

Układała rysunki do teczek, gdy nagle uświadomiła sobie, czego brakuje w dokumentacji.

Wróciła do swoich zapisków.

Zebrano daty narodzin dzieci, świadectwa chrztu, czasem szkolne zeszyty, akty zgonu. Ale nie było żadnego aktu ślubu, tylko w przypadku Bogumiły zapisano jego datę na akcie urodzenia Martyny. Nie było żadnego imienia dorosłego mężczyzny, odnotowano istnienie wyłącznie dzieci.

Otworzyła jeszcze raz pierwszą teczkę. Żadnego mężczyzny. Żadnego ślubnego zdjęcia. I kolejne wydarzenia wyłącznie w odniesieniu do pierwszej córki. W tej rodzinie musiały chyba rządzić kobiety – pomyślała Justyna i uśmiechnęła się. – Co jest całkowicie zrozumiałe, gdy spędzisz choć jeden dzień z moją teściową.

Co się działo z pozostałymi dziećmi? Justyna układała dokumenty jeszcze raz, gdy zauważyła jedno nazwisko. Zatrzymała na nim wzrok, nie rozumiejąc.

Niemożliwe – wyszeptała.

Zmroził ją nagły chłód.

– Dostyc – powiedziała głośno. – Żadnych więcej wizji. Mam dostyc!

Spojrzała na jeszcze jedno znalezisko, któremu na razie nie zdołała się uważnie przyjrzeć. Oprawiony w szare płótno, z nierównymi kartkami, wyraźnie domowej roboty – pamiętnik. Pokryty równym, ale wyblakłym, trudnym do odczytania pismem.

Zajmę się nim kiedy indziej – pomyślała.

W dobrym momencie, bo gdy odkładała pamiętnik do kufra, usłyszała huk.

– Bogna wstała z łóżka – powiedziała półgłosem bez współczucia. – I wywaliła się z powodu zawrotów głowy. Jaka szkoda.

Kto przygotował te wszystkie dokumenty? – zastanawiała się jeszcze, schodząc po schodach.

Ktoś, kto na ciebie czekał – odpowiedziała sobie w duchu. A potem już nad niczym się nie zastanawiała. Musiała zająć się Bogną.

## Rozdział 21

– Matkę trzeba będzie oddać do zakładu – powiedziała Justyna, podając obiad. – Robi pod siebie.

– Nie masz nic lepszego do roboty, to ją myj.

– To twoja matka...

Hubert uniósł rękę. Nie musiał robić nic więcej. Justyna schowała głowę w ramiona i odchyliła ciało do tyłu. Wycofała się do kuchni i zacisnęła szczęki. Mogła sobie na to pozwolić, bo stała już za Hubertem. Jego plecami mogła pokazywać dowolne miny.

*Chciałabym mieć dziecko. Kolejne. Jan chciałby chłopaka. Ja też. Chciałabym trzymać go w chuście tuż przy sobie, wyjść z nim w pole, wygrzać w słońcu. Znowu poczuć wielkie balony, napętnione mlekiem. I czuć, jak małe ciągnie, ssie, wypija soki. Jak mleko tryska na wszystkie strony. To byłoby właściwe.*

*Wyobrażam sobie minę papy, gdyby coś takiego przeczytał! Lepiej nie, nie życzę mu przecież źle. A coś takiego... Apopleksja, ostry atak, natychmiast. O mamie nie wspomnę. Śmiech pusty mnie ogarnia. Co oni wiedzą o życiu? Co ja o nim wiedziałam?*

*Tata opowiadał mi wiele o eleganckim towarzystwie, do którego zamierzał mnie wprowadzić, ale zupełnie niczego nie dowiedziałam się o szorowaniu podłóg ze słabo wyheblowanego drewna. Tata zarządzał naszym majątkiem, dociera do mnie, jak był wielki i jaki ogrom pracy się z tym wiązał. Sad, już tylko on wymagał pilnowania, planowania. Niby ekonom się tym zajmował, ale tata lubił mieć wszystko pod kontrolą. Pieniądże, rozliczenia, zawsze skrupulatnie wszystko sprawdzał. Gdyby zarządca chciał za wiele dla siebie uszczknąć... Nie sądzę, by miał na to najmniejszą nawet szansę. Może podczas zwożenia owoców mógł zachachnąć skrzynkę lub dwie, a może nawet i cały wóz. Co z tego? Gdzie by te dobra schował? U zaprzyjaźnionego chłopca?*

*Bez żartów. Chłopi są uczciwi dla pieniądza, pójdą tam, gdzie zapłata. A płacił pan, mój ojciec, nie wynajęty rzadca. Bo wynagrodzenie tata sam wyliczał, co do monety, dokładnie, pedantycznie nawet. Od czasu do czasu sygnął dodatkowym miedziakiem, w przychywie dobrego humoru, po udanych zbiorach. Kiedyś zapytałam papę, dlaczego jest dla chłopów taki surowy. Odpowiedział mi: żeby dla ciebie być szczodry, córeczko. Czy był dla mnie hojny?*

*Podobnie w czasie żniw, a pól była u nas niezmiernie przestrzeń. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym, ale ciągnęły się po horyzont. Dziś postrzegam nasze pole, właściwie Janowe, bo do mnie przecież nic nie należy, jako ogromne, bo jest największe we wsi. Ojcowizna jednak nie tyle była większa, co raczej rozległa jak wielkie morze – kołyszących się w ciężkim letnim skwarze kłosów pszenicy i żyta, szerokich bruzd wypełnionych głowami buraków cukrowych, jesiennych labiryntów wśród wyrosniętej kukurydzy, ciężkich kiści winogron wpadających we wrześnieowe popołudnia soczystymi gronami w wyplataną kosze. Pamiętam smartwienie ojca – wina z własnej piwniczki chciał uczynić perłami Podola, narzekał, że zbyt kwaśne, że nie takie, że słońca za mało, że owoc nie dość słodki... Kiedyś opowiadał mi o przyszłości. Wina miały być naszą przepustką do lepszego świata, do tych wyżej urodzonych, bo galicyjskie wina były rzadkie i wyjątkowe, miały ten szczególnie owocowy posmak, niby porzeczeki, niby wiśni, lekko owocowy, a jednak dymny, głęboki. Tak opisywał je papa, mnie nie dał nigdy spróbować, nie poznałam smaku wytwornego wina na podniebieniu. Tata dążył do ideału wina, naszego złotego trunku niosącego przyszłość.*

*Czy zmarnowałam jego przyszłość? Udało mu się wino marzeń? Oby nie zrezygnował przede mną ze swoich dążeń... Bo przecież była jeszcze Miranda, dla niej warto! Obyś nie zrezygnował, tato.*

*Miałam wszystko, choć patrzyłam tam, gdzie mieli jeszcze więcej. I ja tak chciałam – więcej falban, drogich koronek, nowszych sukni, bardziej kolorowych pantofelków. Więcej, drożej, bardziej, mocniej. Czy przez to nie doceniałam dóbr, które mnie otaczały?*

Justyna czytała pamiętnik z coraz mniejszym zainteresowaniem. Na początku przeżywała emocje. Pojawiało się więcej imion. Jan. Przyjazd Anny do domu, do rzeczywistości, która miała się nijak do jej wyobrażeń. Karolina i Michalina, rzeczywiście, bliźniaczki. Potem pola, dzieci, słońce. Dla piszącej najbardziej interesujące tematy to krowy, zbiory, głód na przednówku. Pamiętnik prowadzony był przez kilka lat, wciąż powtarzały się te same zwroty i wracały stare sprawy.

Justyna zajęta prowadzeniem domu, sprzątaniami, gotowaniem, pielieniem ogrodu i dbaniem o teściową nie miała czasu na rozrywki. Zatrzymywała się od czasu do czasu, spoglądając na las. Wtedy wciąż czuła, że ją ktoś przywołuje. Gdy szła do sklepu, czasami dopadały ją wizje. Potrafiła już z nimi walczyć. Wkładała rękę do kieszeni, dotykała szyldu od klamki. Dom, cokolwiek z ich domu, neutralizował transy.

Już do nich jednak przywykła. Przywidzenia trwały zwykle nie dłużej niż kilka minut. Męczyły, ale już im się nie dziwiła.

Akcja w wizjach rozwijała się jak w sensacyjnych filmach, których nie miała czasu oglądać. Przeniosła więc telewizor do sypialni Bogny. Tam oglądała filmy, karmiąc, myjąc teściową, przebierając, a czasami – po prostu rozmawiając. Właściwie nie miała już z kim. Bogna okropnie schudła, nie chciała jeść. Okresowo traciła kontakt z rzeczywistością, opowiadała często bzdury, czasem jęczała upierdliwie, najczęściej jednak po prostu milczała wpatrzona w sufit. Wtedy Justyna włączała telewizor, nie lubiła wiadomości, programów przyrodniczych ani żadnych gadających głów. Najlepsze dla niej były filmy z szybką akcją, w której bohater kogoś ścigał, strzelał, walczył przeciwko złu tego świata. Akcja zmieniała się dynamicznie, Justyna lubiła to, miała czym zająć myśli, próbując nadażyć za scenariuszem.

Tak samo w jej wizjach. Obrazy przesuwwały się czasem tak szybko, że nie zdołała zauważyć postaci. Zwykle jednak ktoś biegł lub krzyczał. Często słyszała też przyspieszony oddech i wtedy – z czego zdała sobie sprawę dopiero niedawno – sama oddychała krótko i płytko. Jakby amatorsko biegła w maratonie. Czuła unoszące się piersi i brzuch, łapała łapczywie powietrze, usta miała potem wysuszone, często popękane.

Problemem w wizjach stała się zima. Choć Justyna ubierała się ciepło, nawet kilkuminutowe siedzenie na zamarzniętej ziemi już dwukrotnie wywołało u niej zapalenie, po którym musiała jechać do lekarza. Wołała do Przemysła, tam lekarz był i dyskretny, i miły, i już dobrze jej znany.

Wiadomo, podczas wizyty w mieście załatwiała także inne sprawy. Odbierała coś z paczkomatu, zawsze starannie wyrzucając podarte opakowanie. Raz kupiła pieluchy dla Bogny, choć właściwie powinna zamówić je przez internet. Po co to nosić i jeszcze narażać się na pytania. Oczywiście, akurat wtedy musiała natknąć się na panią Janinę, i oczywiście musiała odpowiadać na jej zatroskane pytania. Ciekawski babsztyl – myślała Justyna, uśmiechając się.

Kupowała leki sąsiadom, żaden przecież kłopot, zwykła sąsiedzka uprzejmość, czasem robiła drobne sprawunki. Kupiła sobie nowe buty, czerwone, na niewielkim obcasie. Nie pokazała ich Hubertowi, choć przecież powinna rozliczyć się z powierzonych pieniędzy.

Regularnie odwiedzała ich Pokrzydłowa. Kazała Justynie kupować tabletki. Nazwę zapisała kopiaowym ołówkiem, drukowanymi literami, na skrawku papieru. Przynosiła także zioła i nalewki, zawsze zanim pozwoliła Justynie schować je do szafki, wystawiała nad nimi ręce, przymykała oczy i szeptała niezrozumiałe zaklęcia. Justyna uwielbiała się jej przyglądać. Niebieska aura, ta ją zastanawiała. Otaczała kobietę, która wciąż nosiła wielokolorowe ubrania. Jak rajski ptak. Fioletowe – pomarańczowe – szmaragdowe – różowe... Zwykle miała na sobie wszystkie możliwe kolory, Justynie nie przyszłoby do głowy, by tak je zestawiać. A na znachorce prezentowały się tak naturalnie...

Bała się kolejnych wizji – znów mogła zachorować. Dlatego coraz rzadziej chodziła do sklepu, większość towarów zamawiając przez internet. Obawiała się spojrzenia lasu. Tak, las na nią patrzył, nie tylko wołał, ale także – obserwował. Justyna spędzała zatem więcej czasu w domu, ale było to całkowicie uzasadnione. Musiała przecież, jak każda dobra synowa, zajmować się obłożnie chorą teściową.

Oglądały razem telewizję, a nawet jeśli nie, Justyna zostawiała odbiornik włączony i głośno ustawiony. Dzięki temu nie słyszała wołania teściowej.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Pierwsze dla Justyny w tym domu. Podczas ostatniej wizyty w Przemysłu kupiła trochę dekoracji. Trzy filcowe mikołaje, wieniec z szyszek, dwa opakowania bombek. Cieszyła się na strojenie domu, choć spodziewała się, że ze względu na stan Bogny święta nie będą specjalnie radosne. Ciekawe, czy świekra zejdzie na wigilijną kolację? – zastanawiała się dziewczyna. Pierwszą, którą Justyna miała samodzielnie przygotować.

Kilka dni przed Wigilią Justyna zwróciła uwagę, że Magda zadbała o udekorowanie dwóch świerków, które rosły przed sklepem, trochę z boku, nie rzucając się w oko w wiejskim, zielonym krajobrazie. Miatek, skuszony obietnicą dwóch pełnych flaszek, skakał po drabinie przez blisko trzy godziny. Za trzecią godzinę próbował wynegocjować trzecią flaszkę. Magda nie dała się wmanewrować.

Choinki były równo obwieszane lampkami, jakby ktoś opuścił na nie świetlną siatkę. Z daleka wyglądały jak jaśniejsze ostrosłupy. Magda była zadowolona z efektu, a i wszyscy mieszkańcy chwalili jej pomysł.

Sołtysowa specjalnie zaszła do sklepu.

– Twoja matka nie miała takiego gustu – powiedziała, kończąc zakupy.

Magda się zaśmiała. Specyficzny, ale komplement – pomyślała.

– A jak tam kury? – zapytała sołtysową.

Obudowa stada była tematem, którym żyła wieś. Nieważne były wielkie kurniki stojące z drugiej strony wsi, jeszcze za chatą Pokrzydłowej. Nieważne były ogromne chlewnie, przecież stamtąd nikt z mieszkańców mięsa nie brał. Tamto było do wielkich sklepów, gdzie głupi ludzie kupowali pędzone hormonami mięso, od którego chłopcom rosły piersi, a dziewczynkom wąsy. Wieś kupowała od tych, którzy hodowali zwierzęta normalnie, po bożemu, na własnym podwórku, w kurniku lub oborze. Którzy karmili kury karmą z własnego pola. Ale taki pomór? Każdy chciał wiedzieć, jak to się skończy i czy następne stado przetrwa. Panowało więc wielkie wyczekiwanie. Co powie weterynarz? Będą kury? We wsi znajdowało się kilka gospodarstw z kurami, były jednak zbyt małe i na dłuższą metę nie mogły zaspokoić potrzeb wszystkich mieszkańców. Wyczekiwano zatem momentu, w którym pojawią się kury – i jajka – u sołtysowej. Gdy to nastąpiło, mieszkańcy wsi odetchnęli z ulgą.

– Dobrze, kochanieńka, dobrze. A ta twoja przyjaciółka może przyjdzie? Jajek dostanie. Cielaka uratowała.

– Przekażę. – Magda się uśmiechnęła. – Może przyjdzie.

– Choinki jak ta lala – skomentowała jeszcze sołtysowa, wychodząc.

Magda była zachwycona, Justyna – przerażona. Z okien jej kuchni choinki wyglądały jak dwie zjawy. W czasie długich wieczorów wręcz bała się spoglądać w tamtą stronę, sprawiały wrażenie, jakby się przemieszcząły. Jak w moich zwidach – myślała.

Ale w końcu pomyślałam o MOJEJ kuchni – ucieszyła się Justyna pewnego wieczoru, patrząc na upiorne w jej oczach choinki. – Bo jest moja! – myślała z satysfakcją. – Przed świętami umyję jeszcze okna. Będzie mojsza.

Bogna nie schodziła już na dół. Bardzo schudła, była tak drobna, że pewnego dnia łóżko zdało się dla niej zbyt wielkie. W chwilach przytomności skupiała się na swoim małym świcie, ze ścianami wciąż świeżo umyтыми, ale już niemożliwymi do doczyszczczenia. I telewizorem, który stał się oknem na rzeczywistość.

Po wizycie sołtysowej Magda pobiegła do Justyny.

– Jestem podekscytowana – powiedziała niemal w wejściu. – Wszyscy się zachwycają! A ty masz ten widok cały czas. Pięknie – rzuciła, stojąc w kuchni i wyglądając przez okno na rozświetlone choinki.

– Piękny? – Justyna nie ukrywała zdziwienia. – Raczej przerażający.

– Co?

– Widok! Spójrz: w dole choinek jest fioletowa poświata, ciemna, wpadająca w czerni, straszna.

– Jaka poświata? Co ty gadasz? – spytała zdziwiona Magda.

– Żadna. – Justyna zamilkła. – Wiesz, ja ostatnio wszędzie widzę...

Justyna zamknęła oczy. Poczula, że pamiętnik wypadł jej z ręki. Jaki pamiętnik? – pomyślała jeszcze, zanim usłyszała krzyk. Wrzask, jakby kogoś opętanego.

– Ty jeden! Córkę!

Chłop stał przed drobną kobietą. Szeroko otwierał oczy. Ze strachu?

– Ty! Córkę!

Justyna przyglądała się scenie, jakby stała obok.

Kobieta była w zaawansowanej ciąży. Nie wiedziała, nie widziała. Nie chciała wiedzieć, ale w końcu przejrzała na oczy. Córką była cicha, nic nie mówiła, chowała się za matczynymi plecami. Ojciec używał córki regularnie; dziewczynka bała się, ojciec nie, a matka nie wiedziała.

– Ubliżać mi będziesz? Ubliżać? – Mężczyzna wciąż stał, ręce jednak nie zwisały już wzdłuż jego ciała. Tańczyły w powietrzu jak dwa niespokojne ptaki, zbliżając się do kobiety. Justyna widziała to w zwolnionym tempie: ręka dotykająca policzka kobiety, odskakująca głowa, usta otwierające się do krzyku. Oczy szeroko otwarte, wyrażające czystą nienawiść. Druga ręka, drugi ptak, drugi policzek.

– Gdzie ona! Gdzie? Będzie cholernica córki przed ojcem ukrywać!

– Przed ojcem? Ty zwierz jesteś, nie ojciec! Ty podlec!

– Mów, gdzie ona – syknął mężczyzna. Miał zimne oczy, Justynie zdawało się, że źrenice zwężają się do pionowych kresek.

Kobieta upadła, bo znów zatańczyły ręce, znów dotknęły ruchem niemal pieszczotliwym twarzy i brzucha, potem pchnęły.

Facet wędrował po domu, parter, piętro, cisza. Wszedł wyżej, drewniane schody zaskrzypiały. Drzwi uchylone.

Justyna usłyszała oddech. Ciężki, sapiący, jak po długim biegu. Dobiegły ją też odgłosy przesuwanych mebli, wściekłe przewracanie, przemeblowanie jak przed remontem.

– Wiem, że tu jesteś. – Na te słowa dziewczyna skuliła się gdzieś, wsunęła ręce pod uda, głowę schoowała między kolanami. Była kulka, nieistotną i nieważną we wszechświecie.

Po chwili zdała sobie sprawę, że wcale nie jest skulona. Była wyprostowana, plecami przylegała do ściany. Oddychała płytko, bezgłośnie, nie poruszając piersiami. Ręce założyła przed sobą, jakby wciskała nimi ciało w mur za sobą. W ścianę? To przecież dachówka!

Stanąła za oknem na dwóch wąskich deskach. Tylko cicho. Tylko cicho. Bezgłośnie. Niezauważenie. Bezszelestnie. Milcząco. Bez szmeru.

Sowa przeleciała bezdźwięcznie tuż przed twarzą Justyny.

Zmarzła. Po jej plecach spływał zimny pot, sukienka przywarła do ciała, skąd pot w takim zimnie?

Cicho. Cisza. Wszystko zamarło.

Justyna nie dała się zwieść. Czekala. On tam był. Wyczekiwał jej.

Dopiero gdy zaczęło świtać, dziewczyna weszła do pokoju. To był krajobraz po bitwie. Przeszła obok ciała mężczyzny opartego o jej łóżko, który spał, pochrapując równomiernie, ślina wypływała z półotwartych ust. Łóżko przesunięte gwałtownym ruchem w drugi kąt pokoju musiało uderzyć w ścianę, pozostał

zadzior na tapecie w niebieskie kwiatki. Dywan zwinięty w kłębek leżał na łóżku, pościel zaś, rozwleczona po podłodze, stanowiła wyspy białej czystości w brudzie świata. Szuflady z kredensu wyrzucone, przedmioty na środku jakby przygotowane do rozpalenia ogniska.

Justyna rozpoznała zagłówek łóżka. To było jej łóżko. Jej. Jej. Jej.

Zeszła na dół na bosaka, tak jest najciszej, choć grozi wbiciem drzazgi z drewnianych schodów. Poszła do matki. Zapłakanej. Położyła się na jej łóżku twarzą przy matczynych stopach. Spokojnie. Żeby tylko było już bezpiecznie.

Obudziła się gwałtownie, wciągając powietrze. Magda wpatrywała się w nią wielkimi oczami.

– I co to ma wspólnego z moimi choinkami? – spytała głośno. Potem ponowiła pytanie. Nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka patrzy na nią wytrzeszczonymi oczami i nie odpowiada na trzeci raz zadane pytanie.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu Justyna nieprzytomnie.

– I w ogóle... co ci jest?

– Nie wiem.

Magda westchnęła.

– Ty naprawdę miewasz takie sny?

– No właśnie. Miewam. Są... bardzo realistyczne. A te choinki? Też kiedyś o nich śniłam, ale nie pamiętam dokładnie. Nie wiem. Boję się ich.

– To tylko świątecznie udekorowane drzewka.

– Wiem. – Justyna w końcu uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Napięcie powoli mijało. Z twarzy Justyny ustępowała śnieżna bladość, odkaszlnęła kilkakrotnie, głos nabrał normalnego tembru. Napiły się herbaty i zjadły po dwa kawałki ciasta.

– No nie mogę – stwierdziła Magda, a Justyna była przekonana, że dotyczyło to ciasta. – Nie mogę tak tego zostawić. Popatrz jeszcze raz. Są piękne!

Justyna stanęła obok przyjaciółki. Wpatrywała się w okno. Choinki świeciły wewnętrznym blaskiem. Trzymała rękę w kieszeni, zaciskając ją mocno na szyldzie.

– Są piękne – przyznała.

Pożegnały się, Justyna wciąż czuła, że jest we śnie. Coś działo się pod choinką. Zimą, w Boże Narodzenie, pod świerkiem. Śnieg spadał z gałęzi, ślady jak zdrajcy prowadziły do celu. Świerk był wielki i niemy, ciemny, groźny. Pod nim Justyna na coś czekała tak długo, aż zasnęła.

A gdy się obudziła, była sama w kuchni. W rękach trzymała nóż, stary, wiele razy już ostrzony, tak często i mocno, że ostrze stało się nie tylko cienkie, ale i wąskie. Bardzo ostre. Najostrzejsze w jej kuchni. Właśnie kroić kanapkę dla teściowej. Odkroiła już skórkę, teraz zamierzała cienką kromkę jasnego chleba, posmarowanego grubo masłem i przykrytego plastrem chudej drobiowej szynki, pociąć na niewielkie kwadraty.

Ciekawe – pomyślała Justyna – czy dziś uda mi się ją nakarmić?

## Rozdział 22

– Matka miała rację. – Hubert stał w przejściu między jadalnią a kuchnią. Jego twarz właściwie niczego nie wyrażała. Justyna szukała w niej wściekłości, znajdowała raczej zdziwienie. Bała się.

Wściekły Hubert po prostu by ją zbił. Da się przeżyć. Hubert, który jeszcze nie wie, co myśleć, i który do wściekłości dopiero będzie dorastał – był zagrożeniem. Tak sądziła.

– To jasne, że z twoim brzuchem jest coś nie w porządku. – Zaśmiał się.

Justyna wolałaby, żeby był to śmiech chrapliwy, najlepiej pijacki. Wtedy Hubert był skłonny do seksu i do paska. Ale zwykle wtedy na chęciach się kończyło, a pasek albo nie trafiał, albo Justynie udawało się zgrabnie uchylić. Wystarczyło udawać skruszoną i krzyczeć, niby z bólu. Był usatysfakcjonowany.

Wiedziała już, kiedy należy unikać jakiegokolwiek naruszenia dyscypliny, i z sukcesem sobie z tym radziła. To było łatwe. Po prostu – w czasie meczu przynosić piwo i pilnować, by nigdy go nie zabrakło. I nie odzywać się. Jak jednak poradzić sobie z Hubertem uśmiechającym się na trzeźwo i trzymającym w ręku... to?

Justyna zmrużyła oczy, wtedy widziała lepiej. Hubert był otoczony falującą czerwienią przetykaną brunatnymi pasami. Zestawienie najgorsze z możliwych. Złość, silna, promieniejąca, ciągle jeszcze rozwijająca się w płyty ciemne jak tętnicza krew. I brunatny, który słusznie można by skojarzyć z mundurami oddziałów szturmowych nazistów. Kolor okrucieństwa, złości, sadyzmu, bestialstwa. Co przerażało Justynę najbardziej, kolory pulsowały, zmieniały się, mieszały gwałtownie.

Na ucieczkę nie było szans. Hubert stał w samym przejściu. Zresztą, nie miała złudzeń. Jej mąż nie odpuści, kara musi się odbyć, próba odwołania rozsierdzi go bardziej.

Jak jednak zdołał to znaleźć? Ukryła pudełko, zgniatając je wcześniej niemal na płasko pomiędzy bab-skimi kolorowymi gazetami. W łazience, koło toalety. Hubert zerkał tam czasami, ale tylko na wierzch. Co dla faceta może być interesującego w przepisach na peeling z soli i nowościach z życia chwilowych celebrytek? Hubert wolał swoje gazety – obrazki wijących się młodych dziewczyn, zestawienia osiągnięć najnowszych modeli samochodów, tabele sportowe, w których Justyna nawet nie próbowała się orientować. Co go podkusiło?

Rozważała, oczywiście, ukrycie tabletek pomiędzy bielizną, przyłapała jednak kiedyś Huberta na przeszukiwaniu jej szafy. Zrozumiała wtedy, że kiedyś robiła to teściowa, chyba na wszelki wypadek? Hubert nie poprzestał na wyciąganiu, wahał jej bieliznę, jakby nie mógł powąchać jej samej, żywej i obecnej. Justyna wycofała się wtedy, nie przyznała się nigdy, co widziała. Wtedy, na szczęście, tabletek tam nie było. I już nigdy więcej nie włożyła ich do szafy. Może to błąd? Może teraz nie przeżyłaby śliny, stojąc przed czerwieniejącym z furii mężem jak skazana przed katem?

Justynie wyświetlił się możliwy zestaw kar. Wyobraźnia jest najgorszą karnią ze wszystkich – przemknęła jej przez głowę. – Nie myśl o tym.

Jej przewina, blister antykoncepcyjnych tabletek, Hubert zgniótł w dłoni jak kartkę papieru. Popatrzył potem na swoją rękę, popękana srebrna folia otwierała się, ukazując niewielkie niebieskie tabletki.

Nie miała najmniejszego pomysłu, jak się wytłumaczyć. Nie przygotowałam się na to – pomyślała. – A powinnam.

Hubert nie oczekiwał żadnego tłumaczenia.

– Matka jest mądra – powiedział jeszcze, zanim chwycił Justynę za rękę. Przewróciła się. Bała się, że kuchnia jest zbyt niebezpieczna. Noże, tłuczki, nawet tasak. Ale nie. Hubert wyciągnął swój szeroki skór-

rzany pas z wielkim zapięciem ozdobionym wizerunkiem orła. Justyna nawet się nie zasłaniała. Z trzeźwym Hubertem nie miała szans. Po prostu leżała, skulona, pas nie był groźny, bała się sprzączki. Zaciskała szczęki, by nie krzyknąć za każdym razem, gdy ciężka mosiężna klamra miękkim łukiem opadała na jej skórę.

Ciągnął ją po podłodze, nie opierała się, zdając sobie sprawę, że rozjuszy go bardziej, choć trudno było to sobie wyobrazić. Próbowwała ułożyć się tak, by przesuwać się na materiale sukienki, jak najmniej raniąc i ocierając ciało. Spoglądała niemo ze strachem na zbliżające się schody, jednak nie było czego się bać. Od razu po pierwszym schodku przestało boleć...

Stała w salonie. To na pewno to miejsce, choć wyglądało inaczej. Nielakierowane deski, słabo heblowane, chociaż gładkie. Dywan upleciony z kolorowych skrawków, duży. Drewniana szafa z jasnymi, rzeźbionymi drzwiami, jedno skrzydło zostało uchylone, Justyna dostrzegła półki z równo ułożonymi materiałami. Obrusy? Pod oknem wysoki mebel, na nim kwiat, chyba paproć w glinianej donicy. Roślina żarłocznie zawłaszczwała przestrzeń, gęstą zasłonę liści zwieszając aż do ziemi. Z prawej strony drewniany kufer, Justynie zdawało się, że gdzieś już taki widziała. Malowany w wyraziste kwiaty, ich bukiet zebrany w dole czerwonymi liśćmi rozkładał się kolorowymi kwiatostanami, rozkwitał okrągłymi płatkami. Justyna patrzyła na kufer, nie potrafiąc odwrócić wzroku. Czuła, że nie chce wiedzieć, co dzieje się na środku salonu. Skupiła wzrok na szydełkowej firance. Śliczna – przemknęło jej przez głowę, choć przecież nie lubi rękodziela.

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Oddychała głęboko, odwracając się jednocześnie od okna. Na pleconym kilimie leżała na brzuchu kobieta. Justyna zauważyła przede wszystkim gęsto zmarszczone, bufiaste rękawy bluzki. Bogato haftowane w kwiaty, czerwone jak zachodzące słońce zwiastujące wiatr, rozlewały się wokół postaci niczym prześcieradła. Uwagę zwracało ząbkowane wykończenie rękawów, delikatne, niewinne. Ale dlaczego ta kobieta leży na brzuchu? Nie znam jej – to pierwsza myśl Justyny. Przecież to Anna – zreflektowała się chwilę później. Skąd to wiem? Jakies bzdury – irytowała się na siebie.

Justynie zdawało się, że zatoczyła pętlę. Kobieta, Anna, już nie leżała. Klęczała z wypiętymi pośladkami, oparta o ławę dłońmi otoczonymi białym marszczeniem. Chabrowa spódnica w czerwone kwiaty zakrywała całe jej plecy.

– Owiec mam dość – usłyszała Justyna. – Kobiety w domu mam, to będę używał.

Anna nie jęczała, nie krzywiła się. Nie od razu.

– Zostaw już, dziecko w brzuchu – powiedziała, gdy mężczyzna zbliżał się do końca.

– I co, dziecko, dziecko – odpowiedział, gdy już zakończył. – A ja ojciec, też mam prawa.

Wyszedł. Anna leżała, oddychając głęboko. Nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej, kręciła tylko głowę. Podniosła się do klęku podpartego, usiadła na piętach. Opierając ręce o podłogę, podniosła się i ruszyła do kuchni.

Mężczyzna wrócił.

– Piwa daj! – zażądał, a kobieta kiwnęła głową i ruszyła w stronę schodów. Otworzyła drewniane drzwi, pociągając za okrągłą kołatkę. Justyna dostrzegła półki spiżarni zastawione słojami i glinianymi dzbanami. Z jednego Anna odlała do grubej szklanicy mętnego, pianistego płynu. Wróciła i bez słowa podała mężowi.

Potem usiadła przy dużym stole i spoglądała w stronę kuchni. Stały tam piec, dwa drewniane stoły i zbite z heblowanych desek meble z zasłoniętymi białym płótnem półkami. Powinam podawać obiad – Justyna usłyszała myśl Anny. Jej głos był wysoki, mocny. Justyna pomyślała, że gdy Anna się śmieje, to jakby wokół dźwięczyły dzwonki. – Niedziela, czas na obiad.

Anna skrzywiła się, Justyna wyciągnęła do kobiety ręce, gdy ta upadała na podłogę. Choć stała blisko, nie udało jej się pochwycić kobiety. Anna przeleciała przez jej ręce jak przez powietrze. Przecież jestem tu powietrzem – pomyślała Justyna.



Anna upadła, jakby ktoś podciął jej jedną nogę. Leżała zgięta, wykrzywiona niczym znak zapytania. Wyciągnęła ręce, objęła nimi blat stołu, próbując się podciągnąć. Wykrzywiła się znowu.

– Leż spokojnie – powiedziała Justyna, nikt jej jednak nie usłyszał.

Anna podniosła się, zanim jednak usiadła, wykrzywiła się znów, puściła stołową nogę i znów upadła, łapiąc się za brzuch. Oddychała szybko, płytko.

– Obiad, powinnam podawać obiad – mówiła szeptem.

Starła się uspokoić oddech. Udało jej się to aż do kolejnego skrzywienia, kiedy to oddech znów przyspieszył. Anna jęczała.

– Nie, tylko nie to – wyrzuciła z siebie. – Nie znowu. Nie mam siły.

Poczuła ciepło i wilgoć. Zwinęła się w kłębek, podciągając nogi do brzucha, i sięgnęła po rąb spódnicy. Wydawało jej się, że chabrowa materia jest na samym końcu świata. Tyle podwijania, odsuwania materiału w czerwone kwiaty, białej halki z haftowanym w dziurki obrębem. W końcu odsunęła kolejne warstwy i dotknęła się między nogami. Potem obejrzała dłoń. Zakrwawioną.

Anna zacisnęła zęby, a potem zaczęła krzyczeć. Jak zwierzę. Justyna zakryła dłońmi uszy, wrzask wwiercał się w jej głowę, czuła go w mózgu, w oczach, płucach, i każdej innej tkance ciała. Anna krzyczała długo, aż zabrakło jej powietrza. Nie miała już w płucach ani odrobiny tlenu, nie było nic. Straciła przytomność. Justyna stała obok. Cała wieczność – pomyślała. Anna leży, świat stoi w miejscu, a może się kręci? Stała już tak długo bez ruchu, że powinna zdrętwieć. Nic jednak nie czuła.

Dopiero po wielu minutach, z których każda była długa jak stulecie, Justyna usłyszała głosy. Do domu weszli ludzie. Justyna spojrzała na swoje dłonie, stopy, brzuch. Przestała się widzieć. Rozmyła się. Znikła zupełnie, gdy usłyszała kobiecy krzyk, inny niż Anny, ciemniejszy, niższy, zachrypnięty...

Justyna ocknęła się w swojej sypialni. Była sama. Leżała na sypialnianej narzucie w dziwnej pozycji, porzucona jak niepotrzebna szmatka. Wszędzie leżały jej rzeczy. Niewielka na półce kupka ciuchów na podłodze tworzyła barwną mozaikę. Wydawało się, że to morze, ocean tkanin. Wokół niej widać było rozsypane, starannie wysupełane z blistra tabletki.

Uniosła się na łokciu, rozprostowała nogi. Nie przejmowała się siniakami. Ani pierwsze, ani ostatnie. Usłyszała wołanie teściowej.

– Muszę iść – powiedziała do siebie Justyna. – Poskarży się Hubertowi, dostanę znowu.

Zwlokła się z łóżka. Postawienie prawej stopy zadało jej szczególnie dotkliwy ból. Puchnie – pomyślała. – Mam nadzieję, że nie złamał.

Ubrała się i powoli ruszyła w stronę drzwi. Chwyciła za klamkę, zanim jednak wyszła na korytarz, obejrzała się. Małe niebieskie tabletki uśmiechały się do niej z kapy, a może ona uśmiechała się do nich. Całe szczęście, że Hubert nie ma jednak pojęcia, gdzie szukać. Dzięki temu mam spory zapas – i poszła do teściowej.

## Rozdział 23

Poranek był pochmurny. Zupełnie jak jesienią – pomyślała Justyna, wyglądając przez okno. – Choć właściwie jesień za pasem.

Stała w kuchni, szykując obiad. Mielone z tłuczonymi ziemniakami i mizerią. Z całą pewnością teściowa wolałaby barszcz i pielmieni, Justyna jednak nie miała ochoty na bawienie się w walcowanie ciasta, wycinanie i sklejanie dziesiątek pierożków. Jeszcze kilka miesięcy temu robiłyśmy je razem z Bogną – pomyślała. – Ależ to było dawno. Kilka miesięcy? Raczej w ubiegłym roku... Co z tego, i tak się nie nauczyłam. Nie cierpię babrania się po łokcie w mące – pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Głodnyś? – zagadnęła Dropsa, który ocierał się o jej nogi. Sięgnęła do torby z kocim jedzeniem, wyciągnęła przysmak. Od kiedy Bogna leżała na górze, Justyna miała odwagę kupować suche kocie przysmaki. Huberta to nie obchodziło, Bogna miała inne problemy, a Justyna satysfakcję z podjęcia niezależnej decyzji, nawet tak małej. No i Drops – ten miał bezrefleksyjną radość z delikcji.

Właściwie jedyne, co Justyna przyswoiła z lokalnej kuchni, to proziaki. Szybkie ciasto wyrastające na srodzie, do tego kwaśna śmietana, cebulka albo po prostu dżem, bo okazało się, że Hubert lubił je także w wersji na słodko, jako poobiedni deser, choć podobno było to danie śniadaniowe. Tak twierdziła teściowa.

Dla Huberta jednak musiała przygotować konkretny obiad. Wczoraj skończył żniwa. Pola pozostały puste, z daleka wyglądały jak złoty dywan w nieregularne brązowe wzory. Całe szczęście, że drogę mam przed oknem, widzę coś więcej niż tylko pustkę. Jesień jest straszna – rozmyślała Justyna, rozgrzewając patelnię. – Żeby jeszcze chociaż był tu jakiś sad. Zrywałabym z drzewa jabłka, gruszki, takie prosto z drzewa pachną, oko cieszą kolorem. A tutaj – tylko żółty smutek.

Zapach i kolor jesiennych owoców Justyna poznała w sadzie u sołtysów. Któregoś dnia wybrała się na spacer do wsi, Drops wymknął się z nią, choć zwykle nie pozwalała mu wychodzić.

– Po wsi psy latają, co się będziesz narażał – mawiała, pieszcząc szarą kocią sierść. Drops się wypręzał, mrucał i zwykle zostawał w domu. Tego dnia jednak wybiegł, zanim Justyna zdążyła zamknąć drzwi, i wyraźnie nie miał ochoty wrócić na ciepłe legowisko.

– A chodź, moja łazęgo – powiedziała do zwierzaka.

Poszli razem do sklepu, gdzie Magda rzuciła zachwyconemu Dropsowi kawałek skóry z kurczaka.

– On takich rzeczy nie jada – stwierdziła z przestraszeniem Justyna. – Wszystko gotowane dostaje.

Magda spojrzała na nią z politowaniem.

– To kot tutejszy. Wiejski chów, dachowiec, nie przerasowiony rodowodowiec. Nie martw się. Wszystkie koty tutaj jadają to, co ludziom zostanie. Tylko dla ciebie sprowadzam kocią karmę.

Uśmiechnęły się. Wszedł następny klient, Justyna zabrała siatkę z zakupami i pożegnała się. Gdy otworzyła drzwi, Drops wyskoczył i ruszył w stronę wsi.

– Idziemy do domu! To w przeciwną stronę – powiedziała Justyna. Kot nie posłuchał. Przeszedł kilka metrów, usiadł i patrzył na panią, przekrzywiając łebek. Jak pies – pomyślała Justyna. – Gdzieś mnie prowadzi. Niech mu będzie.

Przeszli aż do domu sołtysów, gdzie Drops ulotnił się niespodziewanie, jakby się zdematerializował.

Podwórce było ciche, chodziło po nim kilkanaście kur, poza tym nie było nikogo więcej. Całe szczęście, jakbym znów usłyszała taką ciszę jak poprzednio, pewnie bym uciekła – pomyślała Justyna.

Kot, jak się okazało, doskonale znał gospodarstwo. Kiedy ty się tutaj wymykasz? – zastanowiła się Justyna. Poszła jednak za zwierzakiem na tyły, do stodoły, skąd niedługa polna droga prowadziła do dużego sadu. Stamtąd dochodziły głosy i śmiechy, tam ją prowadził Drops.

– A dzień dobry! – Sołtys się uśmiechnął.

Natychmiast wokół Justyny zrobiło się gwarno. Śliwki zbierała cała rodzina. Dziadkowie, rodzice, dzieci, wnuki. Każdy robił „coś”.

– Przyjdzie do nas za miesiąc. Jabłka będą – powiedziała sołtysowa. – I gruszki.

– One już pachną – wtrącił jeden z chłopców, których Justyna nie odróżniała. Za każdym razem miała wrażenie, że dzieciaki u sołtysów niekontrolowanie się mnożą w oczach. – Spróbuj. – Podał jej ledwo zaczerwienione z jednej strony jabłko.

– Kwaśne jeszcze, niedojrzałe – strofowała go babka.

– Ja tam kwaśne lubię – odpowiedział dzieciak i pobiegł w głąb sadu.

Justyna przyłożyła owoc do nosa i zakręciło jej się w głowie. Poczwała zapach powietrza, przestrzeni i wolności, o ile wolność może mieć zapach. Być może właśnie tak pachniała – jak świeżo zerwane, niedojrzałe jabłko.

Przez sołtysów zawsze witana była serdecznie i nigdy nie wyszła z pustymi rękami. „Dobrodziejka” – tak o niej mówili, choć Justyna była tym określeniem skrepowana. „Ja nic nie zrobiłam” – odpowiadała za każdym razem, a oni tylko kiwali głowami i dokładali jajek albo świeżo upieczonego chleba.

– Dzisiaj Drops mnie do was przyprowadził – powiedziała z uśmiechem.

– Dobrze kocisko – odpowiedziała sołtysowa. – I jemu dobrze. Odżywiony, włos błyszczący, byle czego nie ruszy. Trafiliście na siebie.

– Chyba tak. – Justyna się zaśmiała. – Pójdę już, Dropsa tylko znajdę.

– Sam się znajdzie – wtrącił sołtys. – Ciągłe do nas przychodzi, drogę zna.

Justyna pożegnała się i wolnym krokiem wróciła do domu, machając siatką z zakupami jak dziewczynka workiem ze szkolnymi kapciami.

Teraz, stojąc w kuchni, przypomniała sobie zapach świeżych jabłek. Zakręciło jej się w głowie, obok usłyszała głos mężczyzny strofującego pracownika.

– Nie rzucać nimi, do licha! – mówił zirytowany.

– Tato, tato! – Dziewczynka w białej sukience, z włoskami związanymi błękitną jedwabną wstążką podbiegła do mężczyzny. Jego twarz zmieniła wyraz – zmiękła, uśmiechnął się, a oczy nabrały ciepłego blasku, jakim może napełniać je tylko miłość. – Mogę jabłko?

– Między innymi dlatego nie wolno nimi rzucać – znów zwrócił się mężczyzna do pracownika, po czym wybrał dorodny owoc, czerwony z jednej strony, powąchał i z zadowoleniem podał córeczce.

– Anno, tylko nie pobrudź sukienki, mama byłaby niepokieszona – powiedział do córeczki, podnosząc ją i kręcąc młynka. Dziewczynka zapiszczała uradowana. – Weź też dla Mirandy – poprosił, stawiając dziewczynkę na ziemi.

Justynę do przytomności doprowadził zapach przypalanego mięsa. Porcja kotletów ciut za długo leżała na gorącej patelni. Na szczęście nic wielkiego się nie stało.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze pójdę do Magdy i zdążę na autobus o trzynastej – pomyślała.

Zanim nakryła do stołu, umyła jeszcze podłogę. Ustawiła na stole dwa talerze, Hubert usłyszał brzęk sztućców. Pojawił się na schodach, gdy odlewała ziemniaki.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do męża.

Kiwnął tylko głową. Po śniadaniu położył się z bólem głowy, wyglądało na to, że ćmienię w płacie czołowym wcale mu nie przeszło.

– Co tak wcześnie? – zapytał bez emocji.

– Szykuję na popołudnie. Do sklepu jeszcze muszę wyskoczyć, żeby wszystko było gotowe, jak wrócę. Ciągłe cię boli? – zainteresowała się, widząc skrzywienie Huberta.

– Jak cholera – burknął. – Czym ty mnie karmisz? Jak matka gotowała...

– Myślę, że po prostu przepracowałeś się na kombajnie. W słońcu, całe dnie. Kawał roboty za tobą.

– Brzuch od kombajnu nie boli.

– Brzuch? Mówiłeś, że głowa? Może kropli na żołądek ci dam?

– Jak matka gotowała – zdecydował się dokończyć wcześniej rozpoczętą myśl – brzuch nigdy mnie nie bolał.

– Kochanie – odpowiedziała Justyna najdelikatniej, jak umiała. – Połóż się może jeszcze.

Hubert przeszedł do salonu i wyciągnął się na kanapie.

– Pójdę do sklepu, obiad podam, jak wrócę. Ziemniaki zasmażane, kotlety mielone i mizeria, jak lubisz, z tłustą śmietaną. Po takiej ciężkiej pracy musisz konkretnie zjeść.

Hubert nie odpowiedział, zajęty wybieraniem programu.

Posprzątała. Umyła podłogę jeszcze raz, na wszelki wypadek. A nuż został jakiś paproch?

Wyszła z domu, trzymając rękę w kieszeni. Wciąż nosiła tam zapomniany szyld od domowej klamki. Właściwie wcale nie zapomniany. Gdy była w domu lub tuż obok i trzymała w ręce coś, co z niego pochodziło, cokolwiek – wizje jej nie nachodziły. Właściwie nie przeszkadzało jej „widzenie”. Od dziecka była przyzwyczajona do obrazów, których nie widzieli inni ludzie. Jednak te transy... Były niepokojące. Takiego słowa wolą używać. Justyna bała się ich, a nie mogła przerwać żadnego w trakcie. Mogła tylko zapobiegać – trzymając dłoń, na przykład, zaciśniętą na okrągłym szyldzie od klamki. Wtedy wizje nie mogły się przebić przez... Właśnie, przez co? Wolą się nad tym nie zastanawiać.

Było południe, panował skwar, choć słońce chowało się za chmurami. Będzie padać – pomyślała Justyna. – Dobrze, że zboża już w spichlerzach. Przystanie wreszcie tak kurzyć.

To było coś, do czego nie mogła się przyzwyczaić na wsi. Wszystko potrafiła zrozumieć, nawet ciężką rękę Huberta. W końcu mężczyzna czasem musi zaprowadzić ład. Chociaż jej ojciec nigdy tego nie robił, przynajmniej tego nie pamiętała. Lepiej było tej myśli nie rozpamiętywać. Nie międlić jej na języku, wyrzucić z głowy.

Jednak wечно brudne buty, nawet po krótkim wyjściu z domu, wytrącały Justynę z równowagi. Teściowa śmiała się z niej, że wciąż czyściła obuwie – po to, by po kilku krokach wyglądało tak samo. Właściwie w ogóle nie wyglądało. Śmiała się ze mnie, dopóki mogła – pomyślała Justyna nie bez drobnej satysfakcji.

Teraz wolą nie patrzeć na swoje buty, nie rozmyślać o teściowej i nie oglądać się za siebie. Nie spoglądać w stronę lasu. A może jednak?

Doszła do sklepu lekko zmęczona. Magda siedziała na zapleczu wyraźnie nie w sosie.

– A tobie co? – zapytała Justyna z prawdziwym zainteresowaniem.

Magda wzruszyła ramionami. Głową wskazała Justynie stołek po drugiej stronie niewielkiego stolika.

– Czas mnie goni.

– Że co?

– Za mąż powinam.

Justyna spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Nie patrz tak! – zirytowała się Magda.

Justyna uniosła prawy kącik ust.

– Jak?

Magda westchnęła.

– Powinam się ustatkować.

- A mówi tak...?

Magda nie odpowiedziała.

- Kto ci takich głupot nakładł do głowy?

- Czas - odpowiedziała Magda, przygryzając dolną wargę. - Powinam już bawić słodkiego bobaska. Przecierać mu zupki z własnych warzyw i wycierać dupkę.

- Że zegar biologiczny tyka ci jakby wyraźniej?

- Umiesz nazwać rzeczy po imieniu.

- Ale masz już kandydata?

Magda wzruszyła ramionami.

- Jest taki jeden...

- Podoba się tobie czy twojej matce?

Znów wzruszenie ramion.

- Jest... Taki sobie. Zwykły chłopak.

- Taki jak wszyscy inni?

- Właśnie. Nie gorszy - stwierdziła Magda, unosząc brodę.

Justyna nie odpowiedziała. Wstała i zdjęła z siebie cienki niebieski blezer. Ostatnio podobało jej się wszystko, co niebieskie. Widocznie potrzebowała tego koloru.

- Jest tak samo dobry jak Hubert, prawda? - zapytała przyjaciółkę, już stojąc.

- Może aż tak dobry nie jest. - Magda zaśmiała się cicho.

Justyna pociągnęła za jeden rękaw.

- Gorąco ci? - zainteresowała się Magda.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedziała Justyna. - Ciarki mi chodzą po plecach.

Podciągnęła drugi rękaw, po czym wystawiła ręce w stronę przyjaciółki.

- Twój będzie równie dobry?

Magda zamrugała. Siniaki na rękach Justyny przechodziły już w kolor zgniłej, pożółkłej zieleni. Niektóre wciąż raziły intensywnym fioletem.

- Tęcza jest wieloetapowa. Regularna i metodyczna. Niektóre wzory wychodzą bardzo ładne, aż mam ochotę je narysować. W latach siedemdziesiątych sukienka w takie mazaje to był szczyt mody. Może kiedyś moda wróci, będę miała projekt jak znalazł.

Magda otworzyła usta, nic jednak nie powiedziała.

- Hubert nie jest zły - kontynuowała Justyna, zakładając blezer. - Jest taki sam jak wszyscy. Chłop jak baby nie bije, to jej wątroba gnije. Moja ma się świetnie. A co w tym najlepsze, reklamacji nie ma. Więc jak ma być taki jak inni...

- To chyba zostanę panną z dzieckiem - dokończyła Magda.

- Jesteś w ciąży? - zainteresowała się Justyna.

- A Boże broń. Ale zawsze mogę być.

- Jeśli chcesz, to bądź. Ale nie rób niczego dlatego, że inni uważają to za właściwe. Dasz mi dwie paczki herbaty i mąkę? I tartą bułkę, skończyła mi się, a pieczywa ostatnio nic u nas nie zostaje.

- Bogna to już w ogóle na wieś nie wychodzi.

- Ja tam nie wiem, co jej jest - odpowiedziała Justyna, pakując sprawunki. - Leży tylko i jęczy. Schudła przeokropnie, lekarz był, nawet do szpitala ją woziliśmy. I co? I nic. Leży i chudnie dalej. Pokrzydłowa zioła donosi, parzę regularnie. Poję nalewkami. Znachorka nawet rytuały odprawiała, okadzała, czarowała, swoje modlitwy szeptała. I nic.

- Widziałas czary Pokrzydłowej?

Justyna kiwnęła głową.

– Wystawiła ręce, i nad nalewkami, i nad Bogną. Nad butelkami to tylko szeptała swoje zaklęcia, ale nad świekrą to aż cała drżała. Stała tak i mruczała, ręce jej latały, w górę i w dół, trochę na boki. Trzęsła się, od stóp aż po czubek głowy. Jakby... Tak sobie wyobrażam delirium. Niekontrolowany dygot, coś krępująco gwałtownego, wręcz nawet osobistego. Miałam poczucie, że uczestniczę w czymś bardzo intymnym.

Magda rozłożyła ręce.

– A można się tylko modlić.

– To i właśnie idę do kościoła. Ale wiesz co? – Justyna popatrzyła na przyjaciółkę z niepewnym uśmiechem. – Może... poszłybyśmy do kapliczki? Pomodlić się?

– A Boże broń! – powtórzyła wcześniejszy zwrot Magda. – Mówiłam ci, tam jest strasznie.

– Magda, nie bądź dzieckiem. Będziemy we dwie. W ciągu dnia. W jasnym słońcu. W końcu odczujemy to miejsce. Wiejskie zabobony. Co nam szkodzi?

– Co nam szkodzi? – Zastanowiła się. – Matka mnie zabije.

– Nie zabije, bo na wnuka czeka.

– A wiesz co, właściwie czemu nie? Któregoś słonecznego dnia.

– Któregoś bardzo słonecznego dnia – skwitowała Justyna i wyszła z sklepu.

Szła w stronę domu, mając przed sobą sosnowy las. Najzwyklejsze pod słońcem zbiorowisko wysokich sosen. Jakich wiele na całym świecie. Na wszelki wypadek jednak trzymała rękę w kieszeni.

Nie mogła oderwać wzroku od ściany zieleni. Dopiero gdy w polu jej widzenia pojawił się dom, odetchnęła. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że oddychała płytko, zatrzymując każdy haust powietrza długo w płucach.

Oparła się plecami o ścianę domu, przymknęła oczy. W drzwiach najpierw usłyszała telewizor.

– Już podaję obiad – powiedziała do Huberta pozornie niezainteresowanego.

– Co tak szybko? – odpowiedział.

– Do Przemyśla jadę – odpowiedziała. – Muszę...

– Nic nie musisz – odpowiedział. – I nigdzie nie pojedziesz.

## Rozdział 24

– Gdzie znowu łazisz? – Hubert pólleżał przed telewizorem na kanapie. Ku zdziwieniu Justyny oglądał serial, nie mecz.

– Na gorze byłam, zaniosłam mamie...

– Nie o matkę pytam. Na pole szłaś.

– Do sklepu poszłam i do ogrodu. Rzodkiew wypieliałam, marchwi narwałam, do obiadu potrzebna.

– Ty mi oczu nie mydl. O las pytam, ślady widziałem. Gdzie łazisz?

Justyna zacisnęła wargi. Mogła być ostrożniejsza. Hubert wprawdzie ostatnio głównie spędza czas na kanapie, chudnie i jeść nie chce, ale przecież z domu się rusza. Gospodarstwa dogląda, choć mało.

Justyna z Magdą zrobiły tak, jak postanowiły. Ekspedientka podeszła pod dom, żółtą drogą poszły razem w stronę sosen, minęły las bokiem, ledwo go zauważyły. Las jak las. Dopiero za zakrętem Justyna poczuła mrowienie w dłoniach, usłyszała cichy głos w głowie i dostrzegła mgłę na skraju widzenia. Odruchowo chwyciła Magdę za rękę, co przyjaciółka przyjęła ze zdziwieniem, ale bez oporów. Trzymając się za dłonie jak dwie nastolatki, doszły do kapliczki. Zwykle Justyna czuła tutaj wielki ciężar, każdy krok był wysiłkiem, ale teraz szły lekko. Justyna pomyślała nawet, że mogłaby podskakiwać, dlaczego nie.

Także przy samej kapliczce nie odczuła żadnej zmiany. Chociaż... Brzoza nie otulała białej kolumny zazdrośnie, odchyłała gałęzie na boki, prezentując Maryję Pannę w niebieskiej sukience. Dostrzegła, że w niektórych miejscach spod modrej farbki prześwitywała złota. Justyna była przekonana, że zwykle figurka miała zboląły wyraz twarzy, że była cierpiącą matką, od początku świadomą straszliwej męki syna. Tego dnia statuetka bardziej przypominała uśmiechniętą Barbie.

Magda usiadła na skraju drogi, przodem do białego słupa.

– Dziękuję, że mnie tu przyciągnęłaś – powiedziała leniwie. – W życiu sama bym tu nie przyszła, a jak widać, nie warto głupot słuchać. Pięknie tu, cicho i spokojnie.

– Żniwa skończone, to i nikogo na polach nie ma. I po deszczu się tak nie kurzy – odpowiedziała Justyna.

– I nawet na drodze błota nie ma.

– Było strasznie sucho. Ziemia pewnie dużo więcej deszczu by przyjęła, i to z wdzięcznością. Chociaż na polach to chyba blocko po kolana.

– Jak z drogi zejdziesz, to pewnie – odpowiedziała Magda. – Zabrałam kanapki.

– A ja się zastanawiałam, na co ci ten plecak. Super, zgłodniałam. Ja za to mam wodę.

– Uzupełniamy się jak syjamskie siostry. – Magda się zaśmiała.

Siedziały na rozłożonym kocu, o którym też pamiętała Magda, rozmawiały o wszystkim i o niczym. Zjadły kanapki, wypily większość wody. Magda położyła się, ziewnęła. Chyba zasnę – powiedziała.

Justyna się uśmiechnęła. Też była senna, ułożyła się obok Magdy.

Gdy tylko zamknęła oczy, zapadła w płytki sen. Postać w jasnej zwiewnej sukience ze śmiechem uciekała przed nią. Justyna gonila ją, słyszała własne sapanie. Spojrzała na swoje buty. Były ciężkie i zabłoczone, jeden przewiązано sznurkiem. Gdy podniosła głowę, była zupełnie gdzie indziej. Mara już nie uciekała, leżała przed nią na ziemi jak odcinająca się od podłoża szmatka. Widać było tylko białą dłoń, reszta skrywała się pod materiałem jak pod całunem.

Raptem postać się uniosła. Na wysokości swojej twarzy Justyna zobaczyła czaszkę okoloną długimi blond włosami.

– Jestem tu tylko dla ciebie – usłyszała. – A ty masz tu przychodzić do mnie. Dla mnie. Sama. Ty musisz mi pomóc. Każdy inny to intruz.

Justyna się nie bała, choć postać wystawiała w jej stronę ręce, właściwie kości. Poruszała szczęką, jakby się uśmiechała? Justyna odsunęła się, postać syknęła.

– Nie uciekniesz ode mnie. Nie uciekniesz. Nie uciekniesz...

Dziewczyna się ocknęła. W północy przywarła do śpiącej spokojnie Magdy. Mara zniknęła. Spały tak pół godziny. Justyna przebudziła się pierwsza. Czekwała, aż przyjaciółka się ocknie, w tym czasie podziwiała okolicę.

Brzoza świeciła białym pniem niczym rozświetlona latarnia. Justyna spojrzała na zegarek. Czternasta piętnaście – pomyślała. – Czas wracać do domu. Obiad muszę podać.

– Chyba czas wracać do domu – powiedziała Magda, gdy zbudziła się ze snu. – Czas na obiad. I dziękuję, że mnie tu przyciągnęłaś. Sama w życiu bym nie przyszła. Pomogłaś mi odczarować zabobon.

– Bo lękom trzeba stawiać czoła. Stanąc przed nimi i odważnie usunąć je z naszej drogi.

– Kaznodzieja? – zakpiła Magda.

– Wróćmy przez las – odpowiedziała lekko urażona Justyna, a widząc skrzywienie Magdy, dodała: – Przecież już odczarowaliśmy!

Magda nic nie powiedziała, z wahaniem jednak skierowała się w stronę zielonej ściany.

– Ja tam już chodziłam – powiedziała odważnie Justyna.

– I? – odruchowo zapytała Magda.

– I żyję.

Wśród gałęzi było tylko trochę ciemniej. Justyna zapamiętała las jako znacznie mroczniejszy, gęstszy. Teraz jednak konary nie stykały się, nie zamykały widoku nieba, pozwalały światłu słońca opadać aż do ściółki. Dziewczyny szły prostą, piaszczystą ścieżką, wkrótce za nimi pozostał tylko prześwit, jakby brama do świata bez lasu. Zbliżyły się do polany, Justyna zadrżała. Chwyliła Magdę za rękę.

– Boisz się. – Magda uśmiechnęła się trochę kpiąco.

– Ja nie, ale ty tak – odparła Justyna.

– Właściwie racja.

Przystanąły na skraju idealnie okrągłej łąki, na której nie rósł ani żaden krzaczek, ani jedna dziczka. Jakby ktoś zaplanował układ ogrodniczy: dookoła wysoka po kolana kostrzewa, na środku niska trawa, zielona jak trawnik przed angielską rezydencją.

– Pięknie tu. I spokojnie – powiedziała Magda, rozglądając się. – Nie miałam pojęcia, jak tu cudnie. Ludzie to głupoty opowiadają.

– Prawda? – odpowiedziała nieuważnie Justyna, trzymając cały czas dłoń przyjaciółki.

Tymczasem Magda patrzyła w jedno miejsce. Przyciągało ją, wołało. Wreszcie powiedziała:

– Położyłabym się na środku.

I ruszyła. Justyna natomiast poczuła zawrót głowy. Usłyszała śmiech. Radosny, dziewczęcy, oddalał się, ruszyła za nim.

– Justyna! – zawołała ją Magda. – Chodź tutaj, jest obłędnie! Tu rosną stokrotki!

Justyna ocknęła się, wzięła głęboki oddech. Ruszyła za przyjaciółką, w tle usłyszała krzyk. Pełen złości, głośny jakby warkot.

– Nie wróć – powiedziała cicho i biegiem dołączyła do Magdy.

– Już pospałyśmy, daj spokój – powiedziała, widząc, że przyjaciółka znów rozkłada koc.

– Może to i racja. Późno, czas obiad podawać – odpowiedziała Magda.

Justyna usłyszała w jej głosie nieznaną wcześniej nutę. Odwróciła przyjaciółkę przodem do siebie i położyła ręce na jej ramionach.



– Idziemy do domu, natychmiast – mówiła spokojnie, bardzo stanowczo.

– Chcę tu odpocząć – odpowiedziała Magda płacząco.

– Hubert mnie zbije, jeśli nie podam zaraz obiadu.

Magda sprawiała wrażenie, jakby ocknęła się z letargu.

– Idziemy – powiedziała z uśmiechem.

Las zaszumił, nic się jednak nie zmieniło. Justyna kurczowo trzymała rękę przyjaciółki, drugą w kieszeni zaciskała na szyldzie od klamki.

Gdy wyszły z lasu, uderzyło je słońce.

– Wydawało mi się, że to taki rzadki las, że jest tam jasno – powiedziała zdziwiona Magda.

– Prawda? Co słońce, to słońce. Warto wyjść z lasu na słońce – odpowiedziała Justyna z bladym uśmiechem. – Pójdę na skróty, będzie szybciej.

– Jasne. – Magda odetchnęła z zadowoleniem. – Jestem bardzo zadowolona. Świetny spacer. Powtórzymy go kiedyś.

– Na pewno – przytaknęła Justyna.

Magda szła drogą, wystawiając twarz do słońca. Plecak założyła na jedno ramię, zsunął się, chwyciła go w dłoń i machała nim jak workiem. Justyna spoglądała na przyjaciółkę, przemierzając pole w poprzek. Na części było jeszcze rżysko, fragment jednak, niedaleko domu, był już zbronowany. Dziewczyna zapadała się w miękką ziemię, uznała jednak, że nie warto już wracać do drogi. Z niechęcią pomyślała o zabłoconych butach.

– Zostawię je na zewnątrz, takiego gnoju do domu nie wniosę – postanowiła z westchnieniem.

Weszła do domu po cichu, na boso, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Skierowała się od razu do kuchni, gotowy obiad czekał na odgrzanie. Umyła ręce, zaniósła teściowej zioła. A gdy schodziła, uderzyło w nią to pytanie.

– Gdzie znowu łąsisz?

Kręciła. Nie miała przygotowanej odpowiedzi.

– Ty mi oczu nie mydl. O las pytam, ślady widziałem. Gdzie łąsisz?

– Spacer z Magdą, nic takiego.

– Do lasu miałaś nie leźć. A ta sklepowa to jest od siedzenia za ladą, a nie od ciągnięcia cię po polach. W domu ci źle?

– Skądże, obiad zaraz będzie, nie denerwuj się.

– Nie denerwuj? Nie denerwuj? Ręka mnie świerzbi, jak Boga Kocham i Najświętszą Panią, bardzo świerzbi.

– Już odgrzewam. – Justyna z niechęcią pomyślała o mężowskiej gotowości. Powiedziała jednak: – A potem może... popracujemy?

Hasło, oczywiście, dotyczyło pracy nad dzieckiem. Na to Hubert zawsze reagował dobrze. Nie odpowiedział wprawdzie, ale też przestał zadawać pytania.

Justyna zajęła się obiadem. Klaps spadł niespodziewanie. Nie słyszała, jak mąż wszedł do kuchni. To była jego pieszczota. Klepanie po tyłku było hubertowym wyznaniem miłości.

– Co do żarcia? – zapytał.

– Mielone, tłuczone ziemniaki, mizeria i surówka z marchwi – odpowiedziała z uśmiechem. Lepiej było się uśmiechać. Surówkę zdążyła zetrzeć, gdy kotlety się grzały.

Standardowy zestaw – pomyślała. Mielony albo schabowy. Ma, co lubi.

Hubert uniósł brwi.

– I pomidorówka – dodała pośpiesznie Justyna.

Kiwnął głową z zadowoleniem.

– Tylko żeby taka jak mojej matki – powiedział. – Idę mecz obejrzyć, zaczyna się zaraz. Zawołaj.

Zawołam, zawołam – pomyślała Justyna. – Byle nie za szybko. A ty i tak smaku nie rozpoznasz. Jak twojej matki, akurat. Zjesz, co dam, byle ci się zdawało, że jest takie, jak chcesz. Wystarczy się pouśmiechać i dupy dać. Ach – zakończyła z westchnieniem, ale po cichu, żeby nie przeszkadzać mężowi.

Zawołała Huberta półgłosem, jak już zupa stała na stole. Zjadł, ale miała wrażenie, jakby cedził oddzielnie każde ziarnko ryżu. Przy drugim daniu odstawił talerz, ledwo spróbowałszy kotleta.

– Nie smakuje ci? – zapytała z troską Justyna.

– Dobrze – odpowiedział nieuważnie.

– Mało jesz ostatnio. Schudłeś.

– Zmęczenie. – Wzruszył ramionami. – Po żniwach. Normalka.

– Martwię się.

– Nie bój żaby, dobrze będzie. – Uśmiechnął się i Justyna przez chwilę zobaczyła swojego dawnego Huberta, w którym się zakochała i za którego wyszła za mąż. Tylko niebieskość stała się matowa.

– Martwię się, że to jakaś choroba. Jak u twojej mamy.

– Mama stara jest, to i choruje – odpowiedział ze zniecierpliwieniem.

Teściowa? Stara? – pomyślała Justyna. – Pięćdziesiątki jeszcze nie ma.

Nie zaprotestowała jednak. Skoro mąż tak mówi, tak jest.

– Zaniosę mamie obiad, a potem... – zawahała się – musimy porozmawiać.

– Po meczu – odpowiedział. – O czym chcesz gadać?

– Muszę pojechać do Przemysła.

– Znowu cię nosi? Po co? Wszystko u swojej sklepowej masz. Sprowadzi ci, co zechcesz.

– Po lekarstwa dla mamy.

Wzruszył ramionami.

– I jeszcze... – zaczęła Justyna.

Nie doczekała się odpowiedzi.

– I jeszcze o opiece nad mamą. – W końcu zebrała się na odwagę.

– O czym tu gadać?

– Nie daję rady...

– Nie przesadzaj! Jak potrzebujesz, pomogę. Tylko wysadzać własnej matki nie będę.

– No właśnie. A mnie ciężko.

– Do zakładu własnej matki nie oddam – powiedział twardo. – Przesuń się. Zasłaniasz.

Justyna wstała i przestawiła krzesło.

– Powiedz tylko, że mogę...

– Wszystko możesz – odpowiedział. – Ale matki nie.

Justyna zrozumiała, że nie porozmawiają w tej chwili.

Żeby tylko jeszcze taki spostrzegawczy nie był. Ślady na polu, też mi coś. Następnym razem pójdę drogą. Dobrze, że dzisiaj nie chciało mu się znowu pasem łąć.

## Rozdział 25

Magda szła drogą. Uśmiechała się, niosąc ze sobą siatkę, a w niej kilka sprawunków dla przyjaciółki. Justyna obserwowała ją przez kuchenne okno. Znowu wszystko pyli – pomyślała. W sumie lubiła deszcz. Spłukiwał brudy, zostawały czyste powierzchnie, można było zaczynać od początku. Od zera, od pustej kartki.

Magda zostawiła buty przed wejściem. Dzięki Justynie, a może przez nią, zaczęła zwracać uwagę na brudne obuwie. We wsi wszyscy mieli zaświnione. Odróżnianie się pod tym względem było trudne, choć dla niej i tak najłatwiejsze. Pod sklepem był asfalt, do domu mogła dojść suchą stopą nawet zaraz po deszczu. Ale tutaj? Polna droga do domu Justyny albo była sucha, wtedy kurz osiadał nie tylko na butach, ale również na całym człowieku, albo zabłocona. Wtedy stopy były brudne aż po kostki.

Teraz Magda czuła się zakurzona.

– Fajnie, że jesteś – powitała ją Justyna.

– Czuję zapach ciasta. – Magda zatrzymała się w wejściu do jadalni i zamknęła oczy. Wciągając głośno powietrze, powiedziała: – Śliwki z sadu sołtysów, drożdże z mojego sklepu, ręka wytrawnej gospodyni.

– Dla ciebie pieczone. – Justyna się uśmiechnęła.

– Dla mnie? Masz jeszcze męża i teściową.

– Bogna ostatnio nie je prawie nic. Wygląda jak kościotrup obciągnięty skórą. A Huberta, szczęśliwie, nie ma.

– Swoją drogą, trochę to kuriozalne, nie uważasz? Dzwonisz do mnie, gdy mąż akurat wyjechał na akcję.

– Przecież wiesz, że nie dałby nam pogadać. Okazałoby się, że seler wymaga wypielenia albo matkę trzeba akurat przewinąć. – Justyna machnęła ręką. – Całe szczęście, że ma te swoje strażackie wypadki. Latem całymi dniami siedzi w polu, to przynajmniej go w domu nie ma.

– No właśnie dlatego mi nieśpieszno za mąż.

– Mądra dziewczynka. Tamten adorator już ci zbrzydł?

– Od początku nie był mi ładny – prychnęła Magda.

– Nie złość się – łagodziła Justyna.

– Co ja poradzę, że matka mi głowę ciągle truje? Wnuka daj i wnuka daj.

– A ty chcesz?

Magda się zamyśliła.

– Nie wiem.

– To nic na siłę.

– Cudownie. – Magda zmieniła temat, patrząc na talerz z wielkimi kawałami ciasta. – Najbardziej lubię kruszonkę.

– Dlatego tyle jej jest. – Justyna się zaśmiała. – Specjalnie dla ciebie.

– Słuchaj – zaczęła Magda po długiej chwili. W tym czasie zdołała zjeść prawie cały kawał drożdżówki.

– A ty nie zamierzasz... No wiesz?

– Dziecka? Ja nie chcę, Hubert chce bardzo.

– Nie o to pytam.

Justyna spojrzała na przyjaciółkę pytająco.

– No wiesz...

– Nie wiem.

– Nie zamierzasz się rozwieść?

Justyna pokręciła głową ze zdziwieniem.

– No bo takie siniaki... Ty jesteś z Warszawy, tam są inne obyczaje. Tu na wsi nikogo jeden czy dwa kuksańce nie zabola, ale twoich jest dużo... No i u nas rozwodów nie ma.

– Nie martw się – odparła spokojnie Justyna. – Nie zamierzam. Sama mówisz, jeden czy dwa kuksańce da się przeżyć.

Magda pokiwała głową. Udała, że nie widzi, jak Justynę nagle zaswędziały ręce. Jak drapała je przez rękawy. Nigdy nie komentowała, że nawet w upały sukienki przyjaciółki były zabudowane. I że Justyna używała podkładu, czego żadna inna kobieta we wsi nie robiła. Uchodziło jej to na sucho wyłącznie dlatego, że była miastowa. Rok czy dwa to za mało, by pojąć wieś – mawiały sąsiadki, wzdychając.

Zarówno Justyna, jak i Magda rozumiały, że lepiej wzdychać niż dociekać. A sąsiadki wołały nie dokucać Justynie z powodu podkładu. A nuż któregoś dnia wyszłaby na wieś, nie przykrywszy ciemnych plam? Musiałyby wtedy zauważyć. A lepiej nie.

– Schowaj zakupy – powiedziała Magda. Przyniesiona przez nią siatka wciąż leżała na kuchennym blacie.

– Jasne – przytaknęła z uśmiechem Justyna.

Magda przyglądała się przyjaciółce.

– Co się dzieje? – zapytała, patrząc, jak Justyna nieuważnie rozkłada mąkę i twaróg.

Justyna odstawiła zakupy na blat.

– Wszędzie widzę dużo fioletu. Bardzo ciemnego. Czasem jest prawie czarny, częściej wpada w odcień brązowego. Ty jesteś teraz... jakby wyjęta. Jakbyś była plamą światła na ciemnym tle. Dookoła ciebie jest fiolet.

Magda przygryzła wargę. Kilkakrotnie rozmawiały na temat widm Justyny. Choć Justyna niechętnie opowiadała szczegóły, Magda usłyszała także o wizjach i kolorach. Pomarańczowy i niebieski – dobre. Różowy i zielony – w miarę dobre. Czerwony i żółty – złe. Fioletowy, brązy i czarny – fatalne. Tyle powiedziała jej Justyna. A teraz Magda nie wiedziała, co powiedzieć.

– Boję się – dodała jeszcze Justyna.

– Oby to nic z Hubertem – powiedziała Magda.

– Oby.

– Bo Bogna... – Magda zawiesiła głos.

– Jest stara – uzupełniła cicho Justyna. – Ale jest matką Huberta. – Spuściła wzrok.

– U księdza byłaś?

– Oszalałaś? Ja u księdza?

– Do kościoła chodzisz.

– Wyobrażasz sobie, żebym nie chodziła? – Justyna się zaśmiała.

– Dewotki by cię zjadły na śniadanie.

– Właśnie. Nawet nimb Warszawy by mnie nie uchronił. Dlatego chodzę i daję na tacę, jak trzeba. Ale rozmawiać z księdzem?

– Po kolędzie przyjechałaś.

– My go nawet w domu przyjmujemy i bez kolędy. Przecież Bogna w każdą niedzielę próbuje się podnieść i każe prowadzić do kościoła. Sama nie chodzi, ja jej podtrzymać nie dam rady, nawet z Hubertem. Więc ksiądz przychodzi do nas dwa razy w miesiącu.

– Czyli z nim rozmawiasz.

– Ale nie na temat wizji! Litości, zaleciłby egzorcyzmy.

– Może by ci się przydały.  
Justyna wywróciła oczami.  
– Dobra, nic już nie mówię – powiedziała Magda. – Jedziesz w końcu do tego Przemysła?  
– Muszę. Mam lekarstwa do odebrania dla Bogny.  
– Odbierzesz mi paczkę?  
– Pewnie – przytaknęła z uśmiechem Justyna. – Sama też mam paczuszkę do odebrania.  
– Co kupiłaś?  
– Troszkę. – Machnęła ręką. – Spódnice i dwie bluzki. I buty.  
– To faktycznie drobiazg – skwitowała ironicznie młoda ekspedientka.  
– Przyganiał kocioł...  
– Uciekam. Nie chcę nadużywać uprzejmości mojego zastępcy. – Magda się pożegnała.  
– Przecież to twoja matka.  
– Ale będzie gadane. Co ty tam robisz, o czym wy tak pytlujecie, za robotę byś się wzięła. Sama rozumiesz.

– Rozumiem – powiedziała Justyna z uśmiechem.

A potem patrzyła przez okno na odchodzącą Magdę, aż jej sylwetka stała się miniaturowa. Usłyszała wołanie Bogny. Weszła na górę i otworzyła drzwi do sypialni teściowej.

Kobieta wyglądała jak szary kawałek płótna wepchnięty pod kołdrę. Siedziała na łóżku, ciężko dysząc.

– Mama się położy – powiedziała Justyna.

– Wołam i wołam – wyskrzeczwała Bogna.

– Dwa razy mama zawołała. Co potrzeba?

– Trzy – zaprotestowała Bogna, zupełnie jakby miało to znaczenie. – Nocnik. Kaczkę znaczy.

Justyna podała przedmiot i poczekała. Sprzątnęła.

– Coś jeszcze, mamo?

– Pić.

– Rumianku przyniosę.

– Herbaty normalnej chcę! – zażądała Bogna.

– Lekarz nie kazał.

– Lekarz, lekarz. Te konowały to nawet nie wiedzą, co dla człowieka dobre. Herbaty daj!

Justyna przyniosła napój.

– Teraz bym zjadła. Kielbasę smażoną. Albo jajko, na boczku.

– Owsiankę mamie przyniosę.

– Jajko chcę!

– Mamo, potem mamę brzuch boli. Wypróżnić się nie można po smażonym. Tylko owsianka.

– Wszystkiego choremu żałuje! Taka to, synowa, pożał się Boże.

Justyna zeszła na dół, słysząc mamrotanie Bogny. Przygotowała jedzenie, dodała witaminy i rozkruszyła trochę przypraw.

– Nie będę tego jadła! Świństwo! – powiedziała Bogna po zjedzeniu siedmiu łyżek. Tyle jej wystarczyło. Resztę rozrzuciła jednym ruchem po ścianie. Na Justynie nie robiło to już wrażenia. Starła ścierką owsiankę ze ściany i z podłogi, zabrała talerz i stanęła obok łóżka.

Śmierdzi tu – pomyślała. – Ale nie będę sprzątać ani wietrzyć nawet. Nie warto. To mama tak śmierdzi. Złością. Tego się nie da umyć. Niech tu sobie w tym smrodzie leży.

Bogna zaczęła krzyczeć, ale Justyna po prostu wyszła. Słyszała głos teściowej jeszcze długo, kiedy umyła talerz, wytarła i włożyła do szafki. Potem weszła ponownie na górę, minęła pokój Bogny i wspięła się po drewnianych stopniach na strych.

Odetchnęła wonią starości. Sprzątała tu tyle razy, ale spomiędzy desek wciąż wychodziły pokłady nowego, a może właśnie starego, kurzu. Wisiały już w oknach firanki, łóżko miało uzupełnioną ramę, Justyna przestawiła je we wnękę. Usiadła na patchworkowej kapie, którą szyla wieczorami z materiałów znalezionych w kredensie Bogny. Sięgnęła po oprawiony w szary papier pamiętnik. Po pierwszych stro-  
nach jej uwaga zmalęła. Wyblakłe słowa straciły moc, gdy opisywały kolejne meble, naczynia, dywaniki. Sięgnęła teraz po brulion, bo wołała czytać list z za grobu niż słuchać skrzeczenia Bogny.

*Co właściwie myślałam? Jak teraz żyć?*

*Przyjechałam tu dla niego. Na pewno? Dla niego? Kim on jest? To wiem. Kim był? Nie mam pojęcia. Przystojnym chłopakiem, który nad stawem, wśród drzew bogatych w dojrzewające owoce, klękał przede mną w pokorze. Który mówił mniej, niż patrzył. Jak miał mówić? Nie zna ani poezji, ani muzyki. Nie widział w życiu żadnych obrazów, poza tymi na ścianach w pałacyku mojego ojca. A i te krótko, bo przecież wcale go tam nie chciano.*

*Szlachcianka, aż się płakać chce. Mezalians, to tak ładnie brzmiało w powieściach. A ile miałam emocji! Podróż konnym wozem... Bardzo romantyczna. Ale bryczką ojca było wygodniej. Gdybym wtedy wiedziała! To przecież tylko początek. Tylko początek.*

*Dom piękny, nowy, drewniany. Nawet i dość duży. Specjalnie dla mnie. Sad. Jak u ojca. Wielka przestrzeń pól, też jak u ojca, ale tam oglądałam to na spacerach. W pantofelkach na obcasie, z jedwabną wstążką we włosach. Wszystko było piękne. Tylko ja okazałam się wyklęta.*

*Najpierw szczęście, jeszcze wtedy mogłam uciec. Czy na pewno? A potem... Potem już nie. Zniszczyły się moje ręce. Nikt we dworze nie zaakceptowałby takich dłoni! Te pola... Tutaj też wyglądają pięknie. Wyglądałyby z daleka. Nigdy nie przypuszczałam, że będę musiała wziąć w ręce snop. I sierp. Ja!*

*Wszystko bym zniosła. Wszystko. Po pierwszym dziecku... Tak było pięknie. Tak delikatny był mój mąż. Kiedy to się zmieniło? Kiedy po raz pierwszy?*

*Ale ja wszystko wybaczę. Nie mam wyjścia. Wszystko wybaczę. Tylko dlatego, że nie mam do kogo wrócić. Dobrze, że w bagażu zapakowałam kilka książek. Nie sądziłam, że będę kiedyś wdzięczna, że mogę je zachować. Że będę zmuszona prosić o pozwolenie.*

## Rozdział 26

– Jedziemy do lekarza – powiedział Hubert do matki.

Justyna nie skomentowała. Namawiała Huberta na tę wizytę od kilku tygodni.

– Nigdzie nie jadę! – zaprotestowała Bogna.

Justyna ukryła uśmiech.

– Oczywiście, mam – odpowiedział spokojnie Hubert. – Do ciebie lekarz przyjedzie. Ja jadę do doktora.

– A jedź, jedź – odpowiedziała Bogna.

Nareszcie – rozmyślała Justyna. – Schudł okropnie. Cień faceta. Niech lekarz go obejrzy i sprawdzi wszystko, jak trzeba. Nic pewnie nie znajdzie... Oby.

– Tylko wracajcie szybko. I żony pilnuj. – Bogna popatrzyła nieprzychylnie na Justynę. – Żeby znowu po konowałach się nie szlajała.

Justyna spuściła głowę. Niedoczekanie – pomyślała. – Niech ci się nie wydaje, stara prukwo, że będziesz decydować o moim życiu.

Gdy uniosła głowę, uśmiechała się. Gdyby ktoś się przyjrzał, ujrzałby bladą maskę z uniesionymi kącikami ust. Nikt się jednak nie przyglądał.

– Będę pilnował. Podać ci coś?

Wyjechali dopiero, gdy Bogna została nakarmiona, napojona i zaopatrzona w lekarstwa oraz dwa bidony z piciem. Basen stał w zasięgu ręki, na wszelki wypadek.

– Muszę podjechać do paczkomatu – powiedziała Justyna, gdy wsiedli do samochodu.

– Mówiłem, żebyś ciuchów nie kupowała!

– Dla Magdy muszę odebrać! – oburzyła się Justyna. – A dla mnie ziółka. Dla mamy właściwie, mówiłam ci. Te, co Pokrzydłowa zapisywała na kartce.

Hubert wzruszył ramionami. Skoro Pokrzydłowa zapisała, nie śmiał polemizować.

Jechali w milczeniu. Dopiero na przedmieściach Przemyśla Justyna zapytała:

– Od listopada?

Hubert kiwnął głową.

– Jesteś pewien?

– Nie – burknął.

– To może tam pojedziemy? Zobaczyć jeszcze raz?

– Do matki trzeba wracać. Żeby sama nie siedziała.

Raczej leżała – pomyślała Justyna. Głośno zaś powiedziała:

– Umówiłam się z Magdą. Jeśli się nam przedłuży, zadzwonie i ona podejdzie do nas, z matką posiedzi.

– Ta twoja Magda. Sklepu by pilnowała, nie w nasze życie nos wsadzała.

Justyna nie skomentowała.

– Najpierw przychodnia – powiedział Hubert, spoglądając na zegarek.

Lekarz zbadał Huberta, nie przejawiając zainteresowania. Ot, kolejny pacjent. Nie zrobiła na nim wrażenia informacja, że pacjent schudł w ostatnim czasie prawie dziesięć kilogramów, że nie ma apetytu, że jest osowiały. Przepisał badania.

– Bez badań nic nie będzie wiadomo. Na czczo pan zrobi jak najprędzej.

– Szybko poszło – powiedział Hubert już w samochodzie.

– To pojedziemy?

Hubert kiwnął głową, skierował samochód do ośrodka opieki. „Spokojna ostoja” – przywitała ich pomarańczowa tablica.

Dom starców – myślała Justyna. To samo myślał Hubert, żadne z nich jednak nie wypowiedało głośno tej nazwy. Dom opieki brzmiał znacznie ładniej.

Ośrodek był otoczony niewysokim żywopłotem, za którym rozciągał się spory trawnik. To był jeden z najważniejszych argumentów „za”.

– Nie zamknę matki w betonowym więzieniu – mówił Hubert. Ale sielsko wyglądająca willa w otoczeniu zieleni – czemu nie? To było właściwe otoczenie dla matki.

Przy wejściu przywitała ich cisza. Nie byli umówieni. Przy bramie jednak dzwonił domofonem, dlatego też po kilkunastu sekundach podeszła do nich jakaś kobieta. Posadziła na niewygodnych krzesłach i kazała poczekać. Po dziesięciu minutach zeszła do nich dyrektorka ośrodka.

– Chcielibyśmy jeszcze raz obejrzeć... pensjonat – powiedziała Justyna po przywitaniu. Ostatnie słowo wypowiedziała po pewnym zastanowieniu.

– Macie państwo wątpliwości? – zapytała domyślnie. – To naturalne. Zaraz poproszę jedną z pracownic, oprowadzi państwa.

Ruszyli za miłą dwudziestokilkuletnią dziewczyną.

Teraz powinnam zobaczyć wystający z jej kieszeni zakrwawiony nóż – pomyślała Justyna. – A jedna ze starszych pań za plecami naszej przewodniczki powinna wysyłać mi alarmujące znaki.

Nic takiego jednak nie miało miejsca. Dom był przytulny, pensjonariusze życzliwie nastawieni. Rozmawiali z przybyłymi, większość poruszała się z balkonikami, dwoje na wózkach.

– Mamy też leżących pacjentów – powiedziała dziewczyna.

– Dziękujemy, pojedziemy już – zdecydował Hubert.

– To jest dobre miejsce – powiedział, gdy wyjechali za bramę.

Justyna miała takie same odczucia.

– Mamie będzie tu dobrze – powiedziała. – I jest niedaleko, będziemy ją często odwiedzać.

Hubert wyjechał na drogę.

– Pamiętaj, do paczkomatu.

Nie odpowiedział. Zatrzymał się przy żółtych skrzynkach, Justyna odebrała trzy przesyłki.

– Mówiłem, żebyś ciuchów nie kupowała! – Hubert nie dał się nabrać. – To może i dla tej twojej Magdy, to ziółka, ale to? Otworzył paczkę, wyciągając zapakowane w worki ubrania. I to będziesz nosić? I to? – Wyciągnął zakupy Justyny z opakowań.

– To może i tak – uspokoił się, widząc fikuśny biustonosz. – Niech ci będzie.

Rzucił zakupy na tylne siedzenie. Justyna odetchnęła.

Dobrze, że je kupiłam, w szczególności ten stanik. Miał się czym zająć.

Ułożyła pozostałe paczki za siedzeniem, zebrała rozrzucone przez Huberta ubrania. Siadła obok męża bez słowa.

– Jeszcze zakupy – przypomniała. – Żwirek dla kota tańszy jest w markecie.

– Skoro już tu jesteśmy, to i większe zakupy możemy zrobić. Zadzwoń więc jednak do tej swojej Magdy, niech do matki pójdzie. A my tutaj jej chleb będziemy odbierać, nie dorobi się na nas, chociaż raz.

Jasne. Niemieckiemu krwio pijcy będziemy kabzę nabijać – pomyślała Justyna ironicznie. Cytowała w myślach własnego męża, ale się nie odezwała.

Hubert kontrolował każdy produkt wkładany przez Justynę do koszyka. Nie oszczędzał jedynie na piwie. Proszek kazał wziąć tańszy, czekoladę wybrał taką, jaką lubiła Bogna. Bułek zabronił, zgodził się na



zwykły chleb.

– Sama mogłabyś piec – powiedział.

Z serów zostawił tylko żółty, mierzwiiony.

– Cieńszy, na dłużej starczy – powiedział.

Pleśniowych zabronił. Wędliny tylko najtańsze. Puszek żadnych. Wody nie pozwolił. Justynie udało się przekonać go do cytrusów.

– To witaminy, dla mamy – powiedziała.

I tyle było jej zwycięstw. Zaciskała wargi, starała się nie odzywać. Wkładała więcej niż potrzeba w nadziei, że Hubert coś pominie. Nic z tego. W ich koszu znalazły się wyłącznie najtańsze produkty, żadnych warzyw, jajek, twarogu.

– To możesz we wsi lepsze dostać – mówił, a Justyna nie dyskutowała. Nauczyła się radzić sobie, Bogna i tak nie odczuwała mniejszych porcji.

Do domu wracali w milczeniu. Justyna zastanawiała się nad wciąż falującą beżowo-fioletową aurą męża. Czasem, podczas wizyty zielarki, obserwowała z kolei, jak aura tamtej rozpalala się błękitem. Jakby Luba zabierała Hubertowi jego kolor.

Gdzie jest jego błękit? – zastanawiała się Justyna czasami, nie za często. Po co rozmyślać o czymś, na co nie mamy wpływu? I co nie przyniesie dobrych odpowiedzi?

Poczuła niepokój, gdy zbliżali się do wsi. Zaczęła boleć ją głowa, w peryferyjnym widzeniu dostrzegła mroczki. Włożyła rękę do kieszeni.

– Nie – wyszeptała. Zmieniła kurtkę na płaszcz, więc w kieszeni nie było wyświeconego już jej dotykem szyldu. Nie przełożyła.

Zerknęła na zegarek. Zbliżyła się szesnasta. Chociaż tyle – pomyślała. – Dobrze, że nie trzynasta czterdzieści siedem. Swoją drogą, co wydarzyło się o tej godzinie?

Hubert zwolnił. Justyna zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech.

Dziewczyna w zwiewnej białej sukience tańczyła przed jej oczami. Uśmiechała się do siebie, chyba coś nuciła, tak przynajmniej zdawało się Justynie, choć tego nie słyszała. Postać w bieli kręciła się w kółko, najpierw na ziemi, potem uniosła się i zataczała koła wokół Justyny. Coraz wyżej. Justyna usłyszała radosny śmiech, dziewczęcy, znała już ten głos. *Nie unikaj mnie* – mówił do niej. *Nie uciekaj ode mnie. Jestem tobą. Jesteś mną. Jesteśmy na siebie skazane. Nie unikaj mnie.*

– Co mówisz? – Justyna usłyszała głos Huberta.

Coś odpowiedziała. Widocznie zadowolilo to Huberta.

*Pomóż mi* – głos w głowie Justyny zmienił się w proszący. Dziewczyna w bieli unosiła się w powietrzu, ciekawie zaglądając Justynie w twarz. Była śliczna. Blond włosy fruwały wokół niej, puszyste i lśniące. Jakby pływały w powietrzu. Oczy dziewczyny były błękitne, jasne, niczym rozświetlone słońcem od środka. Pełne usta szeptały: *Nie zostawiaj mnie samej. Bądź ze mną. Ty jesteś mną. Ja jestem tobą. Nie zostawiaj mnie. Ty jesteś mną. Ja jestem tobą. Nie zostawiaj mnie...*

Twaz dziewczyny była spokojna i pogodna. Znów zaczęła kręcić się w kółko, teraz Justyna słyszała jej śpiew. Nie zostawiaj mnie...

W pewnym momencie zatrzymała się w swoim tańcu i śpiewie. Podpłynęła do Justyny. Twaz dziewczyny się zmieniła. Wykrzywił ją grymas bólu, oczy zmieniły kolor na mętny. Dziewczyna uniosła ręce nad głowę. Odchyliła się głębokim łukiem w tył.

Justyna dostrzegła czerwoną plamę rozlewającą się na śnieżnej sukience. *Nie zostawiaj mnie* – słyszała wciąż Justyna.

– Nie zostawię – odpowiedziała odruchowo.

– Co? – zaśmiał się Hubert. – Ty miałabyś mnie zostawić?

– Skądże – odpowiedziała Justyna. – Coś mi się chyba przyśniło. Mówiłam we śnie do Dropsa, wyobrażasz sobie?

Hubert się zaśmiał.

– Tobie to chyba się klepki mieszają – stwierdził.

Justyna nie odpowiedziała.

*Ty jesteś mną. Ja jestem tobą. Nie zostawiaj mnie* – cały czas słyszała w głowie głos. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna w bieli, którą zapewne ktoś skrzywdził, w niewytłumaczalny sposób weszła jej w głowę, w myśli. I teraz krąży po całym ciele.

Jak najszybciej muszę wejść do domu. Złapać coś domowego do ręki – myślała.

Hubert jednak jechał powoli. Za kapliczką, gdzie kończył się asfalt, droga była pełna wybojów. Nikt tędy nie jeździł, droga prowadziła wyłącznie do ich domu. Mogli dojechać z drugiej strony, Hubert jednak przywykł jeździć tędy, choć sam twierdził, że okolic kapliczki nie lubił. Zza szyby samochodu uważał ją jednak za niegroźną. Co innego pieszo! Nigdy się tu nie zapuszczał. Nigdy od czasu, gdy po pijaku wracał z dyskoteki. Wrócił pobity, choć cała wieś zgodnie twierdziła, że z nikim w bójkę się nie wdał. On jednak pamiętał. Było ich trzech. Z długimi drągami. Mieli brody i długie włosy, a na sobie płaszcze wykończone baraním futrem, choć było lato. Nikt się nie odezwał, a jednak Hubert zrozumiał przesłanie – więcej tędy nie łaź!

I nie chodził, ani on, ani nikt inny. I nikt też nie był zainteresowany naprawianiem drogi. Tylko Hubert... Jeździł tędy, żeby sobie udowodnić, że się nie boi. Ale tylko w dzień i samochodu nigdy tu nie zatrzymywał.

Na wertepach jednak nie dało się jechać szybciej. Justyna nerwowo pocierała ręce.

– Siku chcesz czy co? – zainteresował się w końcu Hubert.

– Tak, tak, dokładnie! Potrzebuję łazienki – powiedziała Justyna.

– Szybciej nie pojedę. I tak zaraz będziemy.

Zaraz to ja oszaleję – pomyślała, ale nie odezwała się słowem.

Z podwórza wbiegła do domu. Dotknęła ściany, poczuła, jak opuszcza ją nieproszony gość. Myśli rozjaśniały się, oddech uspokajał. Schyliła się, żeby pogłaskać Dropsa.

– Przywiozłam ci smakołyki – powiedziała do kociaka.

– Chciałaś siku?

– Już lecę – odpowiedziała mężowi pogodnie.

A potem rozpakowała zakupy i zaparzyła teściowej ziółka. O tym nigdy nie zapomniała.

## Rozdział 27

– Hubert! – zawołała głośno Justyna. Zwykle tego nie robiła. Z mężem porozumiewała się cicho i spokojnie, łagodnym głosem. Nigdy nie było wiadomo, co zirytuje Huberta. A przecież lepiej, by się nie denerwował.

– Czego! – odezwał się z dołu i Justyna pomyślała, że naprawdę lepiej nigdy więcej nie wołać go z góry. Teraz miała jednak dobry powód. Była wręcz przekonana, że wystarczająco dobry.

– Chodź na górę! – Na taką odzywkę to już by sobie w ogóle nie pozwoliła, gdyby nie teściowa.

Usłyszała ciężkie kroki. Z daleka słyszała, że Hubert jest zły.

– Pomóż mi, proszę – powiedziała Justyna, gdy jej mąż wszedł do sypialni matki.

Bogna podniosła się z łóżka.

– Mama uparła się, że wstanie. Sama nie dam rady. Pomóż przy mamie, proszę.

Justyna mówiła proszącym tonem. Gdzieś w środku buntowała się przeciwko tej służalczości, chęć niezgody natychmiast jednak topniała na wspomnienie siniaków. Hubert prychnął, matce jednak nie odmówił.

Podparł Bognę, wstała.

– Brawo, mamó – powiedziała Justyna, widząc teściową samodzielnie stojącą.

Cały czas może stać i chodzić, i robić koło siebie, tylko jej się nie chce – pomyślała niechętnie, została jednak konstatacją dla siebie.

– Teraz idziemy na obiad. Wszystko mam gotowe. I rosół, i ziemniaczki tłuczone... Ostrożnie, mamó, teraz stopień.

Zagadywała tak, podczas gdy Hubert podtrzymywał matkę przy każdym kroku.

Bogna całkiem sprawnie poradziła sobie z zejściem po schodach. Przy stole usiadła jak królowa, wszystko miała podane. Wolę usługiwać tutaj niż wszystko nosić na górę – pomyślała Justyna.

– Cśś – powiedziała do kota. – Masz tu smakołyk i nie pokazuj się przy stole.

Drops otarł się o jej kolana i zamruczał. Schyliła się, głaszcząc lśniąca sierść. Zostawiła zwierzaka w kuchni i podała do stołu wagę z gorącym rosołem. Makaron już leżał na talerzach.

– To zielone to co? – zapytała podejrzliwie Bogna.

– Lubczyk – odpowiedziała Justyna. – Z ogrodu, świeży.

Bogna zjadła kilka łyżek wyraźnie ze smakiem. Nie pochwaliła jednak, w ogóle nie skomentowała jedzenia.

Hubert siedział przy stole, spoglądając co chwilę na zegarek.

– Cni ci się z matką? Nudno?

– Skądże! – zaprotestował żarliwie. – Mecz jest za dziesięć minut, ale nie obejrzę. Mama dla mnie najważniejsza.

– Tak myślę – odpowiedziała Bogna. – A to co?

– Mielone. – Justyna wносиła właśnie ostatni obiadowy półmisek.

– Dziwnie pachną.

– To może ja zacznę – skwitowała Justyna, nakładając sobie porcję mięsa. Zjadła pół kotleta, zanim Bogna zdecydowała się spróbować.

– Obok moich to nawet nie leżały.

Justyna nie zareagowała. Każde rozwiązanie było złe. Dusił się w obecności tej kobiety, ale okazanie tego przyniosłoby karę, którą Hubert wymierzylby w ich sypialni po zapadnięciu zmroku. W sypialni, która znajdowała się przecież dokładnie naprzeciw pokoju Bogny. Teściowa doskonale wiedziała, co się dzieje po drugiej stronie korytarza.

– Dość – powiedziała Bogna po zjedzeniu zaledwie trzech kęsów.

– Mamo, musi mama jeść – powiedziała Justyna. – Siły mamie wracają, zdrowie coraz lepsze, ciało musi mieć z czego być mocne. Jeszcze dwa widelce...

Hubert siedział z boku, nie odzywał się, ale z zadowoleniem patrzył, jak Justyna karmi jego matkę. Ta pluła jak rozkapryszony dzieciak, Justyna ścierała i podawała następną porcję. Troszkę ziemniaczków. Odrobina kotlecika. Marcheweczka, świeża, z ogródka, dopiero starta.

Karmienie staruchy – pomyślała z niechęcią, uśmiechała się jednak.

– Ale tu brudno – powiedziała niespodziewanie Bogna. – Podłoga nieumyta. – Pokazała przy tym palcem na pozostałości tego, co sama przed chwilą wypluła. – Wiedziałam. Jak tylko zniknę za winklem, zaraz dom syfem zarośnie. Beze mnie to tylko upadek.

– Już ścieram, mamo – powiedziała Justyna. Hubert wciąż się nie wtrącał.

Przy poobiedniej herbacie zachowanie Bogny nie uległo zmianie. Ciasto niedobre. Herbata ohydna. Brudno w kuchni.

– Ty tego nie pij! – wykrzyknęła raptem do syna. Hubert zażyczył sobie do ciasta kawę, typową plujkę. Nie uznawał „tych wymysłów z ekspresu”. Po okrzyku matki odsunął filiżankę od ust.

– To jest zatrute – powiedziała Bogna. – Ona zatrula. – Pokazała palcem na Justynę.

– Mamo – rzuciła z westchnieniem Justyna.

– Mama herbatę pije – powiedział Hubert.

– Już ja swoje wiem. Brzuch cię boli ostatnio? Boli. Mnie boli? Boli. A jak jej w domu nie było, bolał? Nie bolał. To jej wina.

Justyna się nie odezwała. Kot niesłyszalnie przeszedł do jadalni i pod stołem wskoczył jej na kolana. Poczula ciepło, zanurzyła palce w sierści. Miała ochotę przymknąć oczy i skupić się na dotyku jedwabnego kociego kożucha.

– Mamo – zwrócił się do Bogny Hubert. – Już mama chyba zmęczona? Pomogę na górę wejść.

– Żadne na górę. Do ogrodu mnie wyprowadź. Muszę zobaczyć, czy wszystko zaopiekowane.

Wyszli na ganek. Z wysokości kilku schodów Bogna lustrowała wypielęgowane grządki. Odchwaszczone, gdzie trzeba skopane, plony w większości zebrane. Ku jej żalowi nie miała powodów do narzekania.

– A zaprawy zrobione? Zobaczyć chcę – powiedziała do syna. Hubert posłusznie podprowadził matkę do drzwi spiżarni. Równo ustawione słoiki świeciły po oczach białymi etykietami.

– A po co to, takie wydatki – mruknęła. – Ja na pokrywkach flamastrem pisałam i też było dobrze. I marchewka w słoikach dobrze aby ugotowana? Żeby się nie otworzyła, bo marchew lubi się psuć. Potem nawet nie ma co otwierać takiego słoika, śmierdzi gorzej niż gównno.

– Długo gotowane, tak jak i fasola – odpowiedziała Justyna.

– Dobrze, synku, prowadź na górę – powiedziała w końcu Bogna. – Zmęczyłam się. Musiałam sprawdzić, czy po mojej śmierci dom będzie doglądnięty. Idealnie nie jest, ale jest nadzieja, że ta przybłęda cię wykarmi i opierunek zapewni. Prowadź.

– Mamo, co też mama opowiada. Po jakiej śmierci. Mama ku lepszemu idzie, gołym okiem widać.

– Widać co widać, a teraz na górę prowadź. I tej kawy czarnej jak smoła, jak oczy kota diabelskiego, nie pij.

Odprowadził matkę po schodach, Justyna w tym czasie sprzątnęła po obiedzie. Gdy Hubert zszedł, nie powiedział do żony nawet słowa. Usiadł przez telewizorem i włączył odtwarzanie meczu. Całe szczęście,

włączył nagrywanie. Matka matką, obiad obiadem. Nic nie jest wystarczająco ważne, by zrezygnować z meczu!

Justyna zastanawiała się przez chwilę, czy zacząć jakąś rozmowę, ale ostatecznie uznała, że nie. Po prostu weszła po schodach na górę. Drops kroczył dostojnie za nią. Za drzwiami teściowej panowała cisza – zapewne zasnęła. Dla niej musiało to być wyjątkowo męczące popołudnie.

Schody na strych skrzypiały jak zawsze. Drops miauknęła niechętnie, gdy otworzyła drewniane drzwi.

– Wchodzisz? – wyszeptała.

Kot otarł się o jej nogi. Lekko łebkiem pokręcił w lewo, jakby wskazywał jej kierunek – w dół. Justyna jednak nie myślała słuchać zwierzaka.

Weszła do środka, Drops ostatecznie wślizgnął się za nią, ostrożnie, nieufnie.

Zapadł zmrok. Justyna opadła na łóżko, kot siadł pod oknem i znów zamiauczał. Rozłożyła pamiętnik na kolanach, włączyła lampkę, którą podłączył ostatnio Hubert. Wyrzcił przy okazji zadowolenie.

– Wreszcie ktoś tu zrobił porządek – oświadczył.

Przynajmniej na coś się przydała – pomyślał. Opowiedział potem o tym matce.

– Tylko jej nie pochwal – powiedziała Bogna. – Jeszcze się w głowie smarkuli poprzewraca.

Justyna miała gdzieś pochwały teściowej. Strych stał się jej miejscem. Przychodziła tu odpocząć, popatrzyć na sosnowy las, zdrzemnąć się czasem. Teraz wróciła do czytania pamiętnika.

*Takie to życie głupie. Albo i ja głupia. Może nawet głupsza. Gdyby nie Karolcia i Michasia... Moje światełka, życia moje. Całe szczęście moje. A jak one się śmieją! Michasia szczególnie. Może dla niej warto mi było przyjeżdżać w to dziwne, straszne miejsce. Ojciec nie chciałby mnie tu widzieć. Matka by dostała globusa. I Antos, też moje światełko. A teraz? Kto będzie teraz? Jak masz na imię?*

*Głodzę brzuch, dopiero pęcznieje. Nie pomyślałabym, że można z pełnym brzuchem chodzić w pole i chwycić w dłoń kłosa, tak pełne jak ja sama. I chwycić je nie po to, by zachwycić się szorstkim złotem, lecz by ostrym sierpem ścinać kłos, całe naręczce, pęk. Wiechcie dające życie. I ja pozostawiająca ostre ryżko. Życie we mnie rośnie, jestem światłem. Szkoda, że mój ojciec nie chciałby tego widzieć.*

*Po co mi zresztą o tym rozmyślać. Czy tęsknię za ojcem? Za matką? O niej myślę rzadziej. Jest dla mnie zamglonym wspomnieniem, kogoś dość miłego, jednak niezbyt wyraźnego, pełnego ochów, zmęczeń, migren i uniesień nad falbaniastą suknią. Mama nigdy nie zwróciła uwagi na zachód słońca malujący krajobraz za naszym stawem, na rosę wiszącą na żdźble trawy... Matka nigdy nie nauczyła mnie rozpoznawać, kiedy marchew nadaje się do wyjęcia z ziemi, jak odstraszyć bielinka z pola kapusty, jak związać czosnek, by wytworzył dorodne głowy. Czyż mogłabym przypuszczać, że coś takiego będzie mi kiedykolwiek przydatne?*

*Czy jestem szczęśliwa? O tym też nie warto rozmyślać. Z Karolcią, Michasią i Antosiem jestem. Z Janem – nie wiem. Miłość? Miłość. Nie znam definicji, choć dostrzegam najszersze chyba spektrum. Miłości do siebie, tej mi brakuje.*

*Myślę tylko, że w takich rodzinach jak moja, nie, jak rodzina mojego ojca, nie ma wielu dzieci. Jedno, dwoje. Jak ja i moja siostra. Choć właściwie to już tylko moja siostra. A ja chciałabym dużo dzieci. Mnóstwo dzieci. To moje światła. Dlatego tak bardzo cieszę się, że kolejna dziecina pojawiła się we mnie.*

*Jan też się cieszy. Chyba... Mało rozmawiamy, kiedyś w ogóle mi to nie przeszkadzało. Mówiłam ja, Jan słuchał, to wystarczało. Przynajmniej przy świetle księżycy, nad stawem w majątku mojego ojca. Byłego ojca, powinnam dodać. Czy rodzicielstwo może się przeterminować? Teraz chciałabym czasami porozmawiać. O czymś innym niż żniwa, zapasy, hodowla, sad... Jedyna nasza wspólna aktywność to... No właśnie. Przynajmniej mam dzięki niej dzieci. Bo rozmowy żadnej.*

*Jak to możliwe? Zupełnie mi to nie przeszkadzało. A teraz...*

*Po co to rozważać? Ważne dla mnie jest nowe życie.*

Justyna podniosła wzrok. Drops leżał na jej kolanach, blisko brzucha, ogrzewał ją. Nie spał jednak, ciało miał napięte. Justyna głaskała odruchowo jego futro, spojrzała w okno, zapadł zmrok.

Mecz się pewnie już kończy – pomyślała. Pamiętnik ją odrobinę znudził. Ziewnęła. Podskoczyła, gdy za oknem pojawiała się twarz. Dziewczęca, okolona długimi blond włosami, o niebieskich oczach. Kot naprężył się, zamiauczał głośno, Justyna zerwała się z łóżka i nie spoglądając więcej w okno, pobiegła, w stronę drzwi. Zbiegała ze schodów głośno, na piętrze usłyszała wołanie Bogny. Nie zareagowała. Stała na moment, Drops zbiegł na dół, Justyna uspokajała oddech. Po cichu zeszła na dół. Hubert zasnął przed telewizorem. Widocznie mecz nie był interesujący.

## Rozdział 28

Głupia byłam, głupia zostanę. Zachciało mi się przygód! Wrócić do ojca chciałabym... Droga zamknięta, sama ją zamknęłam. Głupia ja!

Tata zdawał się dla mnie surowy, chciał jednak dobrze... A to dlań oznaczało to, co znał. Dla mnie przeznaczył kobiece fatalaszki, różowe batysty, koronkowe parasolki od słońca, zabawy w ciuciubabkę. Czy ja naprawdę tak żyłam? W obrazie papy był też mąż. Bogaty i z towarzystwa. Tata chciał mnie wydać w Warszawie, miał już na oku odpowiednią partię. A wtedy gabinet z meblami z ciemnego drewna, pachnący cygarami i koniakiem należałby tylko do mężczyzn. Spędzałabym czas w pokoju obok, na rozmawianiu o przyjęciach, wybieraniu toalet, ordynowaniu posiłków.

Wszystko to zostało mi oszczędzone. Nie mam towarzystwa zasiadającego z tamborkami w salonie urządzonym wyścielanymi meblami, nie mam rozmów o najmodniejszych toaletach. O posiłkach nie rozmawiam z kucharką, sama stoję nad garnkami. Uginam plecy, pieląc warzywniak, wyciągam z ziemi ręce z brudem za paznokciami, moją cerę pali słońce. Żadnej koronkowej parasolki! Przywiozłam w swoim ślubnym bagażu dwie, gdzie teraz są? Dwie batystowe halki podarłam już na pasy. Na nic mi one teraz niepotrzebne. A i tak zostało mi tych fatalaszek dużo. Zbyt wiele niepotrzebnych wspomnień.

Mama... wiecznie nieobecna, albo z globusem, albo zmęczona. Czym? To pytanie nęka mnie czasami, ale dopiero teraz. Czym mama mogła być zmęczona? Siedzeniem na miękkim fotelu w przytulnym salonie, narzekaniem na upał, na zimno, na zimną zupę? Lubiłam siadać z mamą na wiklinowych fotelach, wynoszonych dla nas w ciepłe popołudnia na skraj sadu. Rozmawialiśmy wtedy... Nie pamiętam, o czym. Myślę, że – choć mogłoby to wydawać się dziwne, może nawet niespodziewane – więcej rozmawiałam z tatą. W swoim gabinecie miał bibliotekę, w niej kilka półek książek w skórzanych oprawkach. Był z nich taki dumny! Choć nigdy nie widziałam, by je czytał. Ja czasami zabierałam stamtąd tomik poezji, niewiele ich u papy było, ale i tak nie sądzę, by zauważył brak. Z tatą rozmawialiśmy o Warszawie. Widziałam tam szerokie ulice, salony, pracownie krawieckie i dorożki podążające jedna za drugą. Podziwiałam gazowe latarnie, dzięki którym nawet w nocy można chodzić po ulicach. Kamienice wielkie jak kilka naszych domów naraz, a wewnątrz ludzie w wielu mieszkaniach, jedni na drugich, a jednak – szczęśliwi. Sklepy z dobrami, które wcześniej trudno mi było sobie wyobrazić. Któregoś razu papa przywiózł mi papeterię ze złoconym brzegiem i szcotokę z miękkim włosiem, opowiadał wtedy o zapachach w sklepie kolonialnym, o usługowych subiektach... Miałam nadzieję zobaczyć to wkrótce ponownie, chciałam korzystać z tego dobrodziejstwa na co dzień. Teraz mogę się z tego wyłącznie śmiać.

Tak było dobrze w te pierwsze tygodnie. Dom dla mnie wybudowany, wiejski, ale mój. I ten sad. Tak przypominał sad w moim rodzinnym domu... Ten, na skraju którego siadałam z mamą na wiklinowych fotelach. Nie mogę tak myśleć, nie mogę tak pisać, nie powinnam tam wracać myślami! To już nie mój dom. Tamten sad był w domu mojego ojca, ten jest mój.

Ale taki żal... Nie ma dzieciątka. Pusty brzuch. Jan... wstąpiło w niego jakieś złe. Ksiądz przyjdzie w przyszłym tygodniu, dom wyświęci, szatana z Jana wypędzi.

Jan tak strasznie krzyczał, gdy o tym mówiłam... Księdzu jednak się nie przeciwstawi. To złe w nim krzyczało. Dobrze, że Pokrzydlowa ziółka przyniosła. Patrzyła na mnie... Tak dziwnie patrzyła. Ona wie! Skąd ona wie? Ona wszystko wie.

Nie ma mojego dzieciątka, nie ma...

Jan taki piękny dom dla mnie postawił, piętrowy, z poddaszem, najpiękniejszy we wsi. Prawie jak mojego ojca... Po co do tego wracam? Niepotrzebnie wspominam dworek niczym pałacyk, z gazonami

róż na podjeździe. I staw nieopodal, z wierzbą pochylającą gałęzie nad taflą wody. Siadywałam tam z książką, co ja wtedy czytałam? Poezję? Wydawało mi się istotne, że któryś z wierszy gubił rym. Głupia ja. I ta guwernantka... Jak ona się nazywała? Sabine. Tak, miała na imię Sabine. Francuzka. Towarzyszyła nam, gdy siadywałyśmy z mamą na skraju sadu albo nad brzegiem naszego stawu. Zawsze była z nami Sabine. Moja córka nie ma guwernantki, już widzę, co by się we wsi działo! I tak mnie baby nie lubią. A Jan? Nawet nie chciałabym widzieć jego miny na wspomnienie o takiej ekstrawagancji. A ja nie uczyłam się dość... Nie umiem z córką po francusku rozmawiać. Haftowałam na tamborku, nad tym stawem. Piękne były te moje hafty, mam je przecież. Choć mama nigdy mnie nie pochwaliła.

Przerwałam pisanie. Oglądałam hafty. Dobrze, że tam zajrzałam. Przełożyłam je świeżą bibułą, właściwie co ona ma ze świeżości, jeszcze z domu ją zabrałam. Ale przełożyłam, przewietrzyłam, mola jednego wygoniłam. Muszę pilnować, by się nie zaległy. Częściej będę zaglądać do kufra. Nie dostałam posagowego od matki, kupił mi go Jan w ślubnym prezencie. Spóźnionym odrobinę, a jednak sprawił mi wielką radość. Ja mu ofiarowałam Karolcię i Michasię... Najukochańsze życiowe prezenty. Te hafty zaś to jedyne piękno, które mi teraz pozostało. I dziewczynki, Karolcia i Michasia, córcie moje ukochane.

Uszyję im sukienki. Białe płótno kupię na targu. Nie przerobię jednej z moich sukienek, zostawię je na pamiątkę! Uprę się, Jan musi dać pieniądze. Nie na szare, zgrzebne, tylko śnieżne, dla moich cudownych, niewinnych jak lilie, ukochanych córus. Sukienki będą długie, rąbki wyhaftuję w ząbki białą nicią. A na rękawach zrobię biały ażur i wykończę falbaną.

Będą miały radość moje córeczki. Ja też muszę mieć jakąś wesołość, tak trudno ją znaleźć, gdy brzuch pusty, jak zepsuty, a chciałoby się jeszcze pokotysać główkę pachnącą mlekiem. Zajmę myśli sukienkami dla Karolci i Michasi, żeby nie myśleć o dywaniku, który muszę upleść. Koniecznie. Muszę zakryć miejsce, gdzie krew wsiąkła w podłogę, zaplamiła deski, gdzie brunatny kolor szpeci dechy. Nie da się zmyć, wyszorować, nie da się. Przykryję, nie będę Janowi przypominać.

On taki biedny... Złe w niego wstąpiło, na pewno. Przecież mój Jan by tego nie zrobił. Romantyk to on nie jest, poezji recytować nie umie, ale dobry przecież jest, tylko się zapomniał. Dlaczego on się tak zapomniał? No przecież dlatego, że tak mnie kocha, tak ma na mnie ciągle ochotę. Może następne dzieci jeszcze powstaną. Może i tak. Tylko teraz w domu sama zostawać nie będę, nie pozwolę, by szatan jego czynami przewodził. Zresztą, ksiądz dobrodziej od dawna już ode mnie co dwa dni kankę mleka dostaje i kopę jaj raz w tygodniu, i kaczuszkę czasami... Ostatnio taką tłusciutką wybrałam, że aż miło pomyśleć. Dzięki temu ksiądz przyjdzie, modły odprawi, diabła z Jana wypędzi. I znów będzie dobrze.

Patrzę na ten mój pamiętnik – tyle tylko mi zostało? Z nawyków panińskich? Pisanie, choć nie wierszy, a takie pewnie bym do sztambucha wpisywała. Na pewno już od dawna miałabym nowy, w starym już kończyło się miejsce, dlatego ja nie zabrałam ze sobą tamtego pamiętnika? Ten nowy pewnie byłby jeszcze ładniejszy. Może tata przywiózłby mi go z Warszawy? Siostra pewnie ma nowy. I sukienki nowe, i buciki... A mnie butki niepotrzebne. Nie sądziłam, że można boso w ściernisko wyjść i śmiać się z tego. Ścięte kłosa kłują, zostawiają czerwone plamki na stopach, nie przypuszczałam, że może to być przyjemne. Jak wiele trzeba zrozumieć? Ile przejść kroków w twardych chodakach?

Nie liczyłam. Sporo. Powinnam być z siebie dumna. Ba! Sabine powinna być dumna. Tylu rzeczy się nauczyłam. Łapać kurczaka, jednym ruchem ukręcać mu łeb, przytrzymując mocno pod pachą, żeby bezgłowy nie latał po podwórzu. Tego nie lubię. I skubania gęsiego pierza też się nauczyłam. Nie przypuszczałam także, że będę stała przy kuchni, mieszała chochlą w garnkach, a potem te garnki własnymi rękami szorowała. Że będę nosiła wiadra z wodą. Że będę potrafiła doprawić kapustę na przednówku, kiedy to w spiżarni już pustki. I dzielić świńską tuszę. Ziarno zemleć na mąkę. Placki z ziemniaków zrobić, jabłka z sadu zaprawić, żeby się nie zmarnowały. We dworze nawet kucharka nie robiła tego wszystkiego sama. Jestem od niej lepsza, ja potrafię wszystko. I karmić dziecko, i usypiać, i...

Po co się ciągle katuję?



*Żyję tu i teraz. Zioła od Pokrzydłowej pomagają. Już nie boli, nie tak bardzo. Jeszcze ksiądz przyjdzie i wszystko będzie dobrze.*

To tak ma wyglądać? W tym domu kobiety bite i gwałcone tłumaczą sobie, że złe wstąpiło w mężów? – Justyna odłożyła pamiętnik. – Kilkadziesiąt lat, a nic się nie zmieniło.

Odsunęła Dropsa z kolan, uniósł czujnie łebek. Justyna podeszła do okna, kot syknął, wróciła do niego, podrapała po brzuchu.

– Czemu się denerwujesz? Nie lubisz tego miejsca. – Bardziej stwierdziła, niż zapytała. – W przeciwieństwie do mnie. Ja tu lubię przebywać. Zobacz, to miejsce jest tylko moje. Kapa z kawałków materiału, każdy w kwiaty. Firanki z falbankami, dywanik. Dywanik. – Zatrzymała się na tym słowie. – Taki sam jak robiła Anna?

Justyna zastanowiła się. Pomysł znalazła w internecie, ale potem pomogła jej Magda. Razem uplotły kilim, ale materiałów dostarczyła Magdy mama. Wyciągnęła cały wór materiałowych resztek, potem Justyna znalazła podobny we własnym domu. Przede wszystkim zaś matka przyjaciółki udzieliła im dokładnych instrukcji.

Powinam zapytać o to teściową – pomyślała Justyna pewnego dnia. – Powinam, ale nie mam na to ochoty.

– Idziemy na dół – powiedziała do Dropsa. – Wprawdzie to moje miejsce, wysprzątane i wychuchane, i na szczęście Hubertowi nie chce się tu włączyć, ale już późno. Czas obiad grzać.

Kot zeskoczył zgrabnie z łóżka i wyslizgnął się na schody. Czekał na Justynę na piętrze, kręcąc się w kółko pod drzwiami Bogny.

– Ćśśś – powiedziała Justyna. – Skoro cisza, to śpi. A złego nie będziemy budzić. – Uśmiechnęła się.

Na dole włączyła cichutko radio. Rzadko to robiła. Zwykle nie miała nastroju do słuchania paplaniny prowadzących, przeplatanej zazwyczaj złymi wiadomościami i nieokreśloną muzyczną mieszanką. Na ogół kręciła się po domu w ciszy, tego dnia jednak miała ochotę, bo ktoś do niej mówił.

Boję się – rozmyślała. – Czy naprawdę widziałam to, co przeżyła Anna? I o czym nie chce pisać? Dziecko, poronienie? Tutaj, w tym pokoju?

Nalała kotu mleka, wstawiła rosół na powolne pyrkanie, ułożyła na patelni grube plastry pieczonego mięsa i nastawiła wodę na kaszę. Weszła do salonu.

– To musiałyby być... tutaj.

Uniosła dywan. Pod nim zobaczyła jedynie kwadratowe płyty, jedna była pęknięta na brzegu. Jak na cmentarzu – pomyślała Justyna. Wzdrygnęła się. – Co ja wymyślam? *Jak na cmentarzu. Nagrobek Anny też jest popękany* – usłyszała w głowie głos.

– Wynoś się – wyszeptwała. – Nie chcę żadnych głosów.

Usłyszała śmiech.

*Jestem z tobą cały czas. Nie pozbędziesz się mnie. Ja jestem tobą. Ty jesteś mną. Musisz mi pomóc. Musisz mi pomóc. Musisz mi pomóc.*

Justyna upadła na dywan. Zapadła w nagły, głęboki sen. Drops natychmiast znalazł się przy niej, trącił kilka razy nosem jej rękę, po czym ułożył się w zagłębieniu brzucha swojej pani.

Tymczasem Justyna była już w podróży. Leciwała nad wioską, poznawała kolejne domy. Wiedziała, gdzie znajduje się cmentarz, choć nigdy na nim nie była. Pierwszy listopada dopiero się zbliżał, a wcześniej... nie miała ochoty. We Wszystkich Świętych rok wcześniej była przeziębiona, została w domu. Potem zwyczajnie nie chciała. Po co miała oglądać groby ludzi, którzy nic dla niej nie znaczyli? Choć właściwie teść znaczyć powinien, w końcu – ojciec jej męża, co z tego jednak. Nigdy go przecież nie poznała.

Teraz leciała na cmentarz jak wiedźma. Czują chłód wiatru, odchyliła głowę na bok, pęd powietrza utrudniał oddychanie. Zawisła nad opuszczonym fragmentem cmentarza, przy samym ogrodzeniu. Wiele

z kamiennych nagrobków było artystycznie rzeźbionych. Wszystkie pęknięciami nadszarpnął czas.

To musiała być bogata wieś – pomyślała Justyna. – Rzeźbione nagrobki? Prawie Powązki.

Ten jednak, którego szukała, choć wcale o tym nie wiedziała, nie miał na sobie żadnej figury. Przykryty został szarą kamienną płytą, nierówno ociosaną po bokach. Na niej widniały zatarte płaskorzeźby, litery były nie do odczytania, kształt kobiecej twarzy niewyraźny. Raczej zarys. Pomimo tego Justyna wiedziała, co jest wyryte na kamieniu.

*Ród twój, z mojej krwi,  
coraz mniejszy będzie.  
Ni owocu, ni zwierzęcia  
w twej zagrodzie aż po czas,  
w którym krew z krwi uratuje nas.*

Justyna drgnęła. Nagle znalazła się w salonie, zdziwiona niewygodną pozycją na dywanie.

– Bogna wołała? – Zdziwiła się.

Ruszyła do kuchni. Rosół się jeszcze nie zagrzał. Podkręciła gaz.

– Zaniesiemy obiad, chodź, kocie – odezwała się, ustawiając naczynia na tacy.

Nie ruszyła jednak w stronę schodów. Usłyszała wchodzącego Huberta i odstawiła tacę.

– Ale najpierw podamy panu obiadek – powiedziała, uśmiechając się.

Zanim Hubert zdjął robocze ubranie, umył ręce, co było zwyczajem wprowadzonym przez Justynę, jedynym chyba, na który się bezapelacyjnie uparła, talerz z zupą czekał już na niego na stole. Chwilę później magicznie zmienił się w talerz z kaszą okraszoną gęstym sosem i wielkim kawałem mięsa.

Hubert podziękował, wstając, nie spojrzawszy jednak na żonę. Zaczynał się kolejny mecz.

## Rozdział 29

Justyna od siódmej rano chodziła po domu ze ścierką. Wcześniej zrobiła śniadanie, Hubert zjadł bez słowa, nakarmiła Bognę.

Postanowiła wypucować szyby. Okien wprawdzie nie zamierzała otwierać, był mróz, ale wyczyszczenie ich od środka było realne. I przyjemne. Czyste okno zawsze poprawiało jej humor. To antidotum na chandrę. Od zawsze? Nie. Od czasu, jak zamieszkała z Bogną.

Podśpiewywała, co dawno jej się nie zdarzyło. Może dlatego, że spodziewała się wolnego, spokojnego popołudnia. Hubert poszedł do remizy, mycie samochodu zwykle przedłużało się o więcej niż jedno piwko. A wieczorem? Będzie, co będzie. Nic na to nie mogła poradzić, jedynie cieszyć się chwilą spokoju.

Krążąc po domu, od czasu do czasu schylała się i głaaskała kota. Dropsowi w końcu się znudziło. Położył się na kanapie, od dawna już lekceważąco traktował legowisko. Obserwował swoją panią leniwie.

W końcu Justyna uznała, że nie ma już czego sprzątać. Usiadła, kot natychmiast wykorzystał sytuację i umościł się na jej kolanach.

– Idę – powiedziała cicho. – Nie będziemy się tu kisić, co? – Podrapała zwierzaka za uszami.

Ubrała się, wzięła szalik, czapkę i rękawiczki. Kot wyslizgnął się za próg, gdy tylko uchyliła drzwi.

– Zwariowałeś! Za zimno dla kota!

Stał już przy furtce i machał ogonem.

– Jak pies – powiedziała cicho. – Potrzebujesz spaceru, co? Wskakuj. – Wzięła go na ręce. – Przytulę cię, pójdziemy razem.

Ułożył się w jej zgiętym łokciu.

– Szczęście, że to niedaleko. – Uśmiechnęła się. – Tylko remizę musimy omijać. Wiesz, żeby pan się nie denerwował. Myślisz, że uda mi się dzisiaj nie patrzeć w stronę lasu? – zapytała kota, mając poczucie, że od kiedy przekroczyła próg domu, z każdym krokiem las wołał ją coraz głośniejszym głosem. – Może dzięki tobie nie będę miała kolejnych wizji. Okropne są, wiesz? Nie wiem, co się wtedy ze mną dzieje, jak ktoś mnie wtedy widzi, to... Chyba myślą, że jestem wariatką, prawda? A może nie myślą. Może wcale nie wiedzą.

Kot słuchał cierpliwie, więc Justyna kontynuowała:

– Nie wierć się. Nie jesteś ciężki, ale wygodnicki na pewno. Pójdziemy do Magdy. U niej zawsze jest ciepło, a musiałam się w końcu wyrwać, ile można sprzątać. Wiem, wiem, teściowa powiedziała, że ciągle. W końcu brudzi się cały czas. Właściwie to się zgadzam, kurz to jedyne, co się samo robi. Znaczący osiada. Chyba głupiej. Rozmyślałam o sprzątaniu? Magda potrzebna od zaraz.

Natychmiast po wejściu do sklepu Drops czmychnął między regały.

– Masz tu myszy czy co? – zainteresowała się Justyna.

– Może się jakaś znaleźć. Ale wolę, żeby nie polował.

– Bo?

– Przecież on myszy nie tknie, rozpieszczony twoim żarciem. Przyniesie mi mysz ze złamanym kręgosłupem i położy przy wejściu. Albo, co gorsza, ta mysz będzie jeszcze żyła, to się czasem zdarza. Fuj.

– Fuj – zgodziła się Justyna. – Ale i tak nie mam na niego wpływu.

Rozmawiały o niczym. Magda zrobiła na zapleczu herbatę, wypily ją przy stoliku nakrytym ceratą w kratę, tuż przy tylnym wyjściu ze sklepu. Justyna lubiła to miejsce. Dalece nieefektywne, bez okna, schowane w kącie, dawało poczucie bezpieczeństwa.

– Ty masz ciągle te... No wiesz? – zapytała Magda niepewnie.

- Dlaczego pytasz?  
- Boję się o ciebie. Wyglądasz wtedy... niepokojąco.  
- Kiedy mnie widziałas? - Justyna poruszyła się, jakby raptem zrobiło się jej niewygodnie.  
- Pierwszy raz latem. Siedziałas na miedzy, a potem osunęlas się, jakby ktoś spuścił z ciebie powietrze. Nawet chciałam do ciebie pobiec, ale wszedł jakiś klient... Nie wiedziałam, co zrobić. A potem wstałaś i tu przyszałaś, jakby nigdy nic.

- Nikomu nie powiedziałaś, prawda?  
- Nikomu. - Magda pokręciła głową. - Ale dalej uważam, że ksiądz by nie zawadził. Potem u ciebie w kuchni...

Justyna machnęła ręką.

- Nie przejmuj się. Wizje są niegroźne. Od dawna widzę różne rzeczy, przecież wiesz.

- Wiem tylko o kolorach.

- Będę lecieć. Gdzie się podział ten łachudra?

Drops natychmiast zmaterializował się przy frontowym wyjściu ze sklepu. Stał w oczekiwaniu na czułe ręce swojej pani. W końcu jego miejsce było na zgiętym łokciu. Oczywiście tylko wtedy, gdy sobie tego życzył.

- Pójdziemy jeszcze na spacer - powiedziała Justyna do kociaka. - Dawno tu nie byliśmy. Tylko oddalmy się od remizy. - Uniosła rękę, wtuliła twarz w sierść kota.

Raptem skamieniała. Przed oczami stanął jej obraz, który już widziała. Kiedyś, gdzieś. Na skraju drogi siedział Mietek. Na tle lekko zaśnieżonego rzyska wyglądał zjawiskowo, jak z sielskiego obrazu. Wiesz, zima, chłop na miedzy. Dziewiętnastowieczny realizm. Granatowa pikowana kurtka, rozpięta, szalik niechlujnie zawiązany, szyja goła, ręce czerwone od mrozu. Twarz uśmiechnięta.

Justyna zacisnęła rękę na szyldzie w kieszeni, Drops zamiauczał, jego też odruchowo ścisnęła.

- Panienska idzie! - wykrzyknął Mietek zadowolony. - Nasza cudotwórczyni!

Justyna stała dalej jak wmurowana.

- Bo ja cię znam! - krzyczał Mietek. - Ty tutaj już dawno byłaś. Bywałaś, bywałaś! Ja cię znam! - Zaśmiał się jak szaleniec, po czym wstał i szybkim truchtem, zataczając się lekko, przemierzył drogę w poprzek. Wpadł na podwórko jakichś gospodarzy, Justyna usłyszała jazgot gonionych przez niego kur. Drops obserwował sytuację ze spokojem.

- A idzie mi stąd! - Justyna usłyszała wysoki kobiecy głos, wyraźnie zdenerwowany. - Nieść nie będą wiosną, idzie mi stąd!

Mietek wyskoczył z gospodarstwa, uśmiechnął się szeroko do Justyny i dostojnie ruszył drogą. Justyna już miała iść za nim, w pewnej odległości oczywiście, gdy Mietek odwrócił się, wyszczerzył zęby i ściągnął spodnie. Pod spodem nie miał slipów, może to i lepiej. Kto by je prał? Cieszył się, widząc minę Justyny, choć długa kurtka zasłaniała wszystko, co niestosowne.

- No idzie już stąd i przestanie krótkiego pokazywać! - Gospodyni w końcu wyskoczyła z podwórza. Justyna знаła ją z widzenia, kompletnie jednak nie pamiętała, jak kobieta się nazywa.

- Zapraszam, ciasto ciepłe mam - powiedziała do Justyny, wciąż kręcąc głową. - Zawsze z nim utrapienie. Nic złego nie robi, psikusy tylko mu w głowie. Latem to pomoże, przy żniwach czy jak tam. Ale zimą to tylko flaszka mu przyjacielem, a kawały w głowie głupie. Oj, głupi on, głupi, z dziada, pradziada.

Cały czas trajkocząc, zaprowadziła Justynę do domu. Posadziła ją przy stole, sama zakręciła się wokół herbaty. Zmaterializowało się przed Justyną ciasto i szklanka z mocnym naparem.

- Pyszna - powiedziała Justyna szczerze. - Dawno takiej dobrej nie piłam.

- Z Ukrainy mi sąsiad przywozi. U nas takiej nie ma, o nie! Jedz, boś chuda dziecko, jedz. U was to wszystko dobrze?

- Dobrze jak dobrze - odpowiedziała Justyna. - Właściwie tak, tylko Bogna choruje.

– A tak, tak, słyszałam. – Kobieta pokiwała głową. Justyna rozglądała się dyskretnie po wnętrzu. Było tak samo czyste jak wnętrze jej własnego domu. Widocznie w tej wsi sterylny dom to standard. – I Hubert też taki chudy ostatnio... To i pomyślała, że może wam się nie powodzi ostatnio czy co? Jeść co macie?

– Wszystko mamy, dziękuję za troskę. Teściowa jeść z choroby nie może, Hubert przemęczony po żniwach, a ja to ciągle na diecie. O figurę dbam – odpowiedziała Justyna, myśląc jednocześnie: Co za wścibski babsztyl!

– To dobrze, to dobrze – odpowiedziała dość nieuważnie gospodyni. – A Bogna dobrze?

– Słabo, ale i tak ku lepszemu idzie. Kilka dni temu wstała, na dół zesłała, a od dawna już nie schodziła. Jesteśmy dobrej myśli. Na wiosnę, daj Boże, wstanie i znów zacznie rządzić.

– A niech zacznie, niech zacznie – powiedziała kobieta. – Bez niej to i nawet zebranie wiejskie niekompletne jakies. A do starców to wy jej nie oddajecie?

Justyna uśmiechnęła się krzywo.

– Nie, skądże. Lepiej jest z dnia na dzień.

– Bo słyszała, że chcieliście.

Co za rajfura – pomyślała Justyna i tylko pokręciła przecząco głową. Bo faktycznie, Hubert od czasu zejścia Bogny na obiad kompletnie zarzucił temat ośrodka opieki.

– A pies to mi zachorzał – powiedziała gospodyni, wyrrywając Justynę z rozmyślań. – Nie wiem, co mu dać.

– A co mu jest? – życzliwie zapytała Justyna.

– A pokaże, może coś poradzi! – Kobieta zerwała się ze stołka wyraźnie przygotowana na taki obrót sprawy.

– A nie, nie. – Justyna się zreflektowała. – Ja się nie znam na psach. Do weterynarza trzeba.

– Ale cielę potrafi urodzić i kota ma... – Kobieta wskazała na Dropsa, który wlaź do jej domu, choć wcale go tu nie chciała. Skoro przyszedł z Justyną, nie wypadało zwierzaka wyrzucać.

– Z cielakiem to był przypadek, nie potrafię leczyć zwierząt. Ani ludzi – zastrzegła Justyna na wszelki wypadek.

– A szkoda, bo markotny mi coś ten psiak okropnie się zrobił. Ani zaszczeka, ani ogonem zatańczy. Miski nawet nie opróżni. I płacze, jakby go bolało. Bo psy to mądre są. – Pokiwała głową.

– Może nosówka? – palnęła Justyna. – Był szczepiony?

– A skąd! – Gospodyni się oburzyła. – Kto by wydawał na takie głupoty? Ledwo dla dzieci starczy.

– A pani mi powie, ten Mietek... to on często tu przesiaduje?

– A nie, wcale. Woli pod sklepem albo u strażaków. Jak ich nie ma, bo inaczej to przeganiają. U siebie w chałupie to rzadko, raczej koło plebanii, tam jest taki składzik, ksiądz nawet dla niego kazał narzędzia uprzętnąć. Nie wiedzieć czemu, Mietek sobie upodobał tam siedzieć. Ale kto by tam nadażył za pijaczną. On chyba we krwi to już ma więcej procentów niż tych tam, krwinek. Od lat tu przesiaduje, on, wcześniej jego ojciec, i dziad też. Ja to nie wiem, jak oni te dzieciaki narobili, skoro ciągle pijani. Tylko Mietek kobiety nie ma, to i pewnie następcy na opijusa nie będzie. Ech, te chłopcy. A czemu pyta? – Zainteresowała się w końcu.

– Bo mnie się wydawało, że ja już go tutaj widziałam.

– No może być. Rzadko do mnie zachodzi, ale przecie we wsi żyje, to i łązi wszędzie.

– Do mnie nie przychodzi. Ale ja nie o tym. Po prostu... Widzę czasami różne rzeczy.

– Widzi? – Gospodyni wytrzeszczyła oczy.

– No tak. Jak coś było kiedyś, albo właśnie Mietka... Tylko inaczej ubranego, i z wąsem, a przecież Mietek ogolony.

– Z wąsem to był jego dziadek – powiedziała nabożnie kobieta.

- Coś mi się musiało przywidzieć. - Justyna machnęła ręką. - Serial pewnie jaki oglądałam. Pójdę już. Pyszna drożdżówka, dziękuję.

- A na drogę weźmie, gościniec być musi - powiedziała kobieta, wpychając Justynie do ręki niewielką paczuszkę.

Potem obserwowła, jak Justyna ze zgiętą lewą ręką przemierza ich wiejską drogę i pole. Gdy znikła jej z oczu, gospodyni weszła do drugiego pokoju.

- Wstawaj! - zarządziła, potrząsając mężem. - Do weterynarza trza jechać!

- Ale co?

- Jedziem!

Zabrali psa i w ciągu pół godziny byli na miejscu. A gdy wracali, kobieta powiedziała:

- I właściwie po co ja psa tu ciągałam? Przecież mówiła Justyna, że nosówka.

- Żeby leki dał.

- Leki, leki. - Wzruszyła ramionami. - I tak nie wykupim przecie. Szkoda kasy na takie frykasy. Dla dzieci muszę mieć.

- Dzieciom nic nie brak - oponował mężczyzna. - A psa szkoda. Od szczeniaka go mam.

- To weźmiesz drugiego - odpowiedziała. - Wielkie mecyje. Ale rację to miała, nosówka... Patrzcie, patrzcie, wiedźma chyba, co?

## Rozdział 30

Na szczęście Mieczysław czasami wpadnie. Nie jestem sama, w ogóle nie jestem sama. Teściowa, rodzina Jana, dzieciaki, moje i inne. Dużo nas, ale tylko Mieczysław mnie słucha.

Czemu ukrywam to przed Janem? Byłby zazdrosny? Pewnie tak. Nie chcę próbować. Mieczysław jest... Wyjątkowy. I mówię to ja! Szlachcianka od pokoleń, wżeniona w bogatą chłopską rodzinę. Bogatą? Co oni mogą wiedzieć o bogactwie. Mam wszystko, a nie mam niczego.

Gdzie książki, nawet nieczytane? Obrazy? Porcelana? Nawet fortepianu nie ma, o francuskiej konwersacji nie mówiąc. Bogactwo... Cóż to dla mnie znaczyło? Nic, dopóki to miałam. Głupia gęś. Oczywiście było spacerowanie w sukience z falbankami, w atlasowych bucikach i koronkowych rękawiczkach. Mogłam bezkarnie wybrzydzać przy stole, kucharki przecież spędzały w kuchni całe dni. „Stoliczku, nakryj się” działało zawsze, bez względu na porę dnia. Wystarczyło tylko dygać odpowiednio głęboko i adekwatnie ustawiać przy tym buciki. Jak ja miałam problemy? Faktycznie, miewałam. Kiedy tatuś pojedzie do Warszawy i przywiezie mi nową niebieską sukienkę. Jak ja marzyłam o niebieskiej sukience! Do dziś lubię niebieski kolor. Szmaragdowy, jak chabry w polu. Jan nie lubi chabrów, a dla mnie te niebieskie gwiazdy są sensem dojrzewającego pola. Jeśli wśród wysychających kłosów nie ma tych błękitnych planet – pole jest niepełne.

Czy żałuję? Głupia ja, ale nie, prawie nie żałuję. Tylko tego, że byłam nieświadoma. Żal mi czasem widoku przodków spoglądających surowo z malowideł, ale czy tęsknię za gorsetem i kompletem sztuców, których zastosowania nie mogłam zapamiętać?

Gdybym wtedy wiedziała, co oznacza wyjście w pole przed brzaskiem, gdy słońce podnosi głowę, zbiera siły do rozświetlenia dnia, gdybym rozumiała, jak to jest chodzić boso po zimnej porannej rosie, gdybym wyobrażała sobie, jak pachnie świt, który dopiero rozwija dzień, jak kwiat rozchyła płatki... Gdybym to wiedziała, zdecydowałabym się. Tylko Jana... Nie, nie wymieniałabym na innego. Wolałabym jednak, by nie podnosił na mnie ręki.

Czy ojciec kiedyś uderzył matkę? Czy na pewno mogę twierdzić, że nie? A kiedy zostawała w łóżku? Podobno miewała migreny. Na pewno? Pamiętam, nie sposób zapomnieć, choć wolałabym. Kiedyś weszłam niechcący, służąca przebierała matkę. A może tylko mi się wydawało?

Ciało mamy zdawało mi się takie... nierówne. Zbyt pełne w biodrach, a talia wcale nie była tak wiotka, jak zdawała się w gorsecie. Uda przypominały gąbkę, falowały, gdy służąca zdejmowała z mamy koszulę. Może i dobrze, że nie widziałam brzucha, bo plecy... Były sine. Pełne fioletowych i zielonych śladów o różnych kształtach. Może to jest właśnie rola kobiety, każdej – znosić bez skargi złość tego świata. Przyjmować na siebie ciężki, dzięki temu czynić ziemski padół lepszym. Skoro panowie wyrzucą z siebie złe emocje, to przecież świat stanie się lepszym – to zdaje się logiczne. Czyli pośrednio kobiety, zbierając na siebie razy, łagodzą gniew i wzburzenie, koją irytację, widocznie takie nasze kobiece przeznaczenie.

Co to ma zresztą za znaczenie. Mojego losu to i tak nie zmieni. Nie boję się pracy. Nie wiedziałam, jak smakuje ugotowany ziemniak, dopóki sama go nie obrałam.

Tak wielu rzeczy mi brakuje, a jednocześnie wcale za nimi nie tęsknię. To kwestia wyboru, chciałabym powiedzieć, że matka mnie tego nauczyła, ale to przecież nieprawda. Prędzej Sabine... Guwernantka opowiadała mi o życiu. Wspominała Paryż, chyba tęskniła. Chyba? Na pewno! W jej opowieściach Paryż to miasto słońca i szczęścia, i miłości, oczywiście. A ja Paryża nigdy nie zobaczę. Ciągłe wraca pytanie, w każdej sprawie – czy żałuję? Żałuję, i co z tego?

Sabine nie wróci do Paryża, bo nikt tam na nią nie czeka. Ależ mnie to dzisiaj śmieszy, chociaż nie powinno. Wielka miłość, zranione uczucie. Jak się nazywał ukochany Sabine? Nie pamiętam, a tyle razy to mówiła! Była odpowiednią towarzyszką do snucia się wieczorową porą po bulwarach nad Sekwaną, do życia zaś dla ukochanego lepsza była bogata dziewczyna, którą wybrała rodzina. Też oczywiście nie pamiętam imienia. Zupełnie nie tak, jak Jan i ja.

Nie tak?

Na pewno?

My się kochaliśmy! Kochamy. Tak, my się wciąż kochamy.

Sabine się myliła, może dalej się myli, a może zmadrzała? To na mnie w Paryżu nikt i nic nie czeka, dlatego nigdy tam nie pojadę. A na nią czekają wspomnienia jej młodości. Ile dzisiaj może mieć lat? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale wiele jej już nie zostało. Mniej niż więcej, na pewno. W Paryżu czeka na nią jej młodość i wspomnienia, które wymagają odkurzenia.

Kiedyś pisałam ten pamiętnik, by siebie żałować. Dalej pozostałam głupia, nic się nie zmieniło, ale przynajmniej nie żałuję. I nie mam po co wracać do domu. Na mnie naprawdę nie czeka tam nikt i nic.

A gdybym tak kiedyś stanęła w drzwiach? Matka żyje? Już to widzę! Chwyciłaby się za serce, krzyknęła, zakryła usta dłonią. A potem wciągnęłaby mnie do domu i szybkimi krokami, zawsze przesadnie drobna i mnie też próbowała tego nauczyć, pociągnęła do swojej sypialni. Żeby ojciec nie zobaczył. Ojciec nie wybaczy mi nigdy. Jestem pewna, tego akurat mogę być pewna. Niewątpliwie zakazał wymieniania mojego imienia, a nawet zabronił wspominać, że miał dwie córki. Jego córką jest Miranda. A jednak jestem przekonana, że gdzieś w ukryciu, gdzie nawet najstaranniej sprzątająca służąca nie zajrzy, trzyma moje zdjęcie w wytartej od ciągłego dotykania ramce. Jestem sentymentalna? Na pewno. Ojciec miał twardą rękę, ale kochał mnie do szaleństwa. To ze mną rozmawiał, siedząc na fotelu w swojej bibliotece, śmiał się, opowiadając o Warszawie, opisując Zamek Królewski, to mnie przywiózł złote pióro z najelegantszego sklepu na Krakowskim Przedmieściu.

Ojciec nie zapomniał.

Może był dla mnie za twardy? Dlatego uciekłam?

Nie, nie sądzę. Miałam romantyczne wyobrażenia, za dużo poezji Goethego i Schillera. Spacery przy księżycu i haftowane chusteczki. W mych wyobrażeniach spełnienie to był dotyk ręki ukochanego.

A matka w swojej sypialni dotykałaby mojej twarzy, łamała ręce nad szorstką skórą mych dłoni. Nie używam rękawiczek! To byłoby dla niej druzgocące.

Ciekawe, jak zareagowałaby służba. A Miranda? To dziwne, ale nie bardzo mnie to obchodzi. Moja siostra? Czy coś nas łączyło? Nocne ploteczki, w których najważniejszym problemem ze wszystkich były podarte nowe pończoszki.

Nie zamierzam tam wracać. Nic mnie tam nie ciągnie. Zupełnie nie.

A może przede wszystkim – nic mnie tam nie czeka. Nic dobrego. Wyklęta. Wyrodna.

Sabine też tak mówiła. Nikt na nią nie czeka... Na mnie na pewno też nie.

Dlaczego zatem uważam, że Sabine powinna odwiedzić Paryż?

Głupia byłam i takaż pozostanę. To prawda, i wiem to przecież – kobieta się zmienia. Czas, gdy szczęście pęcznieje w niej z nasionka do człowieka, zmienia spojrzenie na świat i ludzi. Gdy dziecko się urodzi, znów będę patrzeć inaczej. Ale udało się, jestem szczęśliwa. Kolejne dziecko. Marzyłam o tym i Jan mi je dał.

Nie wracam myślami... Nieprawda, wracam. Wolę jednak pamiętać, jak się potem korzył. Jak mnie woził do kościoła na mszę wozem przystrojonym kwiatami, jak kupował na odpuszcie czerwone korale. Mnie, Karolci i Michasi. Antosiovi kupił zaś drewniany wiatraczek, choć mógł mu sam taki wystrugać. Ten jednak był taki piękny, kolorowy, zielony w kropki. Mały potem nie chciał się z zabawką rozstawać. Taki dobry był potem ten mój Jan... Każdemu przecież zdarzy się zgrzeszyć, zejść na złą drogę, warto



*jednak wybaczyć, pomóc wrócić na drogę dobra. Książdz pomógł, ale nic by to nie dało, gdyby Jan mój nie był po prostu, zwyczajnie dobrym człowiekiem.*

*A jednak... Rozmawiać wolę z Mieczysławem. On ma czas, zawsze mnie wysłucha, nawet jak po sierpniowym deszczu wychodzi słońce i wszyscy śpieszą na pole. Mietek wkłada wtedy kłos między zęby, siada na kamieniu i słucha. Wszystko rozumie.*

*Baby się śmieją, że on głupi. Co one tam wiedzą. Prędzej rację mają, że mnie kocha, ale na to cóż mogłabym poradzić? Kochać mu nie kazałam. Ile razy jednak idę drogą we wsi, koło kościoła, Mieczysław czeka na mnie. Czasem, gdy mi śpieszno, macham mu tylko, on chyli wtedy głowę z uśmiechem i wraca na swój kamień. Ale czasem wstaje i idzie koło mnie, albo ja siadam koło niego, gdy m znużona mocno. Mieczysław zawsze jest.*

– Mieczysław zawsze jest – wyszeptła Justyna. W wyobraźni widziała obrazy, na których Anna, wyprostowana blond piękność w haftowanym czepcu, idzie przez wieś z Mietkiem przy boku. Ani przez chwilę nie wahała się – w jej głowie to był ten sam Mietek zaczepiający ją dzisiaj na środku wsi. W tym samym miejscu? – Głupiam, jak i ona – powiedziała do siebie, wstając. Drops tym razem nie siedział koło niej. Spał w plamie słońca na parapecie w jadalni, zlekceważył konieczność wspinania się po schodach. – Czas obiad grzać.

Huberta należało się spodziewać lada chwila. Jak i Jan – dobry chłop był, choć czasem o tym zapomniał. Justyna nawet pomyślała: bardzośmy podobne, Anna i ja. Obie mamy mężów, o których dobroci musimy się wciąż upewniać i sobie o niej przypominać. I nawet zaczynam mówić jak ona. Bardzośmy... Cóż to za słowo?

Justyna zeszła na piętro, zza drzwi teściowej nie dochodził żaden odgłos. Ku zdumieniu Justyny pod drzwiami Bogny kręcił się Drops, próbując jak pies złapać swój ogon. Kot był wyraźnie niespokojny. Przerwywał latanie w kółko, siadał w miejscu pod drzwiami, jakby wskazywał klamkę. Justyna pogłaskała zwierzaka.

– Idziemy na dół.

Drops zamiauczał głośno.

– Cśśś – odpowiedziała, biorąc go na rękę. – Obudzisz smoczykę i co będzie? Niech śpi w spokoju.

Obiad miała przygotowany dokładnie w momencie, gdy Hubert przekroczył próg domu. Podała ciepłą zupę, potem drugie, jak zwykle właściwie ze sobą nie rozmawiali.

Hubert jadał ostatnio niewiele, ale regularnie. Schudł, ale najważniejsze dla Justyny było, że nie podnosił już tak chętnie ręki. Bo to dobry chłop jest – tłumaczyła sobie.

Sprzątnęła i przygotowała obiad dla Bogny. Dokładnie taki sam jak dla Huberta, tylko trzy razy mniejszy. Spodziewała się, jak zwykle, że i tak większą część przyniesie z powrotem na dół.

Bognie rzeczywiście było ostatnio lepiej. Wprawdzie nie wstawała, albo bardzo rzadko, jednak zachowywała się spokojniej. Nie wyrzekała już tak bardzo na Justynę, nie rzucała talerzem pełnym jedzenia o ścianę. Zdarzało się, owszem, ale zwykle talerz był już pusty, Justyna była za to wdzięczna.

Napełniła jeszcze miskę Dropsa, chodził w kółko, ale odstąpił od jedzenia, gdy zobaczył, że Justyna kieruje się na schody.

– Uważaj – syknęła Justyna cicho, bo Hubert ułożył się przed telewizorem. Pewnie już spał, lepiej jednak było go nie drażnić. Po co? Dobry mąż to dobry mąż, nie trzeba wciąż sprawdzać jego dobroci.

Kot nie uważał. Kręcił jej pod nogami ósemki, bardzo ostrożnie wchodziła po schodach, uważając na każdy krok. Nie chciała nadepnąć zwierzaka, nie chciała także upuścić zawartości tacy.

Otworzyła drzwi do sypialni Bogny, Drops nie chciał wejść do środka.

– Oj, głupiś – wyszeptła Justyna. – Tak samo jak i ja.

Postawiła tacę na kredensie, uniosła opuszczone rolety. Bogna leżała spokojnie, na lewym boku, z lewą ręką ugiętą i włożoną pod głowę. Była skulona, pod kołdrą jej niewielka postać zdawała się prawie nie zajmować miejsca. Justyna usiadła na skraju łóżka, dotknęła jej ręki, choć zwykle tego nie robiła. Chciała ją po prostu obudzić. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ręka jest nienormalnie zimna, a z piersi Bogny nie wydobywa się oddech.

– Nareszcie – wyszeptała Justyna.

Dopiero potem zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

## Rozdział 31

Pogrzeby zawsze są smutne, choć w różnym wymiarze. Jedni oplakują zmarłych, inni żałują pozostałych na tym padole. Jeszcze inni tego, że żywi mogą spotykać się tak rzadko. To ostatnie dotyczy zwłaszcza rodzin rozrzuconych po świecie, którym czas, okoliczności, a może i chęci nie pozwalają na spotkania częstsze niż z okazji wielkich uroczystości rodzinnych. Z tego punktu widzenia pogrzeby są cenne dla scalanania rodzinnych więzi.

Jest jednak warunek – by rodzina mogła się zjeżdżać – musi istnieć. Na pogrzeb Bogny nie przyjechał nikt spoza ich wsi. Choć uroczystość była wielka.

Okazało się, że Bogna do pewnego czasu aktywnie uczestniczyła w spotkaniach zespołu ludowego „Przemyska tęcza”. Nazwa powstała jeszcze długo przed tym, zanim tęcza zaczęła być kojarzona z niewłaściwymi zachowaniami ludzkimi, które nawet sam proboszcz z ambony potępiał. Była nawet próba zmiany nazwy, i to właśnie Bogna przemówiła gromkim głosem na jednym z zebrań: „Damy tym...” – wtedy zawałała się przed użyciem niewłaściwego słowa – „niecnotom, obrazom boskim, władzę nad nami? Przez nich mamy nazwę zmieniać? To my jesteśmy po dobrej stronie, to my byliśmy wcześniej, nie damy się!”. Ksiądz próbował coś jeszcze mówić, jego słowa nie miały już znaczenia. „Nie damy się” zwyciężyło.

Bogna wprawdzie swoim śpiewem ubarwiała głównie próby, jej donośne fałszowanie niosło się daleko i kłuło w uszy. Była tego świadoma, więc krygując się, nie uczestniczyła w koncertach, za co całe otoczenie było jej wdzięczne. Jednak próby chóru były lokalnym wydarzeniem towarzyskim, żadnej nie ominęła – przynajmniej dopóki wychodziła z domu.

Bogna była także – do pewnego czasu – aktywną członkinią koła gospodyń wiejskich, zainspirowała kilka z pań do przygotowywania poczęstunków na każdym odpuszcie. Były darmowe ciasta, sałatki, kiełbaski i domowe przetwory. Kto chciał – mógł wrzucić grosz na nowy dach dla kościoła. Zebrało się tyle, że ksiądz optymistycznie zaczął widzieć perspektywę większego remontu kościoła.

Jednym słowem – na pogrzebie była cała wieś. Justyna miała pełne ręce roboty. Hubert zatroszczył się jedynie o załatwienie spraw związanych z pochówkiem. Trumna, zakład pogrzebowy, nic więcej. Justyna nie zdawała sobie sprawy, jak wiele potrzeba będzie jedzenia, naczyń, stołów. Pomogła jej Magda.

– Ty żartujesz! – powiedziała, gdy tylko dowiedziała się o śmierci Bogny. – Odpoczywasz? Płakać sobie będziesz później!

– Płakać?

– Wypada ci po śmierci teściowej, prawda?

Justyna wzruszyła ramionami.

– Nieważne. Teraz do roboty. Dawaj największy gar, jaki masz. Ten powinien wystarczyć.

– Na co? – zainteresowała się Justyna.

– Na bigos.

– Nie lubię bigosu, a Hubert...

– Nie dla was. Na stypę.

– Nie robię żadnej...

– Nie masz nic do gadania. W dniu pogrzebu będzie u ciebie cała wieś. Co do jednej osoby. Każdy, kto żyw, przyjdzie tego dnia na cmentarz, a potem do was. Bigos to dopiero wstęp. Musimy upiec z dziesięć chlebów.

– Dziesięć? – jęknęła Justyna.

– Masz rację, może być mało. Piętnaście. Masło załatwimy od sołtysowej, dla ciebie nie odmówi. Kielbasy trzeba zamówić, najlepiej u masarza, w sąsiedniej wsi. Koło gospodyń niech przygotuje jarzynówkę. I jeszcze trzeba jakiś gulasz, rosół, ciasta koniecznie...

Magda siedziała przy stole i notowała. Co potrzeba, ile, kto może pomóc.

– Trzeba ustalić listę zakupów. Ściągnę ci na jutro co trzeba. Kapustę masz?

– Kapusty mam dość, nawet kiszonej – odpowiedziała Justyna. – Hubert z pół wszystko zebrał. Z mięsem kiepsko. Naprawdę myślisz, że będzie tyle osób?

– Nie myślę, ja to wiem. Bogna była wszystkim znana, wszędzie obecna i każdemu nos w prywatne sprawy wsadzała. Przyjdą nawet ci, co jej nie lubili.

– Chyba ci przede wszystkim – odparła z westchnieniem Justyna.

– A racja – zgodziła się Magda. – Takich najwięcej.

Justyna uświadomiła sobie, jak bardzo będzie zajęta w najbliższych dniach, i zupełnie jej się to nie podobało.

– Nie martw się – powiedziała Magda. – Jej mogli nie lubić, ale i tak ci pomogą. Przez wzgląd na pamięć zmarłej, ale bardziej z powodu twojej popularności.

– Mojej?

– Udajesz, prawda?

– Co? – zirytowała się Justyna.

– Znowu wykrakałaś. Tym razem nosówkę u Nowackiej. To znaczy, u psa Nowackiej.

– Strzelałam.

– To następnym razem chociaż nie załaduj broni. Trafiałaś i uznawana jesteś za znachorkę, wiedźmę, albo nie wiem co jeszcze. Niedługo staniesz się popularniejsza od Pokrzydłowej.

– Nie ma opcji. Ale dobrze, że tak się stało, przynajmniej uratowałam psa, jak jej tam, Nowackiej.

– A nie żartuj. Pojechali do weterynarza, zdiagnozował psa i na tym się skończyło. Nie zamierzali go leczyć.

– Żartujesz?

– To jest wieś, moja droga. Tu pieniędzy na leki dla zwierząt się nie wydaje, chyba że to cielna, czyli potencjalnie mleczna krowa.

– Co za świat – skwitowała z westchnieniem Justyna.

– Chociaż już zmiany widać. Ty swoim żwirkiem dla Dropsa spowodowałaś, że niektórzy myślą o kocie w domu, ale i tak kociego żarcia poza tobą nikt nie kupuje. I pewnie nie będzie.

Kiedy Magda wyszła, Justyna poczuła się bardzo samotna. Bardzo. Obecność Bogny, choć zwykle niema i ograniczająca się do jęków dochodzących z sypialni, jednak wypełniała dom. Hubert, honorując śmierć matki, poszedł pić.

Justyna zasnęła na kanapie, Drops ułożył się na niej. Nie miała, szczęśliwie, żadnych wizji.

Trzy dni później na pogrzebie faktycznie uformował się długi kondukt. Znacznie dłuższy, niż Justyna sobie wyobrażała. Nie wiedziała, że tylu ludzi mieszka w naszej wsi – pomyślała.

Msza była długa i ceremonialna. Organista, opłacony sowicie przez Huberta, śpiewał długo i smętnie, a kazanie było retorycznym popisem księdza. Rozwodził się nad przymiotami zmarłej, która w jego mowie jawiła się jako anioł dobroci i wyrozumiałości.

Justyna szła na przedzie konduktu ze spuszczoną głową. Lepiej, żeby nikt spoglądał w moje oczy – postanowiła. – W nich widać, co myślę naprawdę, dzisiaj lepiej tam nie patrzeć.

Przyjmowanie kondolencji ciągnęło się, każdy uważał, że ma obowiązek wyrazić żal, choć Justyna nie miała wątpliwości, że już jutro osoba Bogny zacznie pograżać się w mroku. Chyba że na stypie wydarzy się

coś szczególnego, na przykład zabraknie bigosu – pomyślała. Nie zamierzała jednak do tego dopuścić.

Zapraszamy na konsolację w domu zmarłej – powiedziała w pewnym momencie Magda, gdy żałobnicy zaczęli się już rozchodzić.

– Dziękuję – wyszeptała Justyna. – Zapomniałam. A Hubert jest jak nieprzytomny.

Przyjaciółka uśmiechnęła się. Poprowadziła zgromadzonych do domu zmarłej, wszystko było tam już przygotowane. Hubert ruszył niedługo potem, tylko Justyna została na cmentarzu do końca. Dlatego też tylko ona zobaczyła, jak Mieczysław, ubrany w swoją granatową pikowaną kurtkę, przemierza cmentarz i kieruje się w stronę starej części, tuż przy ogrodzeniu. Poszła za nim. Większość żałobników zostawiła kwiaty na świeżo usypanym grobie Bogny, Mietek jednak niósł je w rękę. Justyna miała niejasne wrażenie, że przed chwilą widziała je wśród sterty kwiatów złożonych Bognie, ale nie zamierzała robić z tego problemu. Teściowej kwiaty i tak już niepotrzebne, zwiędną tak samo tu, jak gdzie indziej – pomyślała.

Idąc za Mietkiem, zorientowała się, że zmierza... Tak, dokładnie tam. Doszła do grobu z niewyraźnymi literami, odczytała jednak inskrypcję: „Anna, szczęśliwa matka i żona, Tobie siebie powierza, o Boże. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym, otoczona aniołami”.

Mieczysław spojrział na nią wrogo, nic jednak nie powiedział.

Justyna pochyliła się nad kamieniem. Naprawdę nie ma tu nic innego?

– Napis był inny – wyszeptała.

– Ród twój, z mojej krwi, coraz mniejszy będzie. – Zaśmiał się chrapliwie.

– Co? Skąd to znasz? – Justyna gwałtownie uniosła głowę.

– Ja znam? Ja znam? Skąd ja znam? – Mietek zaczął tańczyć. – Ja nie znam, mój ojciec znał, i dziadek znał. Oni znali, a ty nie możesz! – Pchnął Justynę, aż usiadła na nagrobnej płycie. Rzucił nad jej głowę kwiaty ukradzione ze sterty wiązanek złożonych w czasie dzisiejszego pogrzebu.

Coraz mniejszy będzie... coraz mniejsze będzie – kołatało Justynie w głowie, gdy wracała do domu. Spotkała Pokrzydłową, zachorka szła powoli, Justyna miała wrażenie, że czekała na nią.

– Ziola jeszcze masz? – zapytała kobieta, która nawet tego dnia miała na sobie fioletową spódnicę, choć bluzkę założyła czarną.

Justyna kiwnęła głową.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam – odpowiedziała kobieta.

Na spotkanie wyszła im Magda, zaniepokojona długą nieobecnością przyjaciółki.

– Wszyscy na ciebie czekają – powiedziała.

– Przecież jest Hubert. – Justyna wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że z bólu po śmierci mamusi jest niedysponowany. Musisz pełnić honory domu.

*Co myślałam, kiedy tu przyjeżdżałam? Że będzie łatwo? Że sprawy poukładają się dobrze, bo tak? Może i dobrze myślałam. Tak przecież być powinno. Wszystkie dokumenty... Widziałam wiele. Wszystko się zgadzało, ciągle się zgadza. A to znaczy, że jestem coraz bliżej. Ja jestem tobą, ty jesteś mną.*

*Najtrudniejszy był początek. A gdy już przejdzie się pierwsze kroki, dalej iść staje się oczywistością. Najtrudniejszy pierwszy krok. A ja jestem już niedaleko. I doprowadzę rzecz do końca. Bowiem wszystko zaczyna się spełniać. Układać.*

*Dokumenty. Listy. Pamiętniki. Drzewa. Przepowiednie. Wszystko splata się w zaplanowany wzór. Staje się pełnią, całością, spełnieniem.*

*Ułożę sprawy albo sprawy ułożą się. Niech popatrzą jeszcze: Anna – Karolina – Bogumiła – Martyna – Bogna. Ale po drodze jeszcze Krysia. Wyklęta? Zapomniana? A ona nie zapomniała. Gdyby Anna tego dożyła, nie dopuściłaby. Ale Krystyna wyjechała, daleko, nigdy nie wróciła. Za mężem, za sercem, za miłością. Czy była szczęśliwa? Któż to wie?*

*Ja to wiem.*

## Rozdział 32

Justyna stała przed kuchennym oknem, spoglądając na zaśnieżone pola. Zima na wsi to przeżycie jedyne w swoim rodzaju – pomyślała, drapiąc Dropsa. Wskoczył na blat i rozłożył się bezwstydnie, całym sobą mówiąc: pieść mnie. Miała wrażenie kompletnej izolacji.

Gdyby nie telewizor i komputer, zwariowałabym. I telefon. Jak ludzie sobie kiedyś radzili? Racja, kiedyś ten dom tętnił życiem. Biegały dzieciaki, razem żyli rodzice, dziadkowie i pradziadowie. A dzisiaj tylko Hubert i ja.

Drops miauknął.

– I ty, oczywiście. – Uśmiechnęła się do kociaka. – Ale u nas dzieci nie będzie, niedoczekanie.

Teściowa musiała wiedzieć...

Robiąc porządki w jej sypialni, Justyna znalazła mnóstwo śmieci. Duperelek, tandetnych figurek z różnych części Polski, zapas nigdy nieużywanej bielizny, w której gumy zdążyły sparcieć. Oszczędzała pewnie na lepsze czasy – myślała synowa. – Kolejny dowód, że trzeba żyć tu i teraz.

W szafie znalazła także dwa pudełka. W jednym znajdowały się dewocjonaia – pamiątki z kilku pielgrzymek do Częstochowy, dwie figurki Matki Boskiej, jeden ryngraf z wizerunkiem Maryi i obrazek na szkle z Kalwarii Pałacowskiej. Owinięta w kawałek białego jedwabiu leżała tam też świecąca figurka Matki Boskiej z Lourdes. I flakonik, w którym sparciał korek, zapewne niegdyś ze świętą wodą. Na białym materiale pozostały ślady po zalaniu.

Dlaczego nie trzymała tych pamiątek gdzieś na widoku? – zastanawiała się Justyna. – Przecież była klasyczną dewotką, a i książk byłby zadowolony podczas odwiedzin. Zapewne się już tego nie dowiem.

Drugie pudełko zawierało listy. Justyna otworzyła je, po czym zamknęła i odłożyła. Poczuli, że to tak bliskie wejście w świat Bogny, że zbyt intymne. A na takie kontakty ze świekrą nie miała ochoty.

Wysprzątała więc sypialnię na błysk i nawet nie zapytała o to Huberta. Możliwe, że chciałby zaprotestować, chociażby z przekory.

Wywietrzyła, umyła wszystkie meble, wyjęła wszystko z szuflad komody i z półek szafy. Przygotowała trzy worki z ciuchami do wydania. Wypucowała okna. Znalazła trochę złotej biżuterii, głównie z czerwonego, ruskiego złota. Dwa duże pierścionki, z szeroką i grubą ażurową oprawą, jeden z czerwonym, drugi z żółtym kamieniem. Jeden niewielki srebrny pierścionek z opalem, wyrób prosty, wręcz jarmarczny. Kilka wisiorków, trzy łańcuszki. Broszka, wielki kamień, prawdopodobnie hematyt, w prostej srebrnej oprawie.

Justyna oglądała je, wysypawszy na łóżko. Ot, dorobek życia w jednym pudełku. Plus synuś brutal, w niedalekiej perspektywie zapewne pijak. Ród skazany, tylko na co? – zastanawiała się.

Sprzątanie zajęło jej kilka dni. A potem... Potem sięgnęła po pudełko z korespondencją Bogny. Ostatnie lata zostały uwiecznione kilkunastoma kartkami pocztowymi. Justyna szukała podpisów, znalazła wyłącznie sąsiadki. Żadnego tajemniczego nadawcy. Głębiej odnalazła kilka listów, Bogny do męża, jego do niej. Justyna trzymała chwilę w dłoniach pakiet poźółkłych kopert przewiązanych niebieską stilonową wstążeczką. Otworzyła kilka. Przez całe życie napisali do siebie zaledwie kilkanaście listów. Wszystkie z sanatorium. Zawierały opisy pokojów, spacerów po parku zdrojowym, narzekanie na zbiorowe żywienie. Nie natknęła się na żadne romantyczne wyznania miłosne. Starsze listy też były powiązane wstążeczkami. Koperty były niebieskie, przasne, a listy utrzymane w podobnym tonie. Jeszcze starsze zawierały elegantyjszy papier i podobną treść. Justyna przeglądała je pobieżnie. Na samym dnie znalazła kartkę. Pozaginana

na czworo, po rozłożeniu papier okazał się poprzecierany na tyle, że ledwo trzymał się w całości. Choć właściwie owa całość wcale nie była potrzebna, zapisany był tylko drobny fragment. Justyna przeczytała ze zdumieniem:

*Ród twój, z mojej krwi,  
coraz mniejszy będzie.  
Ni owocu, ni zwierzęcia  
w twej zagrodzie aż po czas,  
w którym krew z krwi uratuje nas.*

Bogna to znała? Czyli wiedziała...

Justyna potrząsnęła głową. Zamknęła pokój na klucz, wywietrzony i ze zmienioną pościelą. Jakby ktoś miał się tu wprowadzić – pomyślała. A potem posprzątała cały dom.

Jakbym wyganiała jakiegoś złego ducha – pomyślała. Sama wyglądała jak duch. Spojrzała na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i parsknęła śmiechem. Zawinęła włosy chustką, na prawym policzku została jej smuga kurzu, czoło świeciło się od potu.

Brakuje mi tylko miotły, poza tym czarownica pełną gębą.

I tak nikt na nią nie patrzył. Hubert nie był zainteresowany niczym poza piłką i posiłkiem o stałej porze, z nikim innym Justyna się nie spotykała. Nawet z Magdą. Rozmawiały codziennie przez telefon, ale wysoki śnieg skutecznie zniechęcał do spacerów. Nawet asfalt we wsi odśnieżany był własnym sumptem mieszkańców. O drogę do ich domu nikt się nie zatroszczył.

Justyna się nie przejmowała. Zapasy miała w spiżarni duże, a jedli niewiele. Hubert nie nadawał się do towarzyskich spotkań, a i ona nie miała na nie ochoty.

Teraz stała i patrzyła przez okno na zaśnieżoną wieś. Zaledwie kilkaset metrów, a niemal drugi koniec świata – myślała, wciąż pieszcząc Dropsa.

Właściwie nawet nie wiem, po co przygotowywać święta. Dla Huberta i dla mnie? Głupio jakoś. Ale nie wyobrażam sobie, żeby ich nie było.

Następny dzień przyniósł odpowiedź na jej rozmyślenia. Zaczęła się gwałtowna odwilż. Do wieczora śnieg został tylko na polach. Podwórze zamieniło się w basen błota, wszystkie wydeptane ścieżki we wsi były strumieniami.

– Wiosna! – wykrzyknęła Magda, gdy rozmawiały przez telefon. – Może w końcu do mnie wpadniesz?

Następnego ranka zatem Justyna wybrała się do przyjaciółki. W czarnej sukience i z szarą twarzą.

– Schudłaś! – zauważyła Magda i nie było w jej głosie zachwyty.

– Wiem, wyglądam jak śmierć na urlopie. Przydałby mi się jakiś spacer, ostatnio tylko sprzątam, nosa nie wyściubiałam z domu.

– Od was było trudno się wydostać. – Magda pokiwała głową.

– Zasypani w dwudziestym pierwszym wieku. – Justyna się uśmiechnęła.

Przy herbacie rozmawiały o niczym.

– Nie wiem, czy chce mi się robić święta. – W pewnym momencie Justyna wzruszyła ramionami.

– Nie żartuj! – oburzyła się Magda. – Święta to święta! Muszą być.

– Tylko dla Huberta i dla mnie?

– To przyjdźcie do nas.

– Już to widzę, Hubert nie nadaje się do ludzi.

– No weź, bo ci chłop zdziczeje.

– Czemu używasz czasu przyszłego?

– Nie bądź sarkastyczna. To ja przyjdę do was. Po wigilii.

- A to jest pomysł. - Przyjaciółka się ucieszyła. - Przynajmniej będą święta. Zrobię listę rzeczy, zamówisz mi?

- Pewnie - przytaknęła z uśmiechem Magda. - Wszystko, czego chcesz.

Wierzę, kochana, że byś chciała. Ale nie dostarczysz mi wszystkiego, czego chcę - pomyślała Justyna i wstała.

- Czas na mnie. Mam posprzątać, ale obiad nieodgrzany.

- Dla siebie byś nie grzała, prawda?

- Tylko dla siebie nie.

Pożegnały się i Justyna wróciła do domu. Przy obiedzie zagadnęła Huberta:

- Święta za pasem. Pojadę do Przemyśla.

- U Magdy zamów.

- Zamówię. Ale święta to święta. Nie wszystko można kupić w wiejskim sklepiku.

- Obraziłaby się ta twoja przyjaciółeczka.

- Dlatego poproszę cię, żebyś jej o tym nie mówił.

- Jedź. - Wzruszył ramionami.

Nie do końca o to jej chodziło. Miała nadzieję, że Hubert zawiezie ją do miasta. Zimowa podróż autobusem nie była szczytem jej marzeń. Lepiej jednak taka zgoda niż żadna.

- Jedz - zachęciła. - Nikniesz w oczach.

- Jak matka - skomentował bez emocji.

- Nie opowiadaj głupot - rzuciła z oburzeniem.

Hubert wzruszył ramionami. Pogrzebał jeszcze łyżką w talerzu, ale już nie jadł.

- Pusto tu u nas - powiedział.

Justyna kiwnęła głową.

- I w twoim brzuchu też ciągle pusto - stwierdził.

Justyna westchnęła, ale tak niewidzialnie, by nie irytować męża. Znowu - pomyślała.

Posprzątała po obiedzie i udała się do sypialni. Hubert już tam na nią czekał, nagi, z przygotowanym pasem. Od pewnego czasu nie potrafił się podniecić bez ceremoniału bicia. Na Justynie nie robiło to już wrażenia. Mąż był coraz słabszy i opuszczał rękę z coraz mniejszym impetem.

Rozebrała się, uśmiechnęła do niego i położyła naga na łóżku. Hubert wstał leniwie, również nagi. Drgnęła, gdy pas spadł pierwszy raz, ale nawet nie pisnęła. Już nawet bić porządnie nie potrafisz - pomyślała z satysfakcją. Dopiero po kilku uderzeniach był gotów do stosunku. Wszedł w nią, spełniając obowiązek. Gdy skończył, nie zainteresował się Justyną, opadł obok niej z cichym stęknięciem, a ona się uśmiechnęła. Wolała okazać emocje, jakiegokolwiek, chociaż w ogóle ich nie przeżywała.

- Znalazłam coś takiego, porządkując sypialnię mamy - powiedziała do męża, sięgając po pozaginaną kartkę.

Hubert odwrócił głowę. Uniósł się na przedramionach, gdy zobaczył napisany tekst.

- To? Nic. Bzdury jakieś. - Udał, że go to nie obchodzi.

- Co to jest nic? - Justyna wiedziała, że zaraz po seksie może naciskać, a nawet zadawać niewygodne pytania.

- E tam, przesady takie. Matka mówiła, że to kłątwa.

Justyna raptem odniosła wrażenie, że światło zgasło. Po chwili uświadomiła sobie, że tak ściemniała aura Huberta. Stała się ciemnobrunatna, już bez żadnych niebieskich pasów. Bez koloru, dla którego Justyna tu z nim przyjechała.

- Jaka kłątwa? Co ty gadasz?



- Babskie bzdury - odpowiedział i się odwrócił. Po chwili Justyna usłyszała ciche pochrapywanie. Wstała i zeszła na dół. Drops kręcił się pod nogami, wzięła go na ręce.

Szykując posiłek na następny dzień, usłyszała strażacką syrenę. Jakby nie mogli wreszcie wprowadzić elektroniki - skrzywiła się. - Jak za króla Ćwieczka, ciągle syreny. Wszędzie w cywilizacji mają już powiadomienia, tylko u nas, zabytek, syrenka... Chciałam wsi, to mam - pomyślała.

Po chwili usłyszała Huberta schodzącego z góry. Zwykle na dźwięk syreny zbiegał energicznie, dziś raczej powłóczył nogami. Czekala na niego z przygotowanym termosem. Nigdy nie było wiadomo, kiedy wróci, więc ciepła kawa mogła się przydać.

- Nie pojedę dzisiaj na akcję - powiedział. - Nie mam siły.

Zdarzyło się to po raz pierwszy w jego życiu.

## Rozdział 33

- I po co? - zapytał apatycznie Hubert.

- Jak to? Dwanaście potraw. Tyle, ilu apostołów.

- Raczej: ile miesięcy.

- Nie, apostołów - perswadowała Justyna. Upierała się ostatnio coraz częściej. Miała odwagę, bo Hubert był coraz słabszy, potrafił przespać pół dnia, snuł się po domu bez celu.

- I tak nikt tego nie zje. - Wzruszył ramionami.

Justyna potwierdziła skinieniem głowy.

- Zamrozę.

- Mrożone ohydne.

Co ty o tym wiesz - pomyślała i uśmiechnęła się kątem ust tak, żeby mąż nie widział. Nie czujesz smaku od tygodni.

- Będzie dla mnie - odpowiedziała zgodnie.

- Mak robisz?

- Tak.

- Na słodko? Co wymyślasz?

- Kluski z makiem. Z rodzynkami. Tak mój tata lubił.

Hubert się skrzywił.

- A pieróg z powidłem będzie?

- Co będzie? - zapytała Justyna, nie ukrywając zdziwienia.

- Jak ty nic o życiu nie wiesz. W wigilię pierogi z powidłami śliwkowymi, mus. W ubiegłym roku matka robiła, nie pamiętasz nawet.

Nie pamiętała. Popatrzyła na męża z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Jak ja ci dam żarty. - Uniósł rękę. Justyna się uchyliła, ale ręka Huberta opadła bezwładnie. - Co ja tam zresztą czas będę tracił. A kluski z makiem to nie z makaronem, tylko z kruchym ciastem. Połamamym. Innego nie podawaj, bo miskę wyrzucę. I gołąbki z kaszą gryczaną zrób.

Wyszedł z kuchni powolnym krokiem starego człowieka. Gdzie się podział mój wysportowany, gibki mąż? - pomyślała Justyna. Bez żalu jednak, raczej z satysfakcją. - I proszę, nie bije nawet, taki dobry mąż!

Odstawiła miskę z makiem, wyjęte z lodówki ryby włożyła tam z powrotem. Zdjęła fartuch i wyszła do sieni. Nie przypuszczała, że na dworze będzie aż tak zimno.

Zaraz po wyjściu otuliła się szczelniej szalem. Drogi pod śniegiem praktycznie nie było widać, choć śnieg w ostatnich dniach nie padał. Zawieja jednak ustąpiła dopiero niedawno. Poprzedniego dnia i przez całą noc wiatr hulał po polach, przykrywając wszystko równą, nienaruszoną warstwą. Droga odznaczała się nieśmiało, delikatnymi zaledwie pagórkami wcześniej odgarniętego śniegu. Justyna szła, lawirując pomiędzy. Miała wrażenie, że narusza czystą powłokę, że swoimi krokami niszczy pierwotny zamysł.

Zwykle to Hubert troszczył się o odśnieżanie we wsi. Nie on jeden, oczywiście, cała strażacka remiza dbała o pomoc sąsiadom. Jednak to Hubert inicjował wszelkie akcje. Gdy jego w remizie zabrakło, odśnieżanie we wsi też istniało ledwie szczątkowe, a już o drodze do ich domu myślano na samym końcu. Od początku zimy pług przejechał zaledwie dwa razy.

Muszę dowiedzieć się od Magdy, co to jest, do licha, pieróg z powidłem. Bo nie pamiętam i mam nadzieję, że nie to, co myślę – zastanawiała się, pokonując kolejne metry.

Odwróciła się. Las stał majestatyczny, ciemnozielony, zielenią prawie czarną, dostojną. Wrażenie koloru potęgowała jeszcze biel osadzona na gałęziach. Cudowny – pomyślała. – Idealny na bożonarodzeniową kartkę.

– To do mnie chodź – usłyszała w głowie.

Zupełnie jej to nie zdziwiło.

– Jeszcze czego – odpowiedziała szeptem.

*Las jest piękny* – słyszała cały czas w głowie. – *Śnieg jak puch, lekki. Nic, tylko zasnąć jak na miękkiej poduszce. Więc chodź... chodź...*

Odwróciła się. Zrobiła pierwszy krok w stronę lasu, po własnych śladach. Drugi. Upewniła się, że właśnie tak należy. Iść w tamtą stronę. Las jest dobry, las na nią czeka.

– Justyna! – usłyszała. – Justyna!

Otrząsnęła się. Jakby się obudziła z letargu. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do nadchodzącej Magdy.

– Szłam właśnie do sklepu, dzisiaj później otwieram. I widzę, że ty już wracasz.

– Właśnie – odpowiedziała Justyna. – Miałam nadzieję na herbatę w dobrym towarzystwie.

– To zapraszam. – Magda pociągnęła Justynę za rękę. Do sklepu dobiegły, rozgrzewając się w ten sposób odrobinę. – Już robię – odpowiedziała Magda, zdejmując płaszcz i strzepując resztki śniegu z włosów.

– Telefon to jednak nie wszystko.

– Zimno! – powiedziała Justyna.

– Nie grzeję, jak mnie tu nie ma. Za drogo.

– A tak lodówka za darmo.

– Właśnie – potwierdziła z uśmiechem Magda. – Ale piecyk szybko nagrzewa. Ciastko zjesz?

– Pewnie! Ja zresztą z pytaniem o kulinaria. Co to jest pieróg z powidłem?

– Pierogi z powidłami śliwkowymi. Czemu pytasz?

– Hubert sobie zażyczył na Wigilię.

– Jasne. Biały barszcz i gołąbki z kaszą gryczaną też?

– O barszczu zapomniał.

– Na pewno sobie przypomni. To były sztandarowe dania wigilijne Bogny. Poproszę matkę, podeśle ci przepisy. Ale przecież nie musisz nic robić. I tak przychodzicie do nas w wigilię. Bo przekonałaś w końcu Huberta, prawda?

– Niechętnie, ale w końcu się zgodził. Niemniej coś muszę zrobić, z pustymi rękami nie przyjdę, a i wcześniej coś jeść musimy. Jakie to dobre!

– Zwyczajny pleśniak mojej matki. – Magda wzruszyła ramionami. – Potrzeba ci coś? Zamówienie będę robić.

– Chyba nie... Mało jedzenia teraz zużywamy. Chociaż i wcześniej nie było potrzeba wiele więcej. A co ty taka nie w sosie? Stało się coś?

Magda przygryzła wargę.

– Nie... Nic takiego. Nie pomożesz.

– Pewnie nie, ale chociaż wysłucham.

– Córeczka mojego brata... wiesz, ta malutka.

– Amelka? Ta trzyletnia blondyneczka? Wiem.

– Jest chora.

– Każdy dzieciak choruje. Nie przejmuj się.

- Łatwo ci mówić.
- Ale co, kaszle? Smarka, gorączkuje?
- Stwierdzono u niej białaczkę.

Justyna wstrzymała oddech. Zamrugnęła.

- Białaczkę?
- Właśnie. Więc sama rozumiesz, nie pomożesz.

Justyna zamilkła. Zamknęła oczy. Oddychała teraz równo, miarowo, spokojnie.

- Justyna? Justyna?

Magda poczuła się zaniepokojona, gdy przyjaciółka nie odpowiadała przez prawie dwie minuty.

A kiedy już otworzyła oczy, powiedziała:

- To nie jest białaczka.
- Też chciałabym w to wierzyć. - Magda odetchnęła, że przyjaciółce nic się nie stało.
- Idź do Pokrzydłowej. Ona da ziół, musicie je parzyć ściśle wedle instrukcji.
- Zioła mają pomóc na białaczkę?

- To nie białaczka - stanowczo podkreśliła Justyna. - Mała się zatrula. Nie wiem czym, ale zioła na to pomogą. Tylko musicie się śpieszyć. Dzwoni do matki, ale już. Niech bierze małą i idźcie do znachorki, póki jest w domu.

- Justyna? - Magda patrzyła na nią z niedowierzaniem.
- Czy to coś zaszkodzi?

Magda z ociąganiem sięgnęła po komórkę.

- Matka jest zdesperowana. Zrobi wszystko dla wnuczki, nawet nie zadając pytań.

- I bardzo dobrze. A mnie zamów może trochę tych powideł śliwkowych, nie mam chyba, a przecież do pierogów potrzeba.

Magda jednak nie słuchała przyjaciółki. Zakładała już palto. Trudno, dziś sklep będzie zamknięty. Skoro trzeba się śpieszyć... Nie zostawi przecież matki samej.

Justyna wracała powoli po własnych śladach. Jak to dobrze, że Magda nie zwróciła uwagi na ich brak. Przecież Justyna wcale nie doszła do sklepu, nie sprawdziła, że jest zamknięty, nie wracała do domu po bezcelowej wizycie. Przecież gdyby tak było, zadzwoniłaby do przyjaciółki. A przede wszystkim, gdyby tak było, do sklepu prowadziłyby ślady podwójne, w obie strony. A tych nie było.

Skąd mi to przyszło do głowy? Napakowałam Magdzie nadziei do głowy, jak mogłam? Co pomoże Pokrzydłowa? Zielarka, mądra kobieta, ale co poradzi na niewłaściwie działający układ immunologiczny? Czy co to tam jest? Po co to zrobiłam? Magda pędzi do domu, narobi matce nadziei, niepotrzebnie będą szarpać małą, po co ja to zrobiłam?

Nie powinnam.

*Powinnaś* - usłyszała w głowie szept.

- Nie powinnam! - powiedziała głośno.

Usłyszała w głowie śmiech.

*Nie masz pojęcia, co powinnaś. Ale ja ci powiem. Powinnaś teraz do mnie przyjść...*

- Nigdzie nie pójde - powiedziała Justyna. Przyspieszyła. Dosłownie biegiem wpadła do domu, nie patrząc w stronę lasu, z uporem, który z każdym krokiem kosztował ją coraz więcej.

- Coś taka zdyszana? - zapytał Hubert, widząc wchodzącą żonę. Siedział przed telewizorem, oglądał powtórkę jakiegoś meczu. Co dla niego nietypowe - nie podskakiwał, nie komentował, nie rzucał mięsem. Choć butelka z piwem stała przed nim opróżniona do połowy.

- Biegłam, bo zimno. Trochę się rozgrzewałam, żeby choroba jakiejś nie złapała.
- A po co łąziłaś?

– Po przepisy, dla ciebie, na święta. Niedużo zrobię, bo idziemy do Osińskich, ale przecież z pustymi rękami nie pójdziemy.

– A po co my tam łązić będziemy? – zapytał apatycznie.

– Jak to po co? Już to przecież uzgodniliśmy. Żebyśmy sami w domu nie siedzieli. To wigilia, święta, czas radości, Jezus Chrystus się narodził, by nam przynieść zbawienie.

Wzruszył tylko ramionami i wrócił do oglądania meczu.

Justyna nie weszła nawet do kuchni. Poczekam na przepisy od matki Magdy – pomyślała.

Weszła za to na strych, Drops, który przespał cały poranek, wdrapał się za nią. Zwinął się w kłębek na łóżku, Justyna włączyła lampki i usiadła obok kociaka.

*Nie chciałam wierzyć, gdybym nie widziała. Moje чудо. Córeczka moja. Niewinność moja, dobroć ukochana. Chłop to jednak chłop. Głupi. Straszny. Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam? Dzieci własne skazałam na takiego ojca.*

*Mnie może bić, trudno. Przywykłam, choć nie wydawało się to możliwe. Kiedy to było? W poprzednim życiu. Jak nazywała się ta guwernantka? Muszę poszukać w swoich zapiskach, bo nie pamiętam. Sabine. Tak, Sabine. Ciekawe, co u niej? Czy moja siostra ma dzieci? Potrzebuje dla nich guwernantki? Czy może Sabine wróciła do Paryża, w którym podobno nikt na nią nie czeka, ale przecież ona całe życie czekała na to miasto? I gdzie to jest – Paryż? W innym świecie, nieistniejącym dla mnie.*

*Ja? Zastąpiłam na każdą karę. Wszystkiemu się poddam. Zgrzeszyłam przeciw ojcu i matce, wyrzekłam się swojego dziedzictwa, rodziny, historię rodu oddałam za mrzonkę nazywaną miłością, za to coś, co przecież istnieje wyłącznie w poetyckich strofach. Ale dlaczego ona! Ona! Michasia moja. Ukochana moja. W normalnym świecie, w którym się urodziłam, takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Nie dzieją się w ogóle! O tym się nawet nie pisze w książkach. A tu... Ten... Ten... Nie mam słów. Chciałabym go zabić. Tak zabić, własnego męża, który wchodzi na mnie bez umiaru i któremu wciąż mało! Jemu mało! Chciałabym go zabić.*

*Czy miałabym siłę, żeby zabić?*

Justyna odłożyła pamiętnik, zastanawiając się, co mogło tak wzburzyć Annę. Krzywda wyrządzona Michalinie, na pewno. Czy Jan ją... Niemożliwe. Justyna natychmiast odrzuciła tę myśl. Rozejrzała się po pokoju. Śnieg częściowo przykrywał okna, ledwo było widać niebo. Podeszła do szyby. Noc była bezchmurna, rozświetlona gwiazdami. Justyna stanęła na palcach, spojrzała w stronę lasu, nie dostrzegła ciemnej ściany. Zlewała się z granatowym niebem, ale Justyna wciąż słyszała w głowie głos. *Ty jesteś mną, ja jestem tobą. Ty jesteś mną...*

Potrząsnęła głową. Muszę wreszcie coś z tym zrobić – pomyślała.

## Rozdział 34

Do Pokrzydłowej wybrała się następnego dnia. Śnieg nie padał, ale trzymał ostry mróz. Biały puch zmienił się w lodową skorupę. Chrzęściła Justynie pod stopami. Wczorajsze ślady odznaczały się nieregularnymi wgłębieniami, bawiło ją dokładne stawianie stopy w tym samym miejscu.

Jakbym zatrzymywała wczoraj – pomyślała z uśmiechem, choć wcale nie miała powodów do zadowolenia. Hubert był wprawdzie coraz słabszy, ale jego furia nie malała. Coś poszło nie tak w jakichś rozgrywkach sportowych, nie nadała w jakiej dyscyplinie. Po prostu, Hubert był zły. I choć jej nie zbił, za co odczuwała wdzięczność, to rzucał naczyniami po domu. Pal lichy ślubne prezenty jego matki, hołubione przez Bognę w kredensie. Zupełnie Justyny nie obchodziły. Ale sprzątanie po rozbitych pełnych cukiernicach – już tak. I talerzu gęstej grochówki. Zaświłł cały dół, zanim opadł z sił, i poszedł spać.

Justyna doszła do głównej drogi, spojrzała w ciemne szyby sklepu. Zza nich widać było Magdę, odwróconą tyłem, obsługującą klienta. Justyna minęła remizę i kościół, weszła do świątyni na chwilę, jak nakażywał lokalny obyczaj. Po prostu – wejść, przyklęknąć, oddać Panu pokłon. Ksiądz lubił, jeśli przy okazji wierni wrzucili grosik do skarboxy, ale jeśli nie widział – zwykle tego nie robili. Z reguły nie widział. W kościele przebywał w czasie mszy i innych nabożeństw, poza tym wolał kanapę w nagrzanym kominie salonie plebanii.

Justyna poszła dalej, drogą odśnieżoną niczym wąska ścieżka. Teoretycznie mógł tędy przejechać jeden samochód. Jeden. Co kilkaset metrów spychacz zrobił mijanki, takie na grubość lakieru. Justyna miała wrażenie, że idzie w śnieżnym tunelu. Znad niego widać było pewnie czubek jej niebieskiej czapki, którą kupiła ostatnio w Przemyślu. Wielki pompon był neonowotęczowy. Na pewno nie podobałby się Bognie.

Droga się dłużyła. A jak nie ma odśnieżonego skrętu? – pomyślała Justyna. Była u Pokrzydłowej tylko raz, latem. Jednak i teraz trafiła bezbłędnie. Ścieżka do domu zielarki była odśnieżona dokładnie tak samo jak główna droga. Choć ona nigdy o to nie prosiła. Mieszkańcy sami dbali, żeby nigdy jej na niczym nie zbywało.

– Jesteś nareszcie – powiedziała Pokrzydłowa do Justyny, gdy ta przestąpiła próg. Bez pukania, bo tak sobie życzyła zielarka.

Pukanie to zawracanie głowy – mawiała. – Przecież i tak ten, który puka, wejdzie.

Justyna więc nie pukała, ale kilkakrotnie przed wejściem otrzepała buty ze śniegu. Takim tupaniem obudziłaby słonia. Albo demona – pomyślała Justyna, wolała jednak wersję ze słoniem.

– Nareszcie? – Justyna się zdziwiła.

Zielarka wzruszyła ramionami.

– Czekam na ciebie od wiosny.

– Byłam latem... – odpowiedziała Justyna niepewnie.

– Nie udawaj. Ja wiem wszystko.

– Ale...

– Jak tak, to mów, po co przyszłaś. – Pokrzydłowa wzruszyła ramionami. – Siadaj.

Wskazała Justynie fotel po drugiej stronie kominka.

Pachniało ziołami, które z całą pewnością znalazły się w ogniu. Justynie zakręciło się w głowie.

– Ja... – zaczęła i zapadła w sen.

Pokrzydłowa wstała i obesła dziewczynę dookoła. W kamiennej misie zapaliła zioła, które specjalnie odłożyła na tę okazję, i stanęła prosto, z zamkniętymi oczami wdychając gęsty, gorzkawy aromat. Złożyła

ręce, szeptała jakieś modlitwy, przez chwilę coś nuciła. Oddychała szybko, a gdy otworzyła oczy, wykonała kilka tanecznych gestów, jakby się komuś kłaniała.

– Na pewno tak – wyszeptała, gdy stanęła znów wyprostowana. – Tak musiało być. I ona wie, ale nie wszystko. Robi jednak, co powinna, nic więcej nie trzeba.

Wtedy zaparzyła ziołowej herbaty, zwykłego rumianku, i otworzyła okna. Przegoniła kilkoma ruchami ręki aromat ziół palonych w kominku, wiatr zabrał pasma dymu, jakby na nie czekał. Zamknęła okno i usiadła naprzeciw Justyny.

Dziewczyna wybudziła się w ciągu kilku minut. Zamrugowała, rozkleiła zaschnięte usta.

– Napij się – powiedziała Pokrzydłowa. – Rumianek, nie zaszkodzi ci.

– Co to było? – zapytała Justyna.

Zielarka uniosła ramiona w niemym pytaniu.

– Ten sen. To było...

Znachorka wciąż czekała.

– Byłam w moim własnym domu. Na pogrzebie. Ale nie było trumny, ciała, nie było trupa, tylko żałobnicy.

– I?

– I nie wiem, co tam robiłam.

– Obserwowałaś zapewne.

– Ale po co?

– Któż wie, po co tu jesteśmy?

Tym razem Justyna nie odpowiedziała.

– Ty wiesz, dlaczego tu przyjechałaś.

– Przyjechałam, bo zakochałam się w Hubercie.

Zielarka zaczęła się śmiać. Głośno, najpierw serdecznie, aż drgała jej broda. Potem jej śmiech zmienił się w groźny, ironiczny, Justyna się przestraszyła. To demon! – przemknęło jej przez myśl.

Gdy się ocknęła, Pokrzydłowa siedziała w fotelu naprzeciw, ani się nie śmiejąc, ani nic nie mówiąc. Po prostu czekając.

– Przyjechałam za kolorem niebieskim.

– I to jest ta odpowiedź. – Pokrzydłowa kiwnęła głową ze zrozumieniem. – Czyli wszystko wiesz.

– Nic nie wiem!

– A jednak. Wiesz wystarczająco. A czego nie wiesz, dowiesz się. Tu masz ziółka. – Podała jej papierową wygniecioną torebkę po cukrze.

– Ale...

– Dość pytań. Zaparz je, gdy ci dokuczy.

– Kto...

– Dość! – krzyknęła zirytowana zielarka. – Te, co ci zostały, parz mu codziennie. A te zaparz mu, gdy będzie nieznośny. Tak bywa, szczególnie pod koniec. Te dwie rzeczy będą do siebie pasować jak ulał. Idź już. Duszno mi.

Justyna wyszła rozgrzana. Nie pamiętała potem, jak doszła do domu. Szła tą samą drogą? Zapewne. Musiała, innej nie było. Jechał jakiś samochód? Chyba nie, zapadł zimowy zmrok, nie kojarzyła żadnych świateł. Nic już nie kojarzyła. Weszła do domu, niepomna na wołanie lasu, które gdzieś tam – w tle – cały czas słyszała.

Dopiero we własnej kuchni odetchnęła głęboko. Co za bzdury – pomyślała, szykując posiłek. – Dwie rzeczy? O czym mówiła ta zielarka? Chyba mnie pokręciło, żeby iść do znachorki. Czego ja od niej chciałam? Głupia ja.

Ale ziółka zaparzyła i podała mężowi do obiadu.

Hubert przyszedł do domu, powłócząc nogami, zły i ciemny jak gradowa chmura. Ale po obiedzie wypogodził się i powiedział:

– Dobre było. Nawet się postarałaś.

Nie zdarzyło się to od... Odkąd Justyna pamiętała. Od chyba nigdy. Zawsze coś było niewystarczająco dobre. A w ocenie Bogny zawsze było niegodne nawet uwagi. Więc teraz...

Lepiej się nie zastanawiać. Położę się na chwilę tylko, bo dziś jeszcze muszę rybę włożyć w galarete, makowiec zawinąć i przygotować gryczany farsz według przepisu od matki Magdy. Roboty huk...

Głowa jej jednak opadała. Weszła do sypialni, przysposobiła sobie były pokój Bogny. Zasnęła na krótko, ale bardzo głęboko. Śniła o porządku, choć niczego nie sprzątała. Miała wrażenie, że ona sama jest kre-densem, a ktoś starannie układa w niej umyte słoje pełne – czego? Tego nie wiedziała. Miała w tym śnie jednak wrażenie pełni.

Gdy się obudziła, było już ciemno. Huberta nie było w domu. Zaniepokoiła się.

Gdzie go nosi? – myślała. – Ledwo ma siłę na piętro wleźć, gdzie on polazł?

Dopiero po półgodzinie wyszła przed dom. Mąż siedział przed furtką na kamieniu, miał na sobie kurtkę, szalik i czapkę, ale był w kapciach.

– Zwariowałaś? – Zdenerwowała się. – Będziesz chory!

– Już jestem. Przecież się kończę jak matka.

– Przestań. Głupoty opowiadasz.

– A tam mnie wołają.

– Co?

Hubert wskazał na ścianę lasu. Justyna spojrzała w tamtą stronę. Widziała tylko czerni. Dokładnie taką samą jak w aurze Huberta.

– Przestań gadać bzdury. Do domu! Wilka dostaniesz.

– Tylko bab to dotyczy. – Zaśmiał się. Wstał jednak i prowadzony przez Justynę wszedł do domu.

Chyba za dużo mu tych ziółek dałam – pomyślała. Usadowiła Huberta przed telewizorem, wciąż zachowywał się jak pijany. Był jednak spokojny. Justyna podeszła do okna. Zwykle unikała tej strony domu. Tam wołał las. Dotychczas jednak wołał tylko ją. Hubert? Po co tam on?

W kuchni spędziła kilka kolejnych godzin. Hubert zasnął na kanapie, Drops towarzyszył jej przez całe popołudnie. Podrzucała mu co smakowitsze kąski, rozpieszczony zwierzak nie chciał jeść byle czego.

– Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby teraz Bogna cię zobaczyła. Na jej kuchennym blacie! Ale jej tu nie ma. – Justyna wzięła kociaka na ręce. – Myślisz, że twoja sierść będzie w galarecie? Na pewno Bogna by coś takiego prognozowała.

Skończyła późno. Zrobiła kolację, Hubert ledwo ją skubnął, potem poszedł do sypialni. Do ich małżeń-skiej sypialni, w której spał już sam. Przeprowadzki Justyny nawet nie skomentował.

Justyna postanowiła poczytać. Nigdy do tej pory nie znosiła pamiętnika na dół. Teraz też tego nie zro-biła, choć przez chwilę rozważała tę opcję.

*Las. Las jest straszny.*

*Dlaczego więc koniecznie chcę tam iść?*

*Nie chcę. Wszystko to można było przewidzieć. Mogłabym wiedzieć, wszystko, nie tylko część. Jestem jednak głupia, choć wydaje się, że taka sprytna. Nawet nie mam komu o tym opowiedzieć. Zimą nie wyjdę w pole, nie usiądę na miedzy, zastanawiając się, który zapach lubię bardziej. Rumianek? A może po prostu – woń zboża? Najbardziej lubię patrzeć na chabry. Dlaczego myślę teraz o letnich kwiatkach?*

*Może po prostu za nimi tęsknię. Może dlatego, że gdy pierwszy raz zobaczyłam te niebieskie główki w zbożu – zachwyciłam się. Choć przecież to chwasty. Co z tego? Czy chwast nie może być piękny?*



*Może, oczywiście! Uwielbiam chwasty. Kocham to, co niepraktycznie, choć nie powinno mnie to w życiu zaprzętać. Tyle jest spraw do załatwienia. Do ogarnięcia. Do przygotowania. A ja szukam niebieskiej przyjemności w środku złotego pola.*

*Ale zimą nie muszę. Rzeczy do zrobienia jest mniej. Nie muszę dbać o ogródek, zbierać owoców ani szykować przetworów. Mogę siedzieć i patrzeć w granatowe okno. Jak ja lubię granat! To przecież kolor niebieski, jego ciemna odmiana, podrasowana czernią. Dobrze jest widzieć granat na niebie, szczególnie taki przetykany złotymi punktami, gdy gwiazdy oślepiają jasnością. To możliwe tylko w zimową, mroźną noc. Lubię wtedy siedzieć w domu, opatulona w koc, i patrzeć na nieboskłon.*

*Wszystko wcześniej wiedziałam. Ta niebieskość... Poruszyła mnie od pierwszego spojrzenia. Dlatego się w nim zakochałam?*

*To wszystko takie trudne. Takie... Jakie właściwie? Zrobię to, co zamierzałam. To, co muszę. Przecież muszę!*

*Muszę? Nic nie muszę. Chcę. Właśnie tak. Chcę i czerpię z tego przyjemność. I wszystko zrobię, jak należy.*

Justyna odłożyła pamiętnik. Zapatrzyła się w okno. Nie zasłoniła go, z łóżka widziała granatowe niebo i złote guzy gwiazd. I poczuła, że wcale nie chce wstawać.

Bo gdy wstanę, będę musiała patrzeć na las. Nie chcę patrzeć na las. Anna miała fajniej – wtedy nie było lasu. Co tam było? Przed domem był sad. Gdzie się podział sad? Powinam kiedyś zapytać Huberta, dlaczego nie hodujemy zwierząt. Własne jajka, coś prostszego? Potrafiłabym chyba. Ale Bogna... Tak okropnie się złościła, gdy o tym mówiłam. Tak strasznie.

Zapytam jutro Huberta. O wszystko zapytam jutro Huberta.

## Rozdział 35

Wiosna. Nareszcie. Nie wiedziałam, że zima może mieć taki wymiar. Trzeba to przeżyć, by zrozumieć pomysł chodzenia spać o zmroku. O siedemnastej. Telewizor okupowany przez męża, łączność ze światem przez komputer. Mogę, oczywiście, że mogę pójść do wsi. Zasnieżoną polną drogą. Pewnie, że kole-dzy Huberta ją odśnieżają. Od czasu do czasu. Nie nadążają jednak – z pół wiatr nawiewa biały puch nieustająco, zwykle nawet nie gwałtownie. Ot, po prostu, jednostajnym ruchem – machnięcie skrzydłem wiatru, przybywa śnieżnej bieli na polu. Drugie machnięcie – warstwa śniegu odrobinę grubsza. Po setnym, tysięcznym kiwnięciu wiatru zaspą staje się wielka, a najbardziej śnieg zbiera się właśnie tam, gdzie człowiek przy nim majduje. Natura tego nie lubi, z całą pewnością. Człowiek jest zbyt mały, dopiero tutaj to rozumiałam. W mieście, gdzie wysokie budynki zasłaniają świat, to nie do wyobrażenia.

Nie wiedziałam przecież, na co się decyduję. Skądże! Wiedziałałam tylko, że niebieskość taka jak twoja jest jedyna w swoim rodzaju. Szkoda, że już znikła.

Ty nie wiesz, że ja mam taką samą, chabrową, szafirową niebieskość? Nie wiesz, jesteś ślepy, zawsze byłeś. Co się tak denerwujesz? Teraz i tak już mi nic nie zrobisz. Wszystko mogę ci powiedzieć. I powiem. Żebyś wiedział. Żebyś zaniósł tę wiedzę tym, którzy muszą o tym wiedzieć. Dla ich spokoju lub wiecznego potępienia. Bo widzisz, wszyscy czekają na to w czysćcu. Nawet teraz się uśmiechasz. Tak pod nosem, ironicznie. Teraz się uśmiechasz? Teraz już nie masz po co.

Możesz sobie nie wierzyć w czysćciec. Możesz w nic nie wierzyć, twój wybór, aczkolwiek być może byłoby lepiej, gdybyś się jednak skupił: za chwilę twoja wiara przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Tutaj, dla ludzi. Stanie się jednak wszystkim dla ciebie. W zależności od tego, co jest twoim prawdziwym przekonaniem, twoja dusza wybierze odpowiednią drogę. Do boga, jakkolwiek by on był. Więc jeśli tęsknisz za pokojem pełnym dziewic, przejdź szybko na islam.

Myślisz, że nie wiem? Ten wielki tatuaż z Matką Boską, to przecież kpina. Nosisz na piersiach taki wielki znak. Symbol, jakiego nie sposób przebić. Na własnym sercu wytatuowana Matka Boska. Nikt nie może ci zarzucić braku wiary, braku oddania Kościołowi. Co tydzień na mszy, dopóki mogłeś chodzić, oczywiście. Pierwszy do remontu dachu świątyni i naprawy księżego samochodu. A tylko ja wiem, przecież tylko ja, że to pozory. Założyłeś się, myślisz, że nie wiem? Założyłeś się z chłopakami z remizy o najwspanialszy tatuaż na świecie. Obstawiali różne – smoki, róże, imię kobiety, butelkę piwa, a nawet kobiecą cipkę. A ty co? Nikt się tego nie spodziewał. Z takim wyborem nikt nie mógł polemizować. Najwspanialszy, bez wątpienia. Nawet twoja matka dała się na to nabrać. Naiwniacy.

Tylko ja wiem, że to wszystko ściema. Wierzysz tylko w piłkę nożną, nawet nie pamiętam, jak się nazywa ten twój klub. Nie ma to znaczenia. A, i wierzysz w telewizor. Co tam powiedzą – prawda, nawet gdy bzdury gadają. Samżeś głupi, to i głupot słuchasz.

Nie unós się, już się nie unós. Więcej poprawy nie będzie.

Nie rozumiesz, naprawdę?

W święta ci się polepszyło, pamiętasz? No pewnie. Zachowywałeś się jak król życia przy stole u rodziców Magdy. Całe szczęście, że przyniosłam trochę jedzenia. Wstyd, bo żarłeś jak świnia. No i miałam o czym pogadać w kuchni, kobiety zawsze lądują w kuchni, tam jest w domu najcieplej i zwykle najbezpieczniej. Który chłop ma ochotę do kuchni leżeć?

Zadbałam o to, żeby było ci lepiej. Przecież doktor był, a i ciebie do szpitala w styczniu zabrali, dopilnowałam tego. Było ci lepiej. Lekarze przepisali tabletki, było lepiej, coraz lepiej. Ale teraz nie jest,

prawda?

*Teraz ja się śmieję.*

*Już mi nic nie zrobisz. Nie uderzysz więcej. Nie wyzwiesz. Bo widzisz, kochany mężu, ja tu jestem u siebie.*

*Nie denerwuj się, nie szarp. Już teraz nic nie pomoże. Szykuj się na spotkanie z Najświętszą Panią, tą, co masz na piersiach. Albo z innym bogiem, jakiego tam sobie wybierzesz. Albo z szatanem, bo ten to chyba najbardziej ci pisany. Tobie i całej twojej plugawej rodzinie.*

*Wigilia... Wiesz, lubię Boże Narodzenie. Po zimnym i ponurym listopadzie, kiedy dzień jest tak krótki, jakby go w ogóle nie było, rozświetlone Boże Narodzenie jest światełkiem nadziei. Koniec zimy zaczyna być widoczny jak na horyzoncie. Po Nowym Roku dzień jest dłuższy, o – jak to mówią? Na barani skok. A poza tym...*

*Patrzyłeś kiedyś przez okno?*

Justyna od początku grudnia niechętnie spoglądała przez kuchenne okno. Widziała przez nie choinki. Oświetlone drzewka, na które przez cały rok nie zwracała uwagi. Świerki stały trochę z boku i nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Teraz jednak... Magda dokupiła kilkanaście sznurów lampek i skorzystała z uprzejmości strażaków. Właściwie jednego. Mietek nie musiał już skakać przez trzy godziny po wysokim drzewku.

Magda wciąż była panną, jedyną we wsi. Najpiękniejszą w okolicy. I kolejnych adoratorów spuszczała po przysłowiowej brzytwie.

– Starą panną zostaniesz – mawiała jej matka, a Magda wzruszała ramionami.

Strażak o wdzięcznym imieniu Bonawentura postanowił być tym, którego Magda nie splewi. Nienawidził swojego imienia, dlatego wszyscy mówili do niego Benek, a nawet zapomnieli jego prawdziwego imienia. Wystarczył jeden uśmiech Magdy, a wóz strażacki stanął przy wysokim świerku i Benek wraz z kilkoma roześmianymi kolegami rozwieszał dziesiątki metrów choinkowych światełek.

Potem adorator kilkakrotnie podchodził Magdę. Uważał, że coś mu się należy, a Magda właściwie była mu skłonna. Aż do momentu, w którym dowiedziała się, że Benek opowiadał o niej jak o swojej dziewczynie i stwierdził, że wygra zakład.

– No wiecie, opowiem wam, nauczę ją lizanka, jak lubię.

To był zupełny przypadek, że Magda to usłyszała. Benek przechwalał się przy otwartych wrotach remizy, stali za samochodem, nikt nie widział dziewczyny, która kierowała się do kościoła. Magda zatrzymała się, nie weszła w światło wrót, wróciła do sklepu. Ot, banalny zbieg okoliczności.

Przy najbliższej okazji Magda udała się do remizy, Benek z zachwytem patrzył, jak w wysokich kozaczkach przemierza zaśnieżoną drogę.

– Widzicie – powiedział wtedy i odwrócił się do drzwi, przez które wchodziła Magda. Rozłożył ramiona, Magda po prostu w nie wpadła, objął ją i próbował pocałować. W końcu udało mu się cmoknąć ją w policzek.

Wyszarpnęła się. Otarła policzek z wyraźnym wstrętem.

– No co ty? – próbował jeszcze ratować sytuację Benek. – Nie bądź taka... – powiedział miękko.

– Jaka?

– No wiesz... Bądź jak kobieta dla mężczyzny...

– A, jasne. Bonawentura, przestań. Rozwieszenia lampek chyba nie wystarczy na lizanko, co? Musiałbyś się bardziej postarać. Ale, ale, panowie, wystarczy na dobre ciasto! Dzięki wam mamy najpiękniejsze drzewko w całym Przemyskiem!

Postawiła na niewielkim stoliku, właściwie pilśniowym kawałku blatu opartym na czterech nierównych nogach, blachę ciepłego jeszcze sernika.

– Dopiero co wyjęty z pieca, tyle co po drodze przestygl. Częstujcie się, panowie.

Uśmiechnęła się promiennie i wyszła.

Nie było potrzeby nic więcej dodawać. Od tego czasu Bonawentura Benkiem był na co dzień, ale bywał też Bonawenturą, co wcześniej dawno się nie zdarzyło. Delikatnie rzecz ujmując, Magda nie miała w nim wielkiego entuzjasty.

Wydawało się, że miała z tego niezły ubaw. Tylko Justyna wiedziała, ile ją to kosztowało. Przyszła do sklepu kwadrans po zdarzeniu niczego nieświadoma. Magda wymiotowała w łazience. I nie chciała powiedzieć, co się stało. Dopiero po drugim kieliszku wiśniówki, którą wyciągnęła ze sklepowej półki Justyna, Magda opowiedziała o zdarzeniu.

– Wiesz, jak się poczułam? Lizanko! Skurwiel jeden.

– Magda, przestań. To tylko facet.

Przyjaciółka spojrzała na nią z zaciśniętymi wargami.

– Naprawdę? Tak po prostu?

– Wiesz, jak jest. – Justyna westchnęła, oblizła wargę.

– Nie wiem – ze złością odpowiedziała Magda.

– Hubert mnie regularnie bije. Leje.

– Wiem, nie mam jak pomóc, choćbym chciała.

– Jasne, nie mam pretensji, nic nie możesz zrobić. Tłumaczę ci tylko. Bo to przecież nie wszystko.

Regularnie mnie używa, to normalne.

– Chcesz powiedzieć, że cię gwałci.

– Chcę powiedzieć, że jestem żoną.

– I masz obowiązki? – zakpiła Magda.

– Jakkolwiek bym o tym myślała, Hubert właśnie tak uważa. Tak samo uważała Bogna. I chyba wielu tak uważa.

– Bonawentura wyraźnie też.

– Uniknęłaś mojego losu – powiedziała Justyna ze śmiechem. Magda też się zaśmiała, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Do czasu – powiedziała. – W końcu trafię na swojego.

– Jak będzie naprawdę twój, to nic takiego cię nie spotka.

– Twój też już chyba niedługo ci będzie dokuczał – powiedziała Magda.

– Co?

– Wiesz, mówią... – Wzruszyła ramionami i zamilkła.

Justyna czekała.

– Mówią, że Bogna odeszła jakby na twoje życzenie, a Hubert wybiera się za nią. Mówią, że...

– No wykrztuś to wreszcie.

– Mówią, żeś wiedźma. Żeś im zadała urok.

– Magda, wierzysz w to? – Justyna szeroko otworzyła oczy.

– Ja nie.

– Jasne – rzuciła z westchnieniem. – Pójdę już.

– Nie idź. Zostań chwilę. Kiepsko mi po tej akcji z tym... No wiesz.

– Fajny kanał na YouTubie znalazłam – powiedziała Justyna.

Znów nawiało śniegu, wróciła więc do domu, przypominając bałwana. Hubert leżał przed telewizorem.

– Nareszcie – mruknął. – Głodny jestem.

– Już robię, kochanie – odpowiedziała.

Kończąc przygotowania do posiłku, odruchowo sięgnęła do szafki z przyprawami. Jeden ze słoiczków wsunęła głębiej, na sam koniec, pod samą ściankę.

– Chwilowo nie będzie mi potrzebny – wyszeptęła.

Spoglądała potem na oświetlone lampkami świerki z niechęcią. Wyglądają jak zjawy – myślała. – Świerki i sosny to wyraźnie nie są moi przyjaciele.

Zimą rzadko wychodziła, nie słyszała więc wołania lasu. Przecież jednak nie zapomniała. Spoglądała czasami w okna salonu, ściana lasu czekała tam na nią.

A gdy spoglądała przez kuchenne okno, widziała długie cienie rzucane przez świerki obwieszane lampkami. Nigdzie ucieczki – pomyślała.

## Rozdział 36

Tak więc widzisz, kochanie... Nie masz wyjścia. Leż spokojnie, nie szarp się. Nie próbuj. I tak nie masz siły. Widzisz, teraz ode mnie, tylko ode mnie zależy, czy będziesz mógł się ruszyć. Zgodzisz się, że to paskudne uczucie?

Pij, nie marudź. I tak wypijesz. – Justyna zaśmiała się cicho. – Możesz pluć, to nie ma znaczenia. Widzisz, grzeczny chłopiec. Dopiero teraz, sporo było potrzeba, byś zgrzeczniał. Nic się nie przejmuj, koniec przyjdzie, kiedy przyjdzie, teraz ja idę do kościoła. Wiesz, pomodlić się za duszę męża. Sam rozumiesz, jestem głęboko zatroskana. A ty teraz śpij. Zaśniesz jak niemowlę, nic się nie przejmuj. Oj nie! Nie denerwuj się. Jeszcze nie czas. Chyba nie. Wiesz, nie do końca wszystko jest wiadome, ale raczej jeszcze nie. Jeszcze się obudzisz. Jeszcze będę mogła na ciebie popatrzeć. Opowiem ci więcej, później, po kościele.

Justyna była już przygotowana do wyjścia. Zajęta Hubertem, zapomniała o jakimś przedmiocie z domu. Szyld od starej klamki był ciężki i nieporęczny, zresztą ile można nosić w kieszeni ciągle to samo? Justyna była młoda i potrzebowała zmian. Wyjęła więc szyld, ale nie włożyła nic innego. Tak nieprzygotowana wyszła z domu.

W myślach cały czas była z Hubertem.

Co ja sobie myślałam? Naprawdę przypuszczałam, że chłopak poznany kilka miesięcy wcześniej, prowadzący się głównie z kumplami – kibicami i uzależniony od siłowni, będzie dobrym mężem? Oj, głupia ja, głupia ja.

A jednak... Cóż, w sumie miałam rację. Wszystko się potwierdza, stopniowo zaczynam rozumieć. Choć właściwie nie wszystko.

Obejrzała się w stronę lasu. Raptem poczuła przyciąganie od strony drzew, dawno już nie słyszała takiego wewnętrznego wołania. Może dlatego, że nie spoglądała w stronę okna? Może dlatego, że zajęta była pielęgnacją męża? Systematycznie przyjeżdżał lekarz, Justyna podawała regularnie przepisane leki, gotowała pożywne rosółki. I oczywiście prowadziła się w czerni. Nie minęło jeszcze pół roku od pogrzebu Bogny, zresztą Justyna uważała, że w czarnym jej do twarzy.

Patrzyła w zbliżające się szyby sklepu Magdy, z coraz większym trudem szła przed siebie, choć czuła się jak Orfeusz. Słyszała wołanie, nagabywanie, las sprawiał wrażenie, jakby był tuż za nią, jakby się przemieszczał. W przeciwieństwie jednak do mitologicznego bohatera – nie obejrzała się. Weszła do sklepu przyjaciółki błada i spocona.

– Za ciepło się ubrałaś? – zapytała Magda.

– Chyba tak. – Justyna otarła rękawem pot z czoła i zdjęła kurtkę. – Pozwól chwilę odsapnąć.

– Gorącej herbaty ci nie zaproponuję, wody chcesz?

Justyna kiwnęła głową.

– Idę na nabożeństwo za zdrowie Huberta.

– Cała wieś idzie, ksiądz na ambonie w niedzielę przecież mówił. Wszyscy ci współczują, najpierw teściowa, teraz mąż.

– Hubert jeszcze żyje – obruszyła się Justyna.

– Ale objawy takie same. Leży już przecież?

Justyna potwierdziła skinieniem.

– Nie będzie miał kto w polu robić – powiedziała z westchnieniem.

– W polu ci pomogą, przynajmniej w tym roku. Potem będziesz musiała sobie radzić, ale na pewno chłopcy pomogą, choć groszem będziesz musiała sypnąć. Samej cię jednak nie zostawią. Ja też idę do kościoła. Jak wszyscy. Nawet Pokrzydłowa się zapowiedziała.

– Pokrzydłowa? – Justyna się skrzywiła.

– Ona też – potwierdziła Magda. – Co się tak krzywisz?

– Już i tak we wsi uważają mnie za znachorkę, na co ona jeszcze.

– Bo Pokrzydłowa to znachorka znana, a więc dobra, a jakbyś ty się okazała niedobra, to ona ma sobie z tobą poradzić.

Justyna zamarła.

– Naprawdę? Naprawdę tak o mnie mówią?

– Na wsi różne rzeczy mówią. Nie przejmuj się.

– Nie przejmuj, nie przejmuj – mruczała Justyna. Schyliła się, wycierając buty specjalną szmatką.

– Masz ty hopla, dziewczyno – zakpiła Magda.

– Do kościoła w brudnych butach? Nie ma mowy.

Wyszły ze sklepu, przeszły dwieście metrów do świątyni.

Justyna przysiadła w rodzinnej ławce, tam, gdzie kiedyś zasiadała Bogna i gdzie jeszcze do niedawna ona sama siadała z Hubertem. Wcześniej te miejsca zajmowali Martyna, Bogumiła, Karolina, Anna, Jan... Justyna odpowiadała na zaśpiewy, klękała, głośno recytowała modlitwy. A gdy ksiądz rozłożył szeroko ręce i wypowiedział „módlmy się”, zamknęła oczy. Zakręciło jej się w głowie. Usiadła razem ze wszystkimi, ale nie słyszała już czytania. Osunęła się na ławce, odpłynęła.

Była gdzieś daleko. Szła na spacer do lasu w białej sukience. Świeciło słońce, było bardzo ciepło. Czuła na skórze powiew letniego wiatru, coś śpiewała. Przepęniała ją szczęście.

– Justyna, cicho – szturchnęła ją Magda z uśmiechem.

Justyna kiwnęła głową, nie odzywała się już. Nie pamiętała mszy. Przesiedziała ją z opuszczoną na tyle nisko głową, że nie różniła się nawet od klęczących w czasie podniesienia. Po mszy pozostała w tej pozycji. Magda czekała na przyjaciółkę przekonana, że Justyna żarliwie się modli. W końcu jednak trąciła ją, a Justyna po prostu osunęła się na podłogę.

Magda krzyknęła. Ksiądz kręcił się jeszcze po zakrystii, prychnął niezadowolony. Krzyczeć w kościele? Wyszedł przed ołtarz, Magda pochylała się nad ławką i cały czas do kogoś mówiła.

– Potrzebujesz pomocy, dziecko?

– Tak, proszę księdza, ona zemdlą!

Dopiero teraz ksiądz dostrzegł, że pomiędzy ławkami leży postać w czarnej pikowanej kurtce. Pomógł wyciągnąć Justynę, ułożyli ją z boku, w przejściu, nie w głównej nawie. Rumor wewnątrz kościoła zwrócił uwagę kobiet stojących przed kruchtą. Stały kółkiem nad Justyną, podbiegła także Pokrzydłowa. Właściwie odchodziła już w stronę chaty, coś jednak ją powstrzymywało. Już dwukrotnie się żegnała, i dwukrotnie wracała. Teraz była już przy sąsiednim ogrodzeniu, wróciła jednak. Stała wyprostowana obok księdza i powiedziała:

– Dajcie mi do niej dość.

Odsunęli się wszyscy, nawet kapłan wstał i zrobił przejście. Zielarka przyklęka przy Justynie, położyła dłonie na głowie dziewczyny. Usta kobiety poruszały się bezgłośnie, nie sposób było wyłowić nawet słowa. Przymknęła oczy i oddychała szybko. Szmer przeszedł po zebranych, gdy gałki znachorki zaczęły szybko poruszać się pod zamkniętymi powiekami.

*Wstań i nie rób tego więcej* – mówiła Pokrzydłowa do Justyny w myślach.

*Nie chcę tego robić. To dzieje się samo.*

*Nie pozwól.*

*Nie mam na to wpływu.*

*Po prostu pilnuj się.*

Justyna otworzyła oczy, rozejrzała się.

– Ja – wyszeptwała. Odchrząknęła. – Co się stało?

– Zemlałaś – odpowiedziała zielarka, uśmiechając się samymi ustami.

W myślach wciąż mówiła do Justyny: *Wiesz, co masz robić. Nie poddawaj się.*

– Przepraszam. Chyba... Za dużo zmartwień ostatnio.

Ksiądz zbliżył się do dziewczyny i położył dłoń na jej czole.

– Modlimy się, dziecko, za ciebie i twojego męża. Oby dobry Bóg dał wam zdrowie i potomstwo.

Potomstwo? O czym on gada, do licha? – obruszyła się w duchu Magda, tak samo zresztą jak Justyna. – Dziewczyna mdleje, jej mąż usycha jak i jego matka kilka miesięcy wcześniej, a on mówi o dzieciach?

– Odsuńcie się.

Gestem kazał posadzić Justynę na ławce. Odmówił nad jej głową modlitwę, na koniec wyciągnął z kieszeni sutanny kropidło i skropił skuloną postać wodą święconą. Justyna uniosła głowę z bladym uśmiechem.

– Bóg zapłać – powiedziała do księdza.

– Podprowadźcie ją na plebanię – zarządził duchowny. – Gospodyni napoi i nakarmi, bo chyba dziewczyna się zatraciła w opiece nad mężem. Przyjdę do was do domu, poświęcę raz jeszcze. – Ostatnie słowa skierował do Justyny.

Kobiety rozchodziły się niechętnie, Magda wzięła przyjaciółkę pod rękę i poprowadziła na plebanię. Pokrzydłowa została jeszcze w kościele. Nabrała do butelki wody święconej. Dłonią trzykrotnie przeciągnęła po kościelnej posadzce. Otarła ją dokładnie w chustkę wyciągniętą z kieszeni. Po namyśle po prostu chustką starła trochę kurzu z podłogi.

– Musi wystarczyć – wyszeptwała.

Na plebani Justyna poczuła się znacznie lepiej.

– Dziecko, potrzebujesz modlitwy – powiedział kategorycznie ksiądz.

– Tak, ojciec – odpowiedziała grzecznie.

– Wzdrygnęłaś się, gdym spryskał cię święconą wodą.

– Ojciec! – Justyna uniosła gwałtownie głowę.

– Tak, tak. – Nie dawał sobie przerwać duchowny. – Tak!

– Czy ksiądz sugeruje, że Justyna potrzebuje egzorcyzmów? – wtrąciła Magda.

– Ja tu nie jestem od sugerowania. Ja zresztą egzorcyzmów nie odprowadzam, do tego potrzebny specjalista. Gdyby siły nieczyste ją opanowały – wskazał palcem na Justynę – ja na to nie poradzę. Żarliwa modlitwa, oto co mogę zaoferować!

Magda wzięła głęboki oddech.

– Tak, proszę księdza. Będę zachwycona – wtrąciła Justyna, nie dając przyjaciółce dojść do słowa.

Ksiądz modlił się długo i żarliwie, Justyna siedziała ze spuszczoną głową, Magda obok aż się gotowała. Popijały miętową herbatę przyrządzoną przez księżą gosposię, z własnej, ogrodowej mięty.

Jakby jej ta mięta na nosie rosła, tak ją zachwalała – pomyślała Justyna, przyjęła jednak napój z wdzięcznością.

– Czy temu klesze zupełnie już odważyło? – Magda dała upust złości dopiero, gdy dotarły do sklepu. – Będzie nad tobą egzorcyzmy odprowadzał, ale tak, żebyś o tym nie wiedziała?

– Daj spokój. W niczym mi to nie zaszkodzi, a jego uspokoi. I baby we wsi mniej będą gadać. Wiesz, od księdza to poświęcone, czyli dobre.

– I naprawdę zamierzasz go przyjąć w domu?

– Oczywiście! I na stoliku będzie stał krzyż i święty obrazek. I koperta. Zapytaj matkę, co o tym sądzi.



– Dobra, pewnie masz rację – odpowiedziała Magda. – Ale herbaty to się napij ze mną. Ta mięta była okropna.

– Nie była taka zła – odpowiedziała Justyna i zaczęła się śpieszyć. Usłyszała wołanie lasu i wiedziała, że teraz już mu się nie oprze. Nie może.

Wyszła od Magdy i skierowała się prosto do domu. Po chwili była już w lesie. Miała na sobie białą sukienkę, ale nie było już ciepło. Była ubrana zbyt lekko jak na tę porę roku. Las śpiewał, oddychał, pachniał świeżą zielenią. I byłby piękny, ba! – był piękny, ale tego nie widziała. Zobaczyłaby, gdyby nie biegła. Justyna czuła gałęzie z miękkimi pędami, ocierające się o jej twarz i ręce. Nie czuła skaleczeń, nie było ich zresztą wiele.

– Michalina! – usłyszała za sobą i przyspieszyła.

Nie widziała i nie słyszała. Po prostu biegła. Aż w końcu poczuła szarpnięcie za ramię, przewróciła się.

– Nie uciekaj – powiedział rozkazująco męski głos.

Skuliła się. Mężczyzna odszedł dwa kroki, podniosła się i znów zaczęła uciekać. Dopadł jej w kilku susach, powalił na ziemię. Położył się na niej i wycharczał.

– Teraz... Będziesz grzeczna.

Szarpnęła się.

– Będziesz grzeczna!

Splunęła.

Uderzył ją.

– Nikomu nie powiesz!

Zaśmiała się.

– Wszyscy się dowiedzą. Wszyscy! – krzyknęła.

– Opętało cię – powiedział mężczyzna spokojnie i przycisnął Justynę – Michalinę mocno do ziemi. Poczwała ciepło z lewej strony. Potem pieczenie. Widziała nad sobą przerażoną twarz mężczyzny.

To ojciec! – przemknęło Justynie przez głowę. – Jaki ojciec? – pomyślała. Udało jej się otworzyć jedno oko. Stała przed furtką własnego domu. Nie udało jej się jednak zrobić ani kroku więcej.

Uniosła lewą rękę. Była umazana. Cała we krwi.

– Co ja zrobiłem – wyszeptał mężczyzna. – Co ja zrobiłem!

I już nic więcej nie pamiętała.

Ocknęła się, bo ktoś ją szarpał.

– Wstawaj, no wstawaj już! – krzyczała na nią Pokrzydłowa. Justyna uchyliła powieki. – Nie możesz tak tu leżeć, co ludzie powiedzą. Pomóż mi – zwróciła się do kogoś, kogo Justyna nie rozpoznała w pierwszej chwili. Przenieśli ją za ogrodzenie, poczuła się lepiej. Usiadła.

– Co wy tu robicie?

– Ja? Ratuję cię. A Mietek mi pomaga – odpowiedziała zielarka.

– Mówiłem, że my się znamy? – dopowiedział uśmiechnięty od ucha do ucha Mietek.

## Rozdział 37

Justyna przyjęła księdza z honorami. Pozwoliła odprawić wszystkie modły, nad Hubertem, nad sobą, uraczyła księdza ciastem, obiadem i nalewką, przyjęła także buteleczkę wody święconej za odpowiednią opłatą.

Hubert przyjął wszystko ze spokojem. Zjadł odrobinę obiadu, uśmiechał się do księdza, mówił o wiosnie. Towarzysko przyszła też księża gospodyni. Wprawdzie po nic, ale w końcu kto zabroni przyjść z sąsiedzka wizytą? Obejrzała wszystkie kąty. Pokiwała głową, raczej z aprobatą. Było czysto, może nawet i jeszcze czyściej niż za życia Bogny, co wydawało się trudne do osiągnięcia.

Po wizycie księdza wpadła Magda.

– Potrzebujesz pociechy? Wsparcia?

Justyna tylko machnęła ręką.

– Jestem wykończona. Gospodyni zaglądała w każdy kąt, jakby mogła, toby Hubertowi materac podniosła. A nuż znalazłaby trochę kurzu. I te modlitwy. Zaśpiewy, kadzidło, muszę wywietrzyć.

– Kadzidło? – Magda pokręciła głową. – Czego to nie wymyślą.

– Na pewno intencje mieli dobre – odpowiedziała Justyna. – Nie mam co narzekać.

Magda machnęła ręką.

– Co masz? – Wskazała na blachę przykrytą bawełnianą ścierką.

– Drożdżowe. Pieklam na wizytę księdza. Dam ci, przecież u nas się zmarnuje.

– Coś ty. – Magda się zaśmiała. – Teraz będziesz miała wycieczki z całej wsi. Będą przychodzić, żeby ocenić skutek egzorcyzmów.

– Sprawdź, czy nie wyrosły mi przypadkiem czułki i włosy na oczach.

– Na przykład.

Magda zjadła kawałek ciasta i na odchodnym powiedziała:

– Ale pamiętasz, że w razie czego jestem?

Justyna uściśniła przyjaciółkę i patrzyła, jak ta tanecznym krokiem odchodzi w stronę wsi. Była wiosna, czas na radość.

Justyna poczuła rozpierającą ją energię. Zerknęła do Huberta, spał. Zeszła do kuchni.

Dawno nie pieklam chleba – uznała. Założyła długi fartuch, zakasała rękawy. Ręce miała po łokcie w mące, gdy zobaczyła przez okno dwie sąsiadki. Magda miała rację! – pomyślała ze zdziwieniem. Wytarła ręce i wyszła witać przybyłe.

– Chleb zagniatam, przepraszam za strój, ale zapraszam, zapraszam! – powiedziała z uśmiechem.

Pod koniec dnia miała dosyć wizyt. Od czasu stypy po Bognie przez ich dom nie przewinęło się tyle ludzi. W tym czasie udało jej się wstawić do pieca chleb i jeszcze jedno ciasto, szybkie, ucierane, bo tamtej drożdżówki rzeczywiście zabrakło. Usiadła zmęczona przy stole, pukanie wyrwało ją z zamyślenia.

Jeszcze ktoś? – pomyślała znużona.

Ciężko wstała i otworzyła drzwi. Na ganku stała Pokrzydłowa z Mietkiem.

– Wejdźcie, proszę – powiedziała grzecznie, choć bez entuzjazmu.

– Się nas nie spodziewałaś, co? – zaśmiał się nieprzyjemnie Mietek.

– Każdy gość miły – odpowiedziała odruchowo.

– Przestań, Mietek – skarciła go Pokrzydłowa, a Mietek skulił ramiona. – Jesteś na pewno zmęczona – kontynuowała zielarka. – Ciężki dzień. To pomoże.

Wyciągnęła z kieszeni pękata butelkę ze złotym płynem. Justyna wprowadziła ich do salonu, zielarka postawiła flaszkę na stole.

– Zioła, nieszkodliwe, na wzmocnienie, nie zaszkodzą ci.

– Dziękuję – odpowiedziała zdziwiona Justyna.

Usiedli. Justyna podsunęła im paterę z ciastem. Wyglądniący Mietek rzucił się na babkę. Kobiety nie skomentowały.

– Zaczynasz wiedzieć – stwierdziła Pokrzydłowa.

Justyna nie odpowiedziała. Przy stole zapadła cisza.

– Ale i tak ci powiem – kontynuowała zielarka. – Patrz teraz na mnie.

Stanęła na środku salonu, rozłożyła szeroko ręce.

Justyna patrzyła jak zahipnotyzowana. Kobieta nie robiła nic, a jednak powietrze wokół niej zafalowało. W wieczornym powietrzu wydawało się, że słońce grało na jej włosach i skórze. Justyna przymknęła oczy, jakby spodziewała się wybuchu światła, po chwili jednak otworzyła je szeroko. Pokrzydłowa stała w jej salonie, na tle serwantki z lśniącoymi kryształami i ekranu wielkiego telewizora, otoczona chabrową poświatą. Otok gęstniał, ciemniał, aż stał się intensywnie szmaragdowy.

Wyciągnęła ręce do Mietka. Odłożył kolejny kawałek ciasta, z rąk leciały mu okruszki, gdy zbliżał się do kobiety. Gdy ich ręce się zetknęły, Mietek wszedł w niebieski obłok, powiększając go i dodając srebrnej poświaty. Justyna wstała i podeszła do nich, bała się jednak wyciągnąć ręce.

Patrzyła jak urzeczona, w końcu ukryła twarz w dłoniach.

– Niemożliwe – wyszeptwała. – Nie wierzę. Nie chcę.

– Nie masz nic do chcenia. Jesteś z nami. Krew z krwi. Możesz zaprzeczać. Nie zmienisz – odpowiedziała zielarka.

– Dlaczego nie widziałam tego od razu?

– Bo ja nie chciałam, żebyś widziała. Przyjechałaś tu i miałaś sama zrozumieć. Słabo ci idzie.

– Przyjechałam tu, bo odnalazłam dokumenty.

– Tak? – ironicznie zaśmiała się Pokrzydłowa.

– Tak. Mój ojciec mi je pokazał.

– Cudownie. Coś jeszcze?

Justyna nie odpowiedziała.

– Mnie nie musisz odpowiadać. Sama dojdź do prawdy. Więcej ci dzisiaj nie pokażę.

Justyna została sama, towarzyszyły jej tylko okruszki. Włączyła odkurzacza, doprowadziła dom do porządku. Zerknęła jeszcze do Huberta, wciąż spał. Postawiła koło jego łóżka kubek z wystudzoną ziołową herbatą i poszła na strych. Drops całe popołudnie spał gdzieś ukryty, chyba nie zaakceptował tabunu gości. Teraz jednak zmaterializował się obok Justyny i ściągnął ją na dół rozpaczliwym miauczeniem.

– Głodny, co? – Uśmiechnęła się do futrzaka. Zeszła na dół, napełniła kocią miskę, dorzucając jeszcze jakiś przysmak. Zostawiła Dropsa przy misce i sama weszła na piętro. Z sypialni dobiegło ją chrapnięcie, skierowała się zatem od razu na strych. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, pociemniało. Jak szybko zapada zmrok – pomyślała.

Nie czytała już pamiętnika Anny, nic więcej w nim nie było. Wzięła ze sobą gazety, kilka tygodników i miesięcznik, na naprawionym łóżku nakrytym pikowaną kapą czytało się najlepiej.

Nie tego dnia jednak.

Natychmiast zamknęła oczy i znalazła się w lesie. Otaczały ją drzewa. Z boku wciąż bolało, jednak krew już zaszła. Miała wrażenie, że drzewa odsuwają się od niej. Polana robiła się coraz większa, choć wcześniej zdawało się jej, że upada wśród drzew i niewykoszonych gęstych chaszczycy. Justyna zdała sobie sprawę, że to nie las. Nad nią pochylały się drzewa owocowe. Las przecież był później sadzony! Tu nie było lasu! Nie wiedzieć czemu, ta myśl napełniła ją strachem. Usłyszała chrzęst.

Metaliczny stukot. Jęknęcie. Odwróciła głowę, nic nie widziała. To kopanie – pomyślała. Ktoś kopie. Ojciec kopie grób dla mnie – pomyślała.

To powinna być absurdalna myśl, ale wcale taką się nie zdawała. A stała się całkiem realna, gdy Justyna poczuła ciągnięcie. Żdźbła trawy muskały ją po rękach, brudziły sukienkę i raniły plecy, zostawiając niewielkie nacięcia. Nie czuła tego jednak. Pomyślała, że jakoś musi dać znać. Że przecież żyje, ojciec jej chyba nie zakopie? Nie tutaj, wśród drzewek owocowych, na które wspinała się tyle razy, z których rwała kwaśne jabłka albo zbierała spod nich słodkie, dojrzałe śliwki. Nie tutaj! A gdzie? – zastanowiła się. Gdzie indziej będzie mi lepiej? Nigdzie! Nie może mnie zakopać! Niemożliwe, niemożliwe!

Stało się możliwe, gdy poczuła oblepiającą ją ziemię, gęsty, mokry piach. Poczuła nawet przyjemność, gdy spadł jej na powieki, zamykając je skutecznie i na zawsze. Tylko odrobinę było źle, gdy otworzyła usta, poszukując oddechu, bo nos już oblepiał, a do ust wsypał się piach. Wtedy było źle. Bardzo krótko. A potem już spokój.

Justyna chciała się obudzić, nie było jej jednak dane.

Znalazła się w domu.

Widziała Annę. Biegała po domu, na zewnątrz i z powrotem. Była potargana, jej splątane długie blond włosy, jakby ktoś przykrył ją całą rozsypującym się snopkiem siana, tworzyły aureolę wokół postaci.

– Michasia! – na przemian mówiła i krzyczała.

Dom był pełen ludzi. Dyskutowali, mężczyźni pili, wychodzili, wracali, kobiety siedziały w kuchni i rozmawiały. Smutek, wszędzie panowało rozpaczliwe przygnębienie. Otarta gdzieś łza, ręce, które przytrzymały Annę, coraz rozpaczliwiej krzyczącą, coraz ciszej, coraz słabiej. Potem Justyna widziała Annę spokojną, dostojną, uśmiechającą się do dzieci, w koronie włosów całkowicie białej, splecionej gęsto na głowie, jakby boleśnie. Suknia Anny była czarna, już do końca życia czarna albo brązowa, nigdy już nie pojawiły się na niej kwiaty.

I Justyna zdała sobie sprawę, że Anna jest otoczona błękitem. Najczystszy, pomimo cierpienia, idealnie chabrowym kolorem. Dokładnie takim, jaki kiedyś mieli Hubert, Pokrzydłowa, Mietek i jej ojciec. I ona sama.

Ocknęła się i od razu wstała.

Po co tu przychodzę? – pomyślała.

Usłyszała miauczenie Dropsa. Zbiegła na dół, na środku kuchni stał Hubert i trzymał kociaka za ogon.

– Co robisz? – Starła się zachować spokój.

– Porządek – odpowiedział Hubert. – Ta ścierka z kłaków mi tu brudzi.

Podeszła do męża, nie bała się. Hubert wyglądał jak stary człowiek. Chudy, skóra wisiała na nim jak pusty worek. Włosy miał matowe, potargane, oczy pozbawione blasku.

– Już sprzątam. – Wyjęła kota z ręki męża i wypuściła zwierzaka. – A tobie podam herbatki, napij się, dobrze ci zrobi.

Grzecznie wypił całą szklankę.

Zaprowadziła go do sypialni, krok za krokiem.

– Tylko się nie przewróć – powiedziała. – Bo będziesz miał siniaki.

I byłoby bardzo niedobrze – pomyślała. – Jeszcze ktoś by się czepiał. Przecież to już tak bardzo, bardzo niedługo.

– Jutro opowiem ci coś ciekawego – obiecała. – Ale teraz już śpij.

– Dzisiaj – zamruczał jak dziecko dopominające się dobranocki.

– Jutro – odpowiedziała, pochylając się, jakby chciała go ucałować w czoło. Hubert jednak już spał, a ona cofnęła twarz z obrzydzeniem.

## Rozdział 38

Niebieski to kolor dobroci. Tak uważam, bo taki był mój ojciec. Dobry, zawsze szukał wokół cnoty, nawet ukrytej, czasem doprowadzało mnie to do pasji. Ktoś mu robił przykrość – ojciec mówił, że miał ciężki dzień. Nie, nie, źle mnie zrozumiałeś. Nie ojciec miał ciężki dzień. On usprawiedliwia! Wiecznie tłumaczył innych i objaśniał mi, że trzeba być dobrym. Siostra była bardziej oporna na jego nauki, wyłamywała się. Ale taki mam wzorzec, wiesz?

Trzeba być dobrym. Długo się starałam. Chciałabym powiedzieć, że same piątki i szóstki, i takie tam, ale aż tak kłamać nie będę. Uczylałam się średnio, za to zachowanie zawsze miałam wzorowe. O wagarach klasa mi nigdy nawet nie mówiła. Kłamać przecież nie należy, więc wygadałabym się nauczycielowi przy pierwszym pytaniu. A tak – zbierałam joby. Nie, no oczywiście, nikt tego tak nie nazywał. Kiedyś w pierwszy dzień wiosny przyszedłam na lekcję sama jedna. Oni uciekli, ale to ja zostałam wezwana na dywanik, i dostałam uwagę do dzienniczka. I jeszcze nauczyciel na mnie nakrzyczał! Na mnie, jedyną sprawiedliwą.

Nic, tylko się śmiać.

Wiesz, że aż do czwartej klasy nigdy nie użyłam słowa „dupa”? I pisałam listy do zgromadzeń zakonnych. Tak, wyobraź sobie, uważałam, że pięknie będę się prezentować w zakonnym welonie. Miało mi być do twarzy. Wybrałam nawet jeden klasztor, gdzieś pod Krakowem. Nie pamiętam już dokładnie nazwy, ale wymieniałam całą serię listów, uważając, że poświęcenie życia Bogu jest nie tylko szczytne, ale przede wszystkim właściwe.

Ojciec nauczył mnie porządku, oszczędności i grzeczności. Tylko o mamie nigdy nie chciał rozmawiać. Twierdził, że umarła, ale nigdy nie byliśmy na jej grobie. W końcu zaczęłam zadawać pytania. No to się wygadał, że żona po prostu go opuściła. Załamałam się wtedy. Uznałam, że matka nas zwyczajnie nie chciała. Widocznie nie byliśmy wystarczająco dobre. Ja nie byłam. Dopiero kiedy ojciec się zorientował, co myślę, że się obwiniam, powiedział mi prawdę. Przynajmniej sądzę, że to była prawda, bo jak widać, potrafił się niezłe maskować. Jego żona odeszła, owszem, ale to nie była moja matka. Ta rzeczywiście podobno umarła, a jej ciało pochowane jest gdzieś w Azji. Dlaczego w Azji? Zadawałam to pytanie wiele razy i za każdym razem dostawałam niesatysfakcjonującą odpowiedź. Do dzisiaj nie wiem. Rozumiesz? Nie mam pojęcia, gdzie jest pochowana moja matka ani nawet co się tak naprawdę stało. Wydaje mi się, że matka po prostu uciekła od ojca, choć zamierzała wrócić. To miał być tylko oddech, chwila odpoczynku. Pojechała tam rzekomo z przyjaciółmi, którzy zogniskowali się w osobie jednego bliskiego przyjaciela. Może dlatego ojciec nie chciał o tym mówić? Jak sądzisz? Nie masz pojęcia. Ja też nie. W każdym razie żadne z nich nie wróciło. I nie, nie wiem, dlaczego nie ściągnięto jej ciała do Polski.

A moja macocha, znaczy, żona ojca, nie wytrzymała jego dobroci, jestem o tym przekonana. Ale to tak naprawdę nie ma znaczenia. Zaczęłam o tym myśleć dopiero po śmierci ojca, kiedy uporządkowałam trochę myśli. Wtedy też przejrzałam dokładnie wszystkie papiery. Dał mi je kilka tygodni przed śmiercią, chciał chyba o nich opowiedzieć, czekał na pytania, a ja nie chciałam nawet wziąć do ręki tego pachnącego zbutwiałym drewnem pakunku.

Kojarzysz Annę?

Wysilasz się, to dobrze. Pomyśl, pomyśl... Nie kojarzysz? To szkoda. Bo Anna przyjechała tutaj z daleka i myślę, że to ona była niebieska. Dokumenty ojca nie były dokładne, ale już wszystko ułożyłam. Dzięki pamiętnikowi Anny. Nawet nie wiedziałeś, że taki istnieje, prawda?

Widzisz więc. Anna wyszła za mąż za Jana, nie wiem w którym roku, ale akt zgonu mówi, że urodziła się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku. Dawno, prawda? Była szlachcianką, głupią dzie-

wuszką, która życie na wsi wyobrażała sobie jako leżenie w polu w białej sukience z koronki i powrót do domu, w którym czeka zastawiony stół. Dlatego dała się Janowi porwać z rodzinnego dworku. W sumie mało by mnie to obeszło, ot, nie ona pierwsza i nie ostatnia naiwna. Rzecz w tym, że miała córki. Nic szczególnego, tak sądzisz? Karolina i Michalina urodziły się razem w dziewięćset jedenastym roku. Michalina to była ta śliczna. Z początku mi się to mieszało. Karolina, Michalina? Ale widzisz, Karolina miała dzieci, więc to nie mogła być ona.

Nie rozumiesz, no pewnie.

Anna urodziła potem w trzynastym, szesnastym, dziewiętnastym, też bliźniaki, i dwudziestym. Połogi miała długie, więc Jan się denerwował. Chłop musi przecież użyć, wiesz coś o tym. A gdy żona przez niego poroniła, a owce mu się znudziły, zaczął używać Michaliny. Gdy Anna się zorientowała... Co tam zresztą gadać. Jan nie przestał, aż w końcu Michalina uciekła. W białej sukience, przez sad. Lasu tu jeszcze nie było. Sad przestał rodzić, z roku na rok. Drzewa kwitły, ale płatki opadały na ziemię różowym dywanem, niezapylone. Jan wyciął sad, posadził las.

Wiesz, w lesie jest polana... Nie patrz tak na mnie, to, że jej nie znasz, nie oznacza, że jej nie ma. Jest polana, uwierz mi. W tamtym miejscu Jan dopadł Michalinę i kazał jej milczeć. A gdy się szarpała, nie wytrzymał. Miał w rękę sierp, wyskoczył mu z ręki. Znowu tak patrzysz. Z niedowierzaniem? Nie zwario- wałam, raczej ironizuję. Ojciec zadźgał własną córkę, żeby tylko nie opowiedziała, jak przez niego nie ma już wianka, a nawet spodziewa się potomka. Długo Michaliny szukali, on był pierwszy szukający. Ale zako- pał ją dobrze, żyła jeszcze, gdy ją zasypywał, wiesz?

Skąd ja to wiem? A tego to nie wiem. Po prostu – widziałam. Nie przerywaj.

Anna się domyśliła. Była naiwna, ale nie głupia. I przeklęła ród Jana. Znasz to, prawda?

*Ród twój, z mojej krwi,  
coraz mniejszy będzie.  
Ni owocu, ni zwierzęcia  
w twej zagrodzie aż po czas,  
w którym krew z krwi uratuje nas.*

Dlatego nie hodujesz zwierząt. Od lat próbowaliście, twój ojciec, dziad. Wszystkie stworzenia padały. Kury, krowy, owce, nawet konie. Właściwie nawet myszy w tym domu nie ma. Dopiero Drops... Ale on jest mój. I dlatego wycięto sad, tłumaczyli to zarazą, wszystkie drzewa zmarniały, szerniały. Tylko Jan wie- dział, że owoców i tak by nie było. Żadne drzewo owocowe nie chciało rosnąć w tym miejscu. Posadził las, trochę dalej. Tam zbudował kapliczkę. Bo tam przeniósł Michalinę.

Już wiem, dlaczego tak bardzo zależało ci na dziecku. Właściwie, nie tobie, Bognie. Zgodziła się, pogo- dziła się z naszym ślubem w nadziei, że obca żona przyniesie potomka. Tylko widzisz, Hubert... Ja nie jestem obca. I wielu jest tutaj, którzy na mnie czekali.

Anna miała siódmkę dzieci, z których piątka przeżyła. Karolina, jej najstarsza córka, miała czwórkę dzieci. Bogumiła, jej najstarsza córka, rodziła cztery razy, ale przeżyła tylko trójka. Martyna, jej najstarsza córka, rodziła aż pięć razy, ale przeżyła tylko dwójka. A Bogna miała tylko ciebie. Ród się kończy, prawda?

Śmiać mi się chce.

Jesteście tacy... Egoistyczni. Tacy próżni. Nic się nie kończy.

W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku Anna urodziła jeszcze dwie córki, też bliźniaczki. Jedna, Joasia, zmarła zaraz po porodzie. Druga, Krysia, wyjechała z domu jako młoda dziewczyna. Uciekła przed ojcem, Anna o to zadbała. Pojechała do dziadków, przyjęli ją bez entuzjazmu, jako służącą. Potem szwen- dała się trochę po świecie, po wojnie trafiła do Warszawy. Nie była już młódką, ale wyszła za męża, urodziła córkę. A ona potem syna. I była jeszcze wnuczka. To ja.

Dlatego mój ojciec miał niebieską aurę. Taką samą jak ty i jak Bogna.

I taką sama jak Pokrzydłowa. I Mietek.

Oczywiście, że tego nie wiedziałeś. Bo i skąd? Pokrzydłowa się ukrywała, ale przecież – zastanów się – w jakiś sposób kolejne zielarki zachodziły w ciążę, prawda? I w jakiś sposób pojawiały się młode Pokrzydłowe. Następnie. Jednym z wykorzystanych przez nie mężczyzn był najmłodszy syn Karoliny, Bartosz.

Tak, dobrze słyszałeś. Wykorzystanym. On wcale nie wiedział, że został ojcem. Może się i domyślał, ale nie śmiał pytać. Zresztą, dla niego żaden powód do dumy. Zrobić dziecko znachorce?

A Mietek? To jeszcze bardziej szczegółna historia. Anna, wnuczka Anny, córka Karoliny, tak na marginesie, co to w ogóle za pomysł, żeby dawać dziecku imię po babce, wyszła wprawdzie za męża, ale niezbyt szczęśliwie. Mąż nie mógł, no wiesz... Tego, co ty mogłeś, do niedawna. I co tak chętnie brałeś.

Nie unós się, sił ci nie starczy na wysłuchanie wszystkiego. A jeszcze mam wiele do opowiedzenia, wiesz? Całkiem sporo. Annę wybawił z kłopotu dziad czy pradziad, już mi się to miesza, naszego Mietka. Wiesz, tego pijaczka spod sklepu, wariata takiego, co po wsi chodzi i ludziom kury straszy. Pewnie, że wiesz. Sam więc rozumiesz, że to twój kuzyn, jakiś tam. Powinowactwo nie najbliższe, ale jednak. Tak twoje, jak i moje.

Widzisz, mężu, ile nas łączy? Więcej niż powinno. Sam więc rozumiesz, dlaczego nie mogliśmy mieć dziecka. Dlaczego musiałam się chronić przed twoim nasieniem.

Ale nie znasz najnowszych wiadomości! Naprawdę są ekscytujące. Wyobraź sobie – Pokrzydłowa jest w ciąży. Nam się nie udało, ale ona i Mietek... Tak! To naprawdę frapujące.

W sumie... mówiłam jej, że to nie najlepiej, w końcu – krewny. Jej to jednak nie przeszkadza. Ona tam już wie, co zrobić, żeby dziecku nie zaszkodzić, a przecież we wsi jest potrzebna kolejna zielarka. Trzeba ją wykształcić, wychować, to nie może być jakiegokolwiek dziecko, o nie! Musi mieć niebieską aurę, inaczej nie będzie potrafiła ludziom pomagać.

Sam więc rozumiesz, mężu, że przyjechałam tu do siebie, prawda? Zobacz, zbliża się trzynasta, myślisz, że to dzisiaj? Ja tam wierzę, że to będzie dokładnie trzynasta czterdzieści siedem.

To mamy jeszcze ponad pół godziny. Napij się, bo usta ci zaschły, i tak już źle wyglądasz, niech chociaż usta nie będą popękane.

Przyjechałam po swoje, choć nie mogłam się upomnieć. Że co? No pewnie. U księdza jest trochę dokumentów, ale większość znalazłam w Przemyślu. Połączyłam wszystko. Pamiętnik Anny, papiery od ojca, trochę dokumentów z parafii, archiwum w Przemyślu. I opowieść Pokrzydłowej, choć ta już doszła na końcu, zupełnie się jej nie spodziewałam, wiesz? Zobacz, co za kobieta. Tyle miesięcy trzymała mnie w niepewności.

Nie, nie pomogła mi. Skąd! Absolutnie. Nie ma z tym nic wspólnego. Ale o tym za chwilę.

Wiesz, co ci jeszcze powiem?

Nie wiesz, ale i tak zaraz ci powiem.

„Krew z krwi uratuje nas” – to o mnie, oczywiście. I wiem już, co muszę zrobić. I zrobię. Rozmawiałam już z księdzem.

Odkopimy Michalinę. Leży pod kapliczką. To ona próbuje się wyrwać, potrzebuje święconej ziemi. I znicza zapalonego dla niej, nie tylko dla Najświętszej Panienki. I modlitwy. I wspomnienia.

To Jan postawił kapliczkę. Kiedy już nie dało się uratować żadnych drzew owocowych. Kiedy posadził, drzewko po drzewku, sosnowy zagajnik. Kiedy wkopał brzozę z białą korą, tak lśniąca jak sukienka Michaliny.

Jan zadzgał własną córkę o trzynastej czterdzieści siedem. Zakopał ją w miękkiej ziemi wśród drzew, a potem przeniósł i przykrył jej ciało kapliczką z figurką, którą sam wyrzeźbił. Wszyscy litowali się, jaki to ojciec strapiony, z tęsknoty za córką, wieczorami siedzi i oczy traci na rzeźbieniu figury. I modły wznosi. Każdy kamień on sam ułożył. Potem bielił, a figurkę lakierował. Wszystko on. Tak mu cała wieś współczuła... Tylko Anna wiedziała, nikomu jednak nie powiedziała. Co miała powiedzieć?

Że głupia szlachecka gęś wyszła za potwora?

No pij, pij. Dobrze będzie. Może wcale nie dzisiaj. Może zdechniesz jutro dopiero, nie wiem. Ale na pewno o trzynastej czterdzieści siedem.

Wiesz, twoja choroba... Bardzo mi na rękę, prawda?

Bardzo. Bo taka to i choroba. Wiesz, jak młode dziewczyny chcą być szczupłe? Takie jak te modelki z wybiegów, co to bardziej przypominają kościotrupy niż kobiety, żyją na listku sałaty i dwóch szklankach wody dziennie. Widziałeś takie na pewno, chociaż nie czytasz magazynów i nie oglądasz telewizji śniadaniowej. Ja też rzadko, choć ostatnio częściej, wiesz? Od kiedy nie ma już twojej matki, a ty tutaj zaległeś i dochodzisz swoich dni, częściej mogą sobie na to pozwolić.

Nieważne. W każdym razie te załodzone chudziny wspomagają się różnymi proszkami. Dostępnymi, wyobraź sobie, bez problemu w internecie. Można je kupić w sklepach, co to niby odżywki i zioła sprzedają.

Dinitrofenol. Takie tabletki. W ładnym opakowaniu z czerwoną nalepką. Kiedyś Francuzi używali ich do produkcji amunicji. Potem preparat miał zastosowanie jako konserwant do drewna, wywoływacz fotograficzny i środek chwastobójczy. Może nawet używałeś go w polu. Ta tabletki spala tłuszcz, więc jest sprzedawana jako środek na odchudzanie. Co złego w tym, że w miarę młoda dziewczyna kupuje tabletki odchudzające? Nic, prawda? Najbardziej banalne z banalnych. Kupiłam trochę więcej.

Wiesz, nie darmo obniżyłam tu temperaturę. Bo dinitrofenol spala tłuszcz, ale ciało człowieka nie radzi sobie z tempem jego działania. I ciało się przegrzewa. A kiedy tłuszczu brakuje, to wiesz... środek działa dalej. Spala wszystko. Obniżony poziom neutrofilów to może być reumatoidalne zapalenie stawów... Twoja mama przecież zmarła na jakąś chorobę wątroby, prawda? A to chyba dziedziczne... To smutne, prawda? Zobacz, objawy masz takie same. To okropne, zgadzam się. A teraz wypij. No wypij, nie opieraj się. To i tak nie ma sensu.

Wiesz, miałbyś fart, jakbyś trafił do innego szpitala, najlepiej na toksykologię. Musiałam tego uniknąć. Dlatego tak bardzo dbałam o to, żeby Bogna trafiła do najbliższego szpitala. I żeby był tu lekarz. Regularnie. Żeby nie było żadnych podejrzeń, żeby nikt nie zasugerował specjalistycznego szpitala. Tak samo w twoim przypadku, też o to dbam. Bo to wielkie ryzyko. Ale wiesz, na szczęście, jaka matka, taki syn. Nie denerwuj się, opuść rękę. Możesz próbować, nic ci się nie uda. Już mnie nie uderzysz, już nie. Nie masz siły, prawda?

Na początku nawet było fajnie. Od piwka strasznie się tyje. Nie wiem, czy wiesz, ale to produkt, który ma chyba najwyższy indeks glikemiczny. Okropnie się zapuściłeś przez lato. Ile można grillować? Tłuste kiełbasy i piwo, piwo, piwko. Przed telewizorem piwko. Z kolegami – piwko. Ciągłe tylko pełna szklanka tego śmierdzącego syfu. No i wylewał ci się benzol, jakby cię rozdęła niepowstrzymana biegunka. Tabletki pomogły, zrobiłeś się szczupły. Mój przystojny Hubercik. Tylko śmierdziałeś trochę. No wiesz, jak ktoś się tak poci... Dinitrofenol tak gwałtownie spala tłuszcz, że podwyższa temperaturę ciała. Musiałam uważać. Wiesz, był przypadek, że chłopak zażył ciut za dużo, założył wyszczuplające ubranko i poszedł ćwiczyć. Ugotował się biedak. To chyba straszna śmierć, prawda? Musiałam was pilnować. Bo wiesz, każdy reaguje inaczej. Nie mogłam działać pochopnie. Dlatego podawałam Bognie małe dawki, naprawdę malutkie. Ale ten środek kumuluje się w organizmie, wystarcza na długo. Byłam ostrożna, naprawdę ostrożna. I widzisz, dokładnie wycyrklowałam. Udało się idealnie.

Wprost perfekcyjnie. Dlatego wczoraj był doktor. Pokiwał tylko smętnie głową. Wiesz, te ostatnie wyniki krwi... Nie były dobre. Mówił o czymś genetycznie uwarunkowanym. Nawet zaproponowałam, żeby zabrał cię do szpitala. Bo wiesz, jak pacjent umiera w szpitalu, to wszystko jest oczywiste. A w domu... Różnie ludzie mogą gadać. Ale przecież ja nic nie ukrywam, prawda? Lekarz, szpital, lekarstwa, ksiądz, wszystko jak trzeba. Wszystko dla ludzi. Żeby nie gadali. Żeby mi dali spokój, jak już cię pochowam.



Nie podrywaj tak głowy. Nie myśl, że coś to da. Wybrałam już trumnę. Będzie taka sama jak dla Bogny, tylko lakierowana. Tak zdecydowałam. Musi być elegancko. Nie będę męża w byle czym chowała, o nie. Sukienkę już przecież mam, nowej nie kupię, obgadają mnie. Będzie dobrze, nie martw się. Zajmę swoje miejsce. Właśnie wracam do domu. Do tego, który mnie się należy.

Bo myślisz, że co? Babcia Krystyna chciała wrócić, wiesz? Ojciec dał mi jej listy. Ale Jan jej nie pozwolił. Jan, który wtedy nie powinien już mieć nic do powiedzenia. Dlatego myślę, że tak naprawdę Anna nie chciała jej powrotu. Bała się. Bała się o Krysię. Nie udało jej się uchronić Michaliny i nigdy nie była pewna, czy Karolina, jej ukochana, też nie doświadczyła nadmiernej, hm, sympatii ojca. Chciała uchronić choć Krystynę, tak jak Martynę, którą też potem wysłała daleko. Ale nie wiem dokąd, widzisz, to jeszcze muszę ustalić. Popatrz, tyle roboty z tą naszą rodziną, tyle roboty. Już trzynasta czterdzieści siedem, nie czas na ciebie? Może ci pomóc?

## Epilog

Bardzo ciężko było wszystko zorganizować. Czuję się jak intrygantka. Tak chyba powinnam siebie nazywać.

To nie było proste. Cała ta niebieskość... Zaczęło się od przypadku oczywiście. Taki błękit to prawdziwa rzadkość, i nie tylko trzeba go w aurze mieć, trzeba także szczególnie patrzeć. Gdy wtedy wyczułam, że ktoś mnie dostrzegł, że widzi mój kolor... Musiałam się ukryć i schować, zakryć niebieskość, co nie było łatwe. W tłumie jest to, oczywiście, łatwiejsze.

Ona nie potrafiła nic ukryć. Gdy zobaczyłam jej ojca... To była feeria niebieskości. Czegoś takiego nie widziałam. Całe to towarzystwo spod Przemysła zdawało się szare i zamglone, bure tałatajstwo jakieś.

Dziś już nawet nie pamiętam, po co pojechałam wtedy do Warszawy. Papiery chyba jakies musiałam robić? Zaświadczenia? Mietek był ze mną, oczywiście.

Ta naiwna dziwaczka zaprowadziła nas wprost do ojca... Mówiłam już o tym. A on... Nie chciał wierzyć, tak mówił, a od pierwszego spojrzenia uwierzył w każde moje słowo. Zostawiłam mu papiery, dobrze je przygotowałam. Trochę prawdy, trochę zmyśleń. O Krysi w swojej rodzinie wiedział, całe szczęście. Odrobinę zgadywałam, trochę się domyśliłam, resztę nakłamałam. Idealna mieszanka.

Zaufał mi, szybko, bardzo szybko. Chciał się żenić, ratunku! On jednak nie był mi potrzebny. Potrzebna mi była ta gówniara o aurze przezczystej jak samo niebo, naiwniaczka bez żadnej świadomości, nie on! Od momentu, gdy mi się oświadczył, wszystko się ułożyło. Pił grzecznie zioła, na szczęście córce nigdy o mnie nie powiedział. Wciąż wierzył, jak mówiłam, że jeszcze nie jestem gotowa. Że pewnego dnia... Dzień nastąpił!

Musiałam przerwać, zachłysnęłam się ze śmiechu. O czym to ja... A, nastąpił. Stary zdechł. Kaput. Na śmierć. I teraz to już tylko należało połączyć Huberta i tę smarkulę. Chłopak od zawsze jadł mi z ręki, choć nawet o tym nie wiedział. W ogóle nic nie wiedział. I ona nic nie wie.

Opowiadałam o gówniarze tak długo, aż w końcu Hubert zrozumiał, że taka dziewczucha będzie dla niego żoną idealną. A gdy ją w końcu spotkał – samo się stało. Jak przewidziałam. Wszystko ułożyłam. Kłocuszek do kłocuszka. Jakby kto stodołę budował, taką z dziurami, z wywietrznikiem. Ażur z cegieł, tak to skonstruowałam!

Potem tu, na miejscu, było jeszcze prościej. Dbałam o nią. Pilnowałam każdego kroku. Podatna była na każdy gest. Sugestia to moje drugie imię! Podawała tabletki, jak kazałam. Bognie, Hubertowi. Trochę jest zbyt wrażliwa... Obawiałam się, czy nie zauważy zbyt wiele... Ale nie. Kapliczkę, Michasię, las – dużo wyczuła. Ale głupia jest, jak Bogna, Hubert, i jak cała wieś.

Michalina leży pod kapliczką, nie ma potrzeby jej ruszać. Chodzę do niej ciągle, rozmawiam z nią. Już nic jej nie boli, już nawet wybaczyła, bo Jan swoje wycierpiał. Na mękach wycierpiał, i dobrze mu! Ja bym nie wybaczyła. A Michasia tak, naiwna. Ale wołałaby na cmentarzu leżeć, obok matki, bo ojca truchło to gdzieś wywieźli, nie wiadomo gdzie.

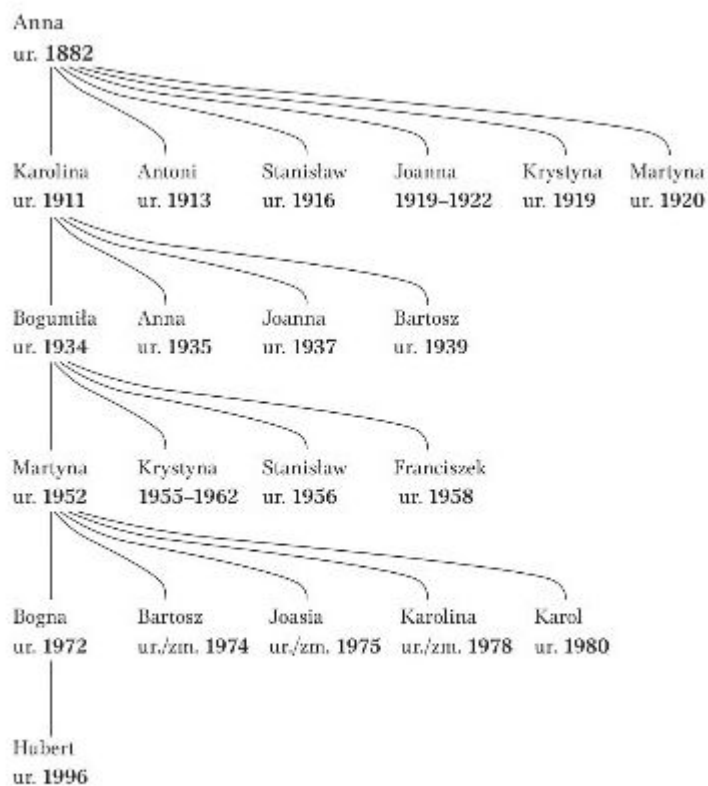
Znowu musiałam przerwać. Śmiech mnie ogarnia. Nikt się nie zorientował. Nikt!

O czym to ja? A, nie wiadomo. Jak nie wiadomo? Wszystko wiem. Matka mówiła, babka zapisała, że prababka mówiła. Ja wiem, i nikomu nic do tego. Zasłużył. Mogłabym powiedzieć, żeby gnął, ale dawno już robaki go zżarły, przekłętogo, a powinien gnąć za życia! On zresztą za życia już był zepsuty.

Może więc Michasię któregoś dnia wykopię. Na cmentarz do matki zaniosę. Jakem Pokrzydłowa.

A teraz pójdę tam, gdzie moje miejsce. Bogny się nie dało. Huberta ciężko. A tę gówniarę przekabacę bez problemu, wieś mi też ulegnie bez protestu. Zamieszkać wreszcie tam, gdzie powinnam. W ogromnym domu z niewielkimi oknami, podzielonymi złotymi szprosami. Z łazienką wyłożoną płytkami ze złoceniami. Z kuchnią i wielkim salonem. To ja, prawnuczka Martyny, siostry Michaliny, Karoliny i Krystyny. Ja, która będę przedłużać ród. I Mietek, prawnuk Martyny jako i ja sama, z ojca Mieczysława, wioskowego idioty, co to mądrzejszy od wszystkich piśmiennych i gadających. Oni właśnie zakończyli swój ród. Teraz my.

# Drzewo genealogiczne



## Od autorki

*Niebieski* wymagał ode mnie wiele odwagi i determinacji, jest bowiem – choć mam na koncie ponad dwadzieścia pełnowymiarowych książek – debiutem w zupełnie nowej dla mnie odmianie powieści.

Za wsparcie wdzięczna jestem w szczególności mojemu mężowi. Cierpliwie znosił przedłużające się cyzelowanie tekstu, sama go za to podziwiam.

Za pomoc dziękuję także Barbarze Ossolińskiej, Agacie Legun, Monice Szydłowskiej i Dorocie Gronkowskiej. To dzięki Wam tekst stał się lepszy. Jak zawsze szczególnie ciepło myślę o Agnieszce Czapczyk, nieocenionej pani redaktor, z wyrozumiałością śledzącej i poprawiającej wszystkie moje potknięcia.

Nade wszystko jednak dziękuję zespołowi wydawnictwa Purple Book za zaufanie i wiarę w nowy projekt. Oby ziściły się wszystkie nasze plany!

Zapraszam Cię, Czytelniku, do świata moich powieści, a także do mediów społecznościowych: do grupy czytelniczej na fb *Miejsce spotkań z Agnieszka Lis*, na Instagram oraz na Facebooka na profile *Agnieszka Lis – pisarka*, a także na stronę [www.agnieszkalis.pl](http://www.agnieszkalis.pl).

Agnieszka Lis